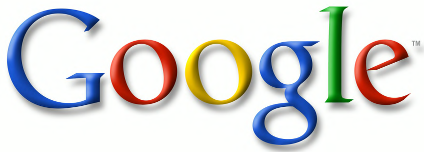
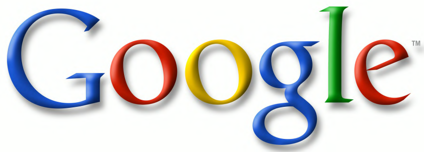
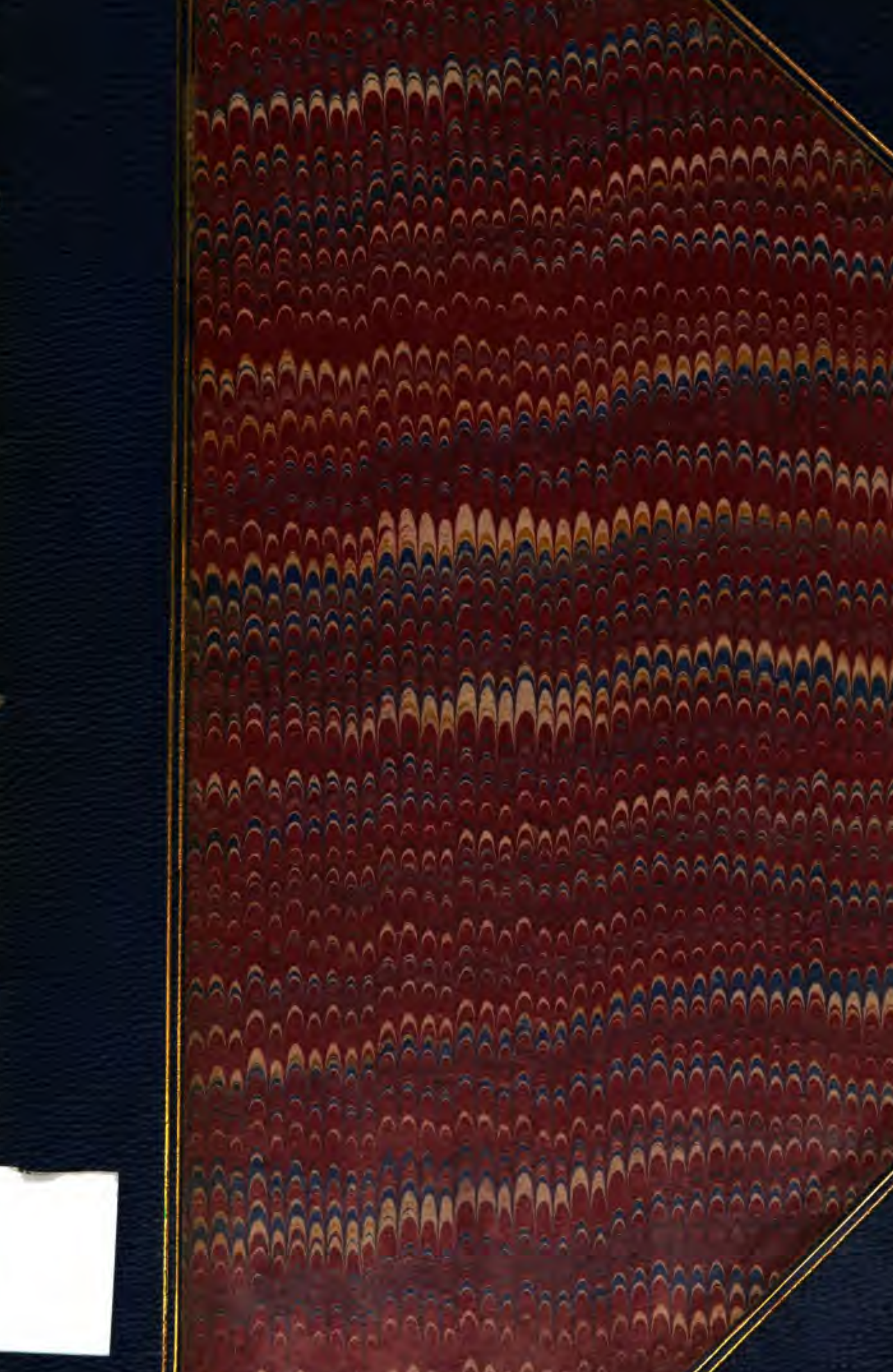



Google




DOMI NUS ILLU MINA TIO MEA
Taylor Institution.


302820352P

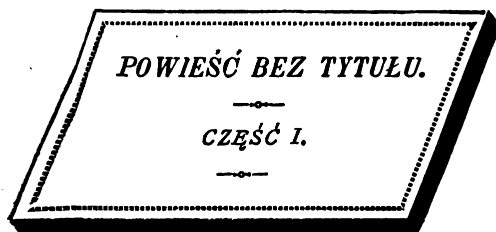
WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM VI.

Wydawnictwo na korzyść Jubilata.

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki, Nr. 3.

1878.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Декабря 1877 г.

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

Zdawało się może niejednemu z czytelników, że *Powieść bez tytułu* dla oryginalności jest tak nazwana. W istocie właściwy jéj tytuł użyty został zawcześnie, i cały ten obraz, z winy ojca wydziedziczony, musiał wyjść bezimiennym... *Powieść bez tytułu* jest to znowu może *Poeta i świat*, ale już ze szkicu na szersze naciągnięty ramy. Pokrewieństwo między temi dwoma opowiadaniami jest wielkie, chociaż i różnica znaczna. Pomiędzy 1837 a 1853 rokiem autor przeżył wiele, nauczył się trochę, zapomniał nie mało, doświadczył do sytu, i z tamtego pierwszego poety czuł potrzebę stworzyć Szarskiego. Obu losy podobne, obu siły niedostateczne, walka ich łamie, nie są jeszcze na wysokości poety, jakiego my dziś we dwadzieścia lat pojmujemy, choć go może nie znajdziemy na świecie.

W *Powieści bez tytułu* maluje się życie ostatnich lat bytu uniwersytetu wileńskiego, schwycone z natury, odwzorowane wiernie; lecz choćby w niém upatrywać chciano osobistości i portrety... możemy zaręczyć, że są tylko typy i charaktery. Pomawiano podobno autora, wytykając palcami postacie powieści, o odmalowanie kilku ludzi... do tego się on przyznać

nie może. Podobieństwa wyszły mimowolnie, nieuniknione... ale nieżądane. Jeden może professor Hipolit, *mutatis mutandis,* z imieniem nawet tém samém, żyje dotąd w Marsylii, i za zdjęty z niego wzorek wcale się nie gniewa... Z towarzyszów ławy akademickiéj nikt się nie upomni o podobieństwo z Bazylewiczem i innymi, Bazylewiczów zaś pełno jest zawsze i wszędzie. Są to ludzie, którzy nie mają talentu, ale ich Pan Bóg obdarzył zręcznością wielką, która dla tłumu częstokroć starczy nietylko za talent, umie ona i geniusz zastąpić.

Jak w innych powieściach, tak i w téj widzimy już świat niedzisiejszy, umarły... uczucia, idee, popędy, wszystko się niesłychanie zmieniło... Jest to historya, lecz historya tych uczuć i myśli, których dziejów nikt nie pisze... Nawet ci, co jak my przeżyli je, rozumiejąc dobrze, iż przez nie przejść mogli, dziś się dziwią po trosze, że na tém stanowisku się znajdowali. Świat idzie, a idzie dziś, dzięki pomocniczym środkom, nierównie szybcéj niż kiedykolwiek. Materyalne warunki przyśpieszają rozwój ducha, oszczędzając czas... podwajają pęd, z jakim ludzkość leci... naprzód! naprzód!...

Można płakać po przeszłości—są to łyz poszanowania godne,—lecz jéj powrócić niepodobna... Mylą się też wszyscy ci, co oburącz trzymając się słupa, sądzą, że w ten sposób obrot ziemi pohamują... Ze spokojem i rezygnacyą patrzeć należy na pochód konieczny, często może bolesny, zawsze ostatecznie ku lepszemu wiodący... Są w nim momenta straszne i pełne zwątpienia... ale za przepaściami szmaragdowe łąki się śmieją... Co to ma za związek z *Powieścią bez tytułu?* zapytacie... Nie z samą tą powieścią, ale z ca-

łym ich szeregiem prawdy te mają związek... a jeśli go kto nie dopatrzy, temu my go tłómaczyć nie czujemy się w obowiązku.

Typy izraelskie z Niemieckiéj ulicy w Wilnie są właśnie współczesne téj chwili, gdy genialny współpracownik *Revue des Deux Mondes* wychowywał się w sklepiku sukiennym przy téj saméj ulicy... Na owe lata było prawie zuchwalstwem wprowadzenie ich do powieści. Wskazujemy je dla tego, ażeby okazać że autor za wczasu równouprawnienie to rozumiał, nim za nie ciężko i boleśnie walczyć i cierpieć zaczął. Dopiero w dziesięć lat prawie dano mu było w dzienniku propagować tę samą ideę, która żyła już w instynkcie narodowym i jednego pięknego marcowego poranku spełniła się czynem... Lecz po cóż przypominać to tutaj?... zawcześnie z jednych względów, zapóźno z drugich... zamilczmy.

Drezno, d. 14 czerwca 1872.

J. I. Kraszewski.

OSTRZEŻENIE.

Jakkolwiek powieść, którą dajemy czytelnikom naszym, z tego jest rodzaju, że w niéj z trudnością dopatrzyćby można obrazów z żywego świata żywcem pobranych—nauczeni bardzo przykrém doświadczeniem, i na jéj czele umieścić musimy najuroczystsze oświadczenie, że w niéj nie ma nikogo prócz typów wziętych z wyobraźni i wizerunków fantazyjnych.

Takeśmy jeszcze nieoswojeni z utworami imaginacyi, że w każdym z nich szukamy otaczającego nas świata, nie w ten sposób, w jaki być w nich może i powinien, ale odbitego dagerotypem niechęci. Nigdy piórem mojém nie kierowała ani namiętność, ani nieprzyjaźń jakaś; gdybym go ku temu chciał użyć, mógłbym krzykaczy złośliwych pobić ich własnym orężem, ale mi się zdaje, że prócz wzgardy na nic więcéj nie zasługują.

Dla tych, co uwierzyć nie umieją, żeby pisarz nie czerpał ze świata gotowych wzorów, wcielając je w pisma swoje, powtarzam tu raz jeszcze, że w téj jak w innych powieściach moich, w których lub mnie samego, lub kogoś tam upatrzonego chcą widzieć niechętni, nie ma

i nie było myśli wystawienia siebie lub drugich. Są typy, są obrazy, są ludzie daj Boże jak najżywsi, ale nie ma osobistości, portretów być nie może, chyba przypadkowe. Kiedy malarz w wielkim obrazie tysiące głów charakterystycznych umieścić musi, z konieczności fizyognomie te przypominają osoby znajome, ale nie idzie za tém, żeby artysta chciał je malować. Protestuję więc za wczasu przeciwko wszelkiemu tłómaczeniu i nakręcaniu złośliwemu powieści; protestuję raz jeszcze, i jeśli można raz na zawsze, że nazwiska osób i rodzin, któreby się tu trafić mogły, trafią się chyba przypadkowo. Trudno ich uniknąć, ale któżby je chciał mieścić umyślnie?

Żytomierz, d. 5 grudnia 1853.

Wielki ruch panował pomiędzy młodzieżą zasiadającą ławy piątéj klassy w szkole gimnazyalnéj w S... Tylko co był wyszedł, po skończonéj godzinie, poczciwy professor matematyki H... i na tablicy jeszcze posiwiałéj od kredy sterczały formuły, któremi cała zapisana została... Wszyscy uczniowie przygotowywali się do następującéj lekcyi literatury, w któréj wypadało czytać zadane ćwiczenia. Jedni chwytali z seksternów pilniejszych i zdatniejszych uczniów kawałki, z których coś swego zszyć mieli; drudzy za obiecanego kubana zakupowali gotowe wypracowania; inni rozpatrywali się w tém co mieli przed sobą; a przeważna większość korzystając z chwili swobodnéj, wprawiała się do życia praktycznego żywą rozmową, sporami żywszemi jeszcze, nawet maleńką bójką, która pyłem i wrzawą napełniła salę.

W téj skupionéj gromadce blizko pięćdziesięciu młodzieży, widać było w zarodku wszystką przyszłość każdego; dobitniéj nawet i wyraźniéj malowały się tu charaktery niż na starym świecie, gdzie poduczywszy się udawania, ludzie stąpają już ostrożniéj i kryją się z grą swoją. Każdy na wylot znał towarzyszów, i nikt z namiętnostką, ze skłonnością, z nałogiem, z popędem

nie potrafił się zataić przed bystrém okiem współtowarzyszów swoich. Wczesna ostrożność i skrytość nie bez przyczyny obudzała nieufność, a każdy stronił od takiego, który się mu cały nie odsłaniał.

Co za rozmaitość w tych kilkudziesięciu twarzach, postawach, wejrzeniach i mowie każdego! Wszystko, z czém oni późniéj wystąpić mają na świecie, już tu jest w zarodku. Począwszy od ponurego 'milczka, od którego stroni cała klassa, zepchnąwszy go swym wstrętem w ostatnią ławę, aż do dobrego koleżki przyjmującego wesoło pocałunki i szturchańce, prześladowania i żarciki braterskie, któremu sekstern zrzucono pod ławę i powywracano kieszenie,— znajduje się tu cała nieskończona gamma charakterów ludzkich. A co się tam roi w tych jasnych główkach, opromienionych całym myśli światem, niedoświadczeniem i snami malowanemi przed dwudziestym rokiem... o! któż to wypowie!

Professor matematyki chodzi jeszcze po korytarzu z nauczycielem literatury, a klassa korzysta z tych minut dziesięciu, przedzielających dwie godziny tak do siebie niepodobne jak dwie życia epoki. Na katederkę lecą rzucone czapki, łapka zajęcza od tablicy, książki i papiery, szmer dochodzi do wrzawy i szaleństwa... Wtém drzwi się otworzyły powoli, i maleńka, chuda figurka nauczyciela wchodzącego szybkim krokiem z czapką naciśniętą na uszy, z książkami i papierami pod pachą, w płaszczu z ramion spadającym i jedną swą połą zamiatającym kurzawę z podłogi—ukazała się na progu, przesunęła wśród ławek, do których pchają się rozpierzchli uczniowie... i oto już panuje na katedrze. Szał w jednéj chwili ucichł jak burza zaklęta trójzębem Neptuna, szmer tylko wolny przelatuje po nad ławami

jeszcze, wszyscy usiedli, professor poskładał części ubioru zbyteczne i zapasy papierowe... i lekcya się rozpoczyna. Nikt się wprawdzie nie lęka łagodnego literata, który z surową na pozór miną, z usty ściągniętemi, z brwią nachmurzoną, z okiem przymkniętém rozpatruje papiery i rozkłada książki; ale dobroć jego silniéj tu działa niż surowość wielu jego kolegów. Podniósł osłabłe od pracy oczy na uczniów swoich, i wszystkie wejrzenia skierowały się ku niemu.

— No, kochani panowie, kto tam z was przeczyta mi ćwiczenie?

Jeden i drugi wyrywa się z zasmarowanym papierem na popis... wybór trudny... pierwszy z brzegu...

Ale zgadniéjcie co było zadaniem? A! niewinne zaprawdę i miluchne ćwiczenie, po prostu tylko opis wiosny. Któżby go, zdaje się, lepiéj mógł dokonać niż ci chłopcy, którym ona kwitnie i latem i zimą w piersi pełnéj uczuć wiosennych? Jednakże... gdy im przyszło opisywać wiosnę, jakże to szło trudno!... Nigdy jeszcze nie mieli czasu spojrzeć i rozpatrzyć się ani w sobie, ani po świecie, i gdy nauczyciel zadał ten nieszczęsny opis najpiękniejszéj pory roku... co się nastękali biedacy, od czego zacząć... co weń włożyć i na czém zakończyć!

I wątku, i myśli, i barwy tàk brakło nieborakom, że się musieli uciekać do wzorów, i przetrzęśli co gdzie kto na rachunek wiosny wyśpiewał, wykaszlał, nabredził. Thompson, Kleist, Wirgiliusz i Gessner, i krajowi poeci zrabowani zostali do koszuli przez tych młodych rabusiów bez litości... ale poszarpany łup niewielką im przyniósł korzyść.

Czyta jeden i drugi deklamacyjnym tonem, a nauczyciel przechadza się po sali, spoglądając z pod brwi,

chwaląc pół-usty, notując zdania, uśmiechając się nieznacznie gdy trafi na znajome ułamki pokradzione bezwstydnie. Nareszcie przyszła koléj na małego chłopaczka z blond włosami, z niebieskiemi oczyma, zapiętego w mundurek wytarty, ale czysty, odzianego starannie i dosyć nieśmiałego, bo gdy mu czytać wypadło, cały się oblał krwią, zmieszał, seksterna pogubił, głosu znaleźć nie mógł, i ledwie po trzykroć zaczynając, potrafił nareszcie wiosnę swoją wyśpiewać.

Wszystkie wiosny dotąd odczytywane były tylko poetyczną pisane prozą, ta pierwsza wystąpiła w rymowanéj szacie, i nie dziw, że jéj twórca tak się zarumienił, poczuwszy za późno zuchwalstwo swoje. I bał się tego co zrobił, i chętce oprzeć się nie mógł, sto razy darł ćwiczenie i powracał do niego, nareszcie na ogromną zebrawszy się odwagę, przyniósł do klassy z bijącém sercem owoc rozkosznych i gorących dumań swoich dziewiczych.

A trzeba wiedzieć, że ten, co tak śmiało zadanie zrobione przez wszystkich prozą, sam dobrowolnie w poezyę zamienił, był nowym w szkole przybyszem do klassy, prawie nieznanym nauczycielowi, a nie wiele zażyłym jeszcze z towarzyszami. Wystąpienie to niespodziane zrodziło szmer podziwienia... wszyscy poczęli się uderzać łokciami.

— Słysz! słysz!—wołali—dalibóg Piwonia napisał wiersze!

Zwali go Piwonią dla zarumienionéj i krwią młodą ciągle oblanéj twarzy.

Nauczyciel, który dotąd ledwie z nazwiska znał ucznia, zastanowił się wołając:

— Co? co? wiersze?

— Tst! tst! rozległo się po całéj klassie.

Oczy poczciwego literata z zajęciem, z sympatyą zwróciły się na młodego chłopaka... zbliżył się do jego ławki, wsparł na niéj, i spuściwszy po chwili źrenice, słuchał milczący, zadumany.

Ale to wytężenie uwagi wszystkich, zwrócenie oczu, uciszenie klassy, odebrało ostatek niewielkiéj odwagi biednemu Piwonii... głos gasł... plątał się, i zabrakło tchu nareszcie. Dwie poczciwe łzy—łzy, które całą przyszłość jego wróżyły poecie,—popłynęły po policzkach spalonych rumieńcem.

Nauczycielowi przykro się zrobiło. Może pomyślał, że ten, który tak występował na ławie szkolnéj, i na świecie rady dać sobie nie potrafi, może się ulitował nad biedakiem, dość, że powoli ująwszy sekstern z rąk jego, zbliżył go do przymrużonych oczu, i sam już czytał po cichu ową wierszowaną wiosnę.

Tymczasem Piwonia stał palony oczyma wszystkich, jak pod pręgierzem, i zdawało się, że wstyd niewczesny i bojaźń go spali. Uczniowie szeptali, wskazując sobie palcami poetę, który w téj chwili dostał nowy przydomek. Jedni spoglądali na niego ze współczuciem, drudzy z ciekawością, inni z zawiścią prawie, a krok ten stanowczy, na który się nowy uczeń odważył, nie obrachowawszy sił swoich, już stanowisko jego względem całéj klassy na resztę lat nauki nieodwołalnie wykreślił.

Z biednego ucznia, oczy kolegów padały na twarz nauczyciela, szukając na niéj oznaki pochwały lub uśmiechu politowania, ale nic nie znalazły w bladych rysach zmęczonego człowieka, po których nie przesuwało się nigdy to, co dotknęło duszę. Czytał spokojnie do samych oczu przybliżywszy papier, przebiegł ćwiczenie całe, oddał je Piwonii, i skinął głową prze-

chodząc do następnego ucznia, nic nie powiedziawszy, wejrzeniem ukradkowém tylko mierząc młodego poetę.

Ten usiadł, spuścił głowę, i z biciem serca, w milczeniu pozostał na ławie do końca śmiertelnie długiéj godziny.

A! niczém to było jeszcze wystąpić z tą nieszczęsną wiosną, niczém ją przeczytać, niczém ukazać poczciwemu nauczycielowi, ale po skończonéj godzinie jak tu się pokazać współuczniom, których szyderstwo chybić go nie mogło! Gdy zegar wybił dwunastą, a professor poszedł do katederki na odgłos dzwonka i począł zbierać papiery, czapkę, chustkę i płaszcz, którego nigdy na sobie utrzymać nie mógł... Piwonia czując zbliżającą się chwilę męczarni, ledwie nie umarł w duszy ze strachu.

Za professorem wyrwali się z klassy uczniowie, jak woda gdy zburzy groblę, i zaleli korytarze, jedni śpiesząc do domu, drudzy w różne rozbiegając się strony. Ale pośpiech ten nie ocalił nieszczęśliwéj ofiary, która się pierwsza ucieczką ratować chciała; otoczono poetę, szarpiąc go, chwytając, uderzając rękami i słowy.

— Wiwat poeta! krzyczeli jedni.

— Słyszysz Piwonia, przyznaj się zkąd wiersze ukradłeś? wołali drudzy.

— Jaki tęgi! rzekł ktoś trzeci: chce nas wszystkich zakasować, odznaczyć się i *solo bąsso* występuje z wierszami.

— Dajcie pokój! widzicie, że i tak ledwie mu krew z oczu nie tryśnie, tak się zarumienił.

Dobrze jeszcze, że po dwunastéj każdy śpieszył do domu i niebardzo czas mieli dokuczać Piwonii; ale droga do dworków, w których się mieścili uczniowie, dozwalała przedłużać prześladowanie do wrot miesz-

kania. Klassa piąta połączywszy się z szóstą, wiodła ofiarę swoją aż do ganku domowstwa, nielitościwie ją szpilkując przezwiskami i szyderstwy.

Jak w szkole tak na świecie! zawsze pierwszém uczuciem większości na widok jakiegokolwiek niezwyczajnego fenomenu, jest to nieszczęsne szyderstwo i niedowierzanie... każdy tryumf poczynać się musi od męczarni. Może też tak być powinno; bo ten tylko zasługuje na wieniec, komu wprzód skroń krwią ociekła, a próba ognia jest próbą powołania i talentu. Nie wiedząc o tém, biedny chłopiec całą swą przyszłość stawił na owo jedno ćwiczenie! Z klassy do klassy miał odtąd przechodzić już z upokarzającém nazwiskiem poety, z tą kulą do nogi przykutą... z nią miał wyjść na świat, i nigdy już naprawić nie mógł nierozważnego kroku, który w tym dniu o życiu jego postanowił.

Jakby przewidując co go oczekiwało, szedł Piwonia z głową spuszczoną do dworku. Nieczuły prawie na zaczepki i na prześmiewania towarzyszów swoich, którzy go nie opuszczali, podwajał kroku, żeby co prędzéj sam na sam z sobą pozostać, a słowa kolegów spadały w końcu na niego jak zimne liście jesienne z niezrozumiałym szelestem. Tak przeprowadzany dostał się do domku, wpadł we drzwi szybko i znikł w nich nareszcie.

Ale i tu nie mogł już być spokojny. Czekał go pan dozorca, który o grzechu wierszy wiedział od nauczyciela; spotkali towarzysze mieszkania z klass różnych, na ulicy złapawszy ciekawą plotkę...

Chórem zakrzyknęli wszyscy na niego, gdy do stancyjki wchodził, a pan Jacenty, poczciwy, suchy, długi, z wysoko zaczesanym czubem mężczyzna, w białym

kożuchu szczelnie opiętym, za którym tkwiła tabakierka i chustka kraciasta, uśmiechem dwuznacznym i poprawieniem włosów, w progu przywitał swojego ucznia, unikającego wejrzenia, a usiłującego co prędzéj ukryć się gdzie w kątku.

Przebiegłszy pierwszą izdebkę jak oparzony, Piwonia dopadł swojego łóżka i stolika w drugim pokoiku, rzucił książki, wsunął do szuflady seksterna i siadł znużony na posłaniu. Otoczono go kołem, a pan Jacenty nawet nie wstydził się należeć do oprawców, stojąc na czele gromadki, wyprostowany, sztywny, milczący, ciągle gładząc czuba i czoła, i uśmiechając się nielitościwie. Młodsi uczniowie obskoczyli poetę jak szarańcza, śmiejąc się, chychocząc i napadając zapalczywie.

— A! Piwonia poeta!

— Zadeklamujże cokolwiek!

— Winszujemy! prosimy!

— Dla mnie kawałeczek wiosny!

— I dla mnie!

— I dla mnie! poczęli śpiewać tonem, jakim się napierali chleba z masłem na śniadanie nielitościwi malcy, wyciągając zaatramentowane ręce.

— Dajcież mi pokój, proszę, odezwał się zasłaniając sobie oczy zgnębiony Stanisław: dajcie mi pokój, bo doprawdy gniewać się będę...

— A za cóżbyś się waćpan miał gniewać? zapytał poważnie jak zawsze dozorca pan Jacenty. Naturalna to bardzo rzecz, że wszyscy się dziwujemy, winszujemy i śmiejemy! To mówiąc, pogładził czuba, obciągnął kożuszka, i za ukazaniem się nadtłuczonéj fajansowéj wazki z bulionem, która oznajmiała obiad studencki, stanął za swojém krzesłem, ręce i usta wprost od szyderstwa składając do modlitwy.

Wnet na ten znak zgłodniała rzesza rozsypała się, śpiesząc zająć zwykłe miejsca swoje... zaszastały krzesła, rozszedł się szmer błogosławieństwa, i biedna ofiara wiosny, odkupiona na chwilę głodem towarzyszów, zajęła po cichu miejsce swoje u stołu.

Wieczorem, pan Jacenty korzystając z soboty i pięknego dnia jesiennego, zrzucił kożuszek, wdział czarny paradny surdut z aksamitnym kołnierzem, czapkę, która zawsze wisiała na gwoździu pokryta chustką od nosa, żeby jéj pył nie przyprószył, laskę doskonale naśladującą trzcinę, ale w swém łonie ukrywającą cybuch ozdobny rogowym pyszczkiem i schowawszy klucze od śpiżarni do kieszeni, zapowiedział uczniom swoim przechadzkę za miasteczko, za kościołek Aniołów Stróżów, na piaszczystą równinę ku cmentarzowi... Był to zwykły cel studenckich spacerów.

Wszyscy oprócz Szarskiego (tak się zwał nasz poeta) ochotnie na nią się zgodzili; a tak zwany Piwonia, pod pozorem niezdrowia, pozostał sam jeden przy swoim stoliczku.

— Dajcie mu pokój, zawołał trzecio - klassista szczypiący jak mała pijawka: niech sobie wiersze pisze; jak oślepnie, będzie kraj nasz miał w nim Homera!

Pan Jacenty, mimo najlepszego serca trochę zazdrosny, bo dbający bardzo o wyższość swoją, która zaćmiona być mogła sławą młodego poety,—uśmiechnął się na to z ziarnkiem szyderstwa, i wywiódł uczniów na ulicę krokiem pedagogicznym.

Szarski potrzebujący odetchnąć, pozostał przecię sam na sam; ale zaledwie współkoledzy oddalili się nieco od dworku, wyjrzawszy oknem za nimi, wyszedł usiąść pod kasztanami w ganku na baryerze. Cisza sobotnia panowała w spokojném szkolném miasteczku, którego życie stanowili uczniowie w téj chwili rozbiegający się po okolicy, zamknięci po stancyjkach lub odpoczywający na rachunek niedzieli. Rząd dworków długą ciągnący się ulicą, gdzie niegdzie tylko ożywiała swawola pierwszo i drugo-klassistów, odzywających się śmiechami, krzykiem i uderzaniem piłek o ściany parkanów; skrzypiały studnie w podwórzach, i głos brzęczącego fortepianiku nauczyciela muzyki Brauna, wylatywał niekiedy otwartém domowstwa jego okienkiem. Po chwili, od drewnianego kościołka zabrzmiał dzwonek na Anioł Pański, i głos jego smutny, przeciągły, długo, daleko rozlegał się po okolicy. Chłopiec zadumał się, zapatrzał, wsparł na pniu kasztana, który ocieniał ganek, i ani się postrzegł, jak maleńka figurka nauczyciela literatury wysunęła się od strony szkół i kościołka, przebiegła w szersz piaszczystą ulicę, poszukała oczyma dworku pod kasztanami, skierowała się ku niemu—i uśmiechnięty professor, zbliżywszy się do ucznia, trącił go w ramię, ażeby przebudzić.

—Coś się ty tak Szarski zamyślił? począł łagodnie professor.

Uczeń głos dopiero usłyszawszy, zerwał się i stanął onieśmielony zjawieniem się niespodzianém tego, o którym właśnie myślał; spuścił oczy jak winowajca schwytany na uczynku.

— Chciałem trochę pomówić z waćpanem, odezwał się professor: weź-no czapkę, masz czas? pójdziemy się przejść trochę do pałacowego ogrodu.

— Idę, panie professorze.

— Ruszajże po czapkę, może ci chłodno, weź i płaszcz.

Ale gdzie mu tam zimno być mogło! On uszczęśliwiony dobrém słowem i spodziewaną przechadzką, czapkiby nawet zapomniał, gdyby mu jéj nie kazał wziąć nauczyciel.

Powoli poszli ulicą przez placyk, po pod szkoły, ku staréj alei grabowéj i ogrodowi, do którego wiodła.

— Powiedzże-no mi, Szarski—zapytał stary, wpatrując się z blizka w chłopaka, bo wzrok miał popsuty i krótki,—chciałbym coś wiedzieć o tobie: kto są rodzice twoi? zkąd jesteś rodem?

Jakkolwiek mocno zmieszany, onieśmielony, przejęty obawą, Staś łagodném professora obejściem i mową jego współczucia pełną uczuł się zasilonym po chwili, serce mu zabiło, zebrał się na odwagę.

— Moi rodzice, panie professorze, rzekł przychodząc do siebie powoli—mieszkają ztąd o mil kilkanaście, mają wioseczkę dziedziczną w Za...skiém.

— Jedną wioskę? spytał professor.

— Tak, jedną tylko wioskę i to niewielką.

— A ile was jest rodzeństwa?

— Sześcioro, panie professorze...

Nauczyciel pokiwał głową i westchnął głęboko.

— Bracia czy siostry?

— Trzech braci i dwie siostry, panie professorze.

— Gdzie wprzódy do szkół chodziłeś? kto cię uczył? począł badać literat.

Szarski wymienił szkoły i nauczycieli.

— Masz widzę żyłkę do poezyi, rzekł wysłuchawszy opowiadania cierpliwie staruszek. No! powiem waćpanu, jak na pierwszą próbę niezłe to jest co napi-

sałeś o wiośnie; ale na téj drodze, mój kochany, chcąc dojść do czegoś, wiele, wiele potrzeba pracować, nawet przy darach niebieskich! A lubiszże czytać?

Młode chłopię aż się zatrzęsło i zarumieniło.

— A któżby czytać nie lubił! zawołał ogniście.

Uśmiech dziwny skrzywił blade usta nauczyciela, który znów z pod oka spojrzał na ucznia.

— Cóż czytujesz?

— Książek mam mało... u pana Jacentego na półce Molière tylko i Montesquieu.

— A polskiegoż nic? spytał nauczyciel.

— Jest dzieło Stanisława Potockiego...

Potrząsł głową.

— Nie wiem jeszcze co będzie z waćpana, rzekł powolnie; ale się uczyć potrzeba i wiele, i porządnie, jèśli masz pójść tą drogą, która mi się zdaje wyznaczona dla ciebie... Poeta długo się i pożywnie karmić musi, nim światu zaśpiewa... Ciężka to rzecz stanąć przed ludźmi i poruszyć ich serca, zmuszając szyderców do współczucia; świat nie poddaje się łatwo, a depcze ochotnie.

I westchnął stary znowu.

— Ciężka to droga, kończył, zapominając do kogo mówi: cierniem wysłana, zarzucona skałami... trudno być pierwszym, a niewolno drugim, i drugim nie warto. Musisz być u szczytu lub spaść w otchłanie na długie męczarnie... lepiéj nie myśleć o poezyi. Każdemu prawie młodemu zalśni coś w głowie, zakołacze coś w sercu, i chciałby śpiewać, ale gdy przyjdzie z pieśnią pójść przed ludzi, zabraknie myśli i słowa. O! pracować potrzeba, pracować nawet tym, którym Bóg dał wiele od razu, a tym najwięcéj może! Nic bez pracy, dziecię moje; wszystko się nabywa w pocie

czoła, w serca pocie. Widziałeś jak towarzysze przyjęli dziś wystąpienie twoje? Toż samo czeka cię na świecie... Pamiętaj! A po wiekach, które nas poprzedziły, po wieszczach, którzy im śpiewali, po arcydziełach, co nas karmią tchnąc życiem przeszłości, którego są najwyższym wyrazem, jakże to wiele potrzeba, ażeby ośmielić się stanąć na scenie, ująć lutnię i zwołać ku sobie słuchaczy! Ten tłum, któremu śpiewać będziesz, składa się z tysiąca ludzi, a każdy z nich przychodzi inszym, a dla nich wszystkich jest pieśń jedna! Musisz skrępować ich, pociągnąć, przekształcić, zmusić, żeby weszli w ciebie i poszli za tobą. Czémże powinien być śpiew, który ma zwyciężyć tysiące miłości własnych i złamać lody wstrętów, obojętności, odrętwień?... Jakiéj to potęgi potrzeba, żeby wyjść z téj walki zwycięzcą! ile życia wyszafować, ile łez wylać, ile własnych piersi naszarpać!

Professor szedł i mówił, ale widocznie zapomniał o uczniu, który go słuchał, i lały mu się z piersi wyrazy, jakby rozmawiał sam z sobą; a gdy westchnąwszy obejrzał się na Szarskiego, rozpoczął nieco inaczéj.

— Tak, chłopcze,—rzekł—potrzeba pracować koniecznie, pracować wiele, żeby coś zrobić na świecie. Człowiek oddany myśli i pióru, jakim sądzę, że się być czujesz powołanym, musi być najprzód wyższym od ogółu, którego chce być przewódcą, tłómaczem, pocieszycielem, kaznodzieją... Dwojakie więc zadanie: i jako kapłan musisz stanąć na świeczniku, i sukni twojego domowego żywota nic splamić nie powinno; bo ten, co się w imię najwznioślejszych uczuć odzywa, sam pierwszy obowiązany mieć je w piersi i na ręku... jako piastun ducha i myśli, powinien być o stopień wyżéj, o krok naprzód przed ludem, który za nim idzie, musi

odgadnąć przyszłość, ku któréj dąży, uczucie, którém jutro serce jego zabije, kierunek boży na jutro... Wiele tu pomaga geniusz, talent, instynkt i duch Stwórcy, który w kolebce jeszcze wionął na czoło dziecięcia; ale nasionko dane ci w posagu, ty sam tylko wypielęgnować musisz i powinieneś. Nauczyciele, księgi, świat, są to słupy gdzie niegdzie porozstawiane po stepie, wśród którego wieść się potrzeba samemu okiem, sercem i głową... O! pracować musisz, pracować wiele... Bóg ci da myśl i uczucie, ale one nie przemówią z ciebie, dopóki ich nie rozpowijesz, nie rozwiniesz ich skrzydeł, nie rozwiążesz ich pracą żelazną... W młodéj piersi rwą się niecierpliwie, gwałtownie zarodki idei i uczuć nasiona, stukając o ściany ciasne jak zwierz zamknięty w klatce; ale niejeden, niejeden zamorzył w sobie co przyniósł z drugiego świata, nie karmiąc myśli swojéj, wysuszając ją pragnieniem i głodem, a z uczucia robiąc bydlęce narzędzie głupiego powszedniego życia.

Szarski słuchał, a że raz pierwszy słowa tak wielkie i wzniosłe, tak przejęte łzawém doświadczeniem, obijały się o ucho jego i piersi, uczuł jakby na niego zlewał się zdrój ożywczy... Otwierały się w oczach jego nieznane i tajemnicze drogi żywota, i w dali błyskały niewidziane horyzonty. Nie zastraszała go praca, nie wątpił o siłach, a jednak razem z pragnieniem przejmował go strach jakiś niepojęty, i dreszcz przebiegał młodzieńca.

— Patrz, co masz przed sobą, rzekł daléj idąc nauczyciel: masz nauczyć się całego świata, pokochać go, poznać siebie, poznać ludzi, a potém jeszcze zbadać mądrość przeszłą, wszystko, co ludzie kiedy utworzyli, żeby nie powtórzyć słabiéj co wprzód gorąco już wypowiedziane było... w ostatku to narzędzie twoje,

język i literaturę, na któréj skibę pot twego czoła ma upaść, musisz przeniknąć, musisz się ich wyuczyć...

— Będę się uczył, odpowiedział Szarski ochotnie, ożywiony słowami z duszy pochodzącemi starego nauczyciela...

Ten ujął go za rękę serdecznie.

— O tak! rzekł: uczyć się, uczyć! uczyć potrzeba całe życie, choćby dla przekonania się w ostatku, że nauka jest niewyczerpaném źródłem rozkoszy, pokarmu i zawodów. Powiedzą ci późniéj, mój kochany, niedowarzeni mędrkowie, że nauka i ślęczenie zabijają natchnienie, niszczą oryginalność, zacierają indywidualność... ale to fałsz! to fałsz! Sobą być można zawsze, paném pracy i myśli, ale pracować i myśleć potrzeba! Praca tylko dać może skrzydła natchnieniu.

I szli tak długo o zmierzchu, pustemi już ulicami pałacowego ogrodu, a professor mówił i wzdychał, jakby rad był, że się ma przed kim wywnętrzyć. Poczynał od ucznia, a kończył do siebie, tak się w nim mnogo zebrało, z czém się wylać potrzebował. Poczciwy, przypomniawszy sobie młodego chłopaka, zwracał się do niego, a po chwili znów uniesiony zapominał o nim. Ale żadne ze słów jego nie zostało stracone; te prawdy nawet, których Szarski pojąć jeszcze nie mógł, jak aforyzmy i zadania nierozwiązane pozostały w jego umyśle, przechowując się dla przyszłości. Chciwie ich słuchał, a im wznioślejsze i wyższe, tém go bardziéj nęciły.

Mrok coraz gęstszy poczynał się rozciągać, i wieczór chłodnym od stawu powiewał wiatrem, gdy nareszcie nauczyciel, któremu płaszcz nieposłuszny ciągle spadał z ramienia, postrzegł że późno już było, i szybko zawrócił się, nie przestając rozmowy.

— A kochaszże ty naturę? spytał z westchnie-

niem, poglądając w blaski wieczorne na niebie i szarą usypiającą ziemię; a bijeż ci serce do codziennych piękności świata, które powszednich nie uderzają ludzi?

— A, panie professorze, gorąco odparł Szarski: nieraz aż mi tego wstyd, aż się ze mnie śmieją.

— Niechże się śmieją, to najlepszy znak! równie porywczo przerwał stary, klepiąc Stasia po ramieniu. Daj się im śmiać i wyśmiewać: oni cię sami o tém nie wiedząc, uczą cierpliwości, któréj każdemu na świecie wiele, a w życiu pracy naszéj ogromnie, ogromnie potrzeba! Z kogo się śmieją nie dla tego, że głupi, ale dla tego, że inny od tłumu lub widzi to wszędzie czego nie dopatrzą drudzy... ten ma przyszłość przed sobą.

Gdy to mówił, wychodzili już coraz śpieszniejszym krokiem z alei i zbliżali się do wielkiego gmachu szkolnego, w którego skrzydle professor skromne miał mieszkanie. Spojrzenie na te mury, podobne trochę do czystego, białego więzienia, wyrwało westchnienie z piersi starego: pomyślał coś, zawahał się, i obracając się do Szarskiego, rzekł nieśmiało:

— Chodź-no... zajdź do mnie, dam ci książek... jak przeczytasz, odniesiesz mi je, i weźmiesz inne. Nie opuszczaj nauki szkolnéj dla czytania, ale ci czytać potrzeba, jeśli doprawdy myślisz pójść tą drogą.

— O! pragnę tego panie professorze... ale—dodał nieśmiało uczeń—gdybym jeszcze mógł spytać, czy bardzo złe było ćwiczenie moje?

Ostatnie słowa wymówił spuszczając oczy i bardzo po cichu, a professor dobrodusznie się na nie uśmiechnął.

— *Genus irritabile vatum!* szepnął do siebie. Juściż nie było to złe bardzo kiedy mnie uderzyło, kiedym się zajął tobą... ale nie myśl znowu, żebyś w wiośnie

zobaczył niewprawném okiem to, czego przed tobą nie widzieli drudzy. Udało ci się schwytać kilka dźwięków szczęśliwych, kilka form dowodzących, że masz przeczucie piękności; ale myśl twoja nie wyleciała wyżéj, bo jeszcze skrzydeł jéj braknie.

— Skrzydeł Ikara może, odważył się szepnąć Szarski..

— Choćby takiemi podlecieć warto, dziecko moje... Lepiéj to, niżeli pełzać po ziemi. Sąż inne dla ludzi? Szczęśliwy jeszcze, kto się choć na chwilę zbliżył ku słońcu, a potém wpadł w morze... w morze zapomnienia... Zapomnienia! powtórzył nauczyciel niespokojnie. A tak! o wilku mowa zaprawdę, i ja bo się porządnie zapomniałem, a tu noc! Chodźmy prędzéj, chodźmy, panie Stanisławie.

Stali już przed wielką budową gimnazyalną, professor ruszył żywo, potknął się razy kilka dla krótkiego wzroku, płaszcz mu spadał z ramion nieustannie, nareszcie weszli przez dwa czy trzy wschodki wiodące do szczupłego mieszkania, które literat zajmował z żoną i dziećmi, w sień i do pokojów. Ciaśniutko tu było i duszno... i nie dziw, że na widok izdebek, w których dzieci płakały, jejmość się zakłopotana krzątała, a dwóch młodszych professorów rozprawiało na kanapie, trochę się starając przypodobać pięknéj pani przygotowującéj herbatę... Stary nauczyciel zasępił czoło. Wszedł bardzo po cichutku, nieśmiało, jakby oczekiwał niechybnéj bury, która go spotkać miała, i przerwawszy zaledwo gderanie żony zastępującéj mu drogę, słówkiem bojaźliwém i pokorném, przed uczniem onieśmielonym do reszty, na lewo drzwi do gabineciku swego otworzył. Sam znalazł sobie świecę i siarniczkę, ognia powoli zrobił, a gdy pokoik rozświecił się blaskiem łojówki, Szarski po-

strzegł biblioteczkę całą zastawioną mnóztwem literackich gratów, że w niéj z trudnością dwom się było można obrócić. Professor milczący począł okiem i myślą chodzić po półkach od jednéj do drugiéj, szukać, mruczeć coś pod nosem... złożył wreszcie pakiecik spory i oddał go oczekującemu.

— Naści, na... to wybór dobry... a czytaj z uwagą, a ucz się smakować, nie połykaj po żarłocku. Myśl, kształć się, i niech cię Bóg dziecię moje błogosławi.

Wtém professorowa wpadła do izdebki, ciekawie poglądając na męża i ucznia.

— Gdzieżeś to ty był? spytała żywo. A tu dyrektor przysyłał po ciebie... i...

— Zaraz, zaraz, rzekł zafrasowany stary; w ten moment moja duszko...

— I pieniędzy mi potrzeba, z wymówką poczęła żona. Szarski chwycił książki, pokłonił się, ucałował rękę jejmości, i znikł uciekając uszczęśliwiony, a pędził do domu jakby mu już istotnie na barkach skrzydła wyrosły.

Tych kilka książek, które niósł z sobą, a więcéj jeszcze słowa poczciwego nauczyciela, wstrzęsły młodym umysłem, i nieostrożnie może, ale nieodwołalnie pchnęły go na drogę, z któréj już zejść nie mógł.

Poczynał marzyć, serce mu biło i przyszłość zarysowywała się przed nim tak jasno, tak wyraziście, jakby jedna chwila przybliżyła go ku niéj latami całemi.

Zaledwie Szarski ukazał się w ganku dworku, na którego baryerach siedzieli wszyscy uczniowie i sam nawet pan Jacenty na honorowém miejscu, bo przy ścianie, obskoczono go zapytaniami i wymówkami.

— Aha! a z nami na przechadzkę to nie łaska!

— Niby chory, a po nocy gdzieś lata!

— A gdzieżeś to waćpan bywał? zapytał naprężając się dozorca. Chciałeś chodzić, juściż sądzę, żeśmy warci, żebyś nie odbiegał towarzystwa naszego.

— Nie miałem wcale myśli iść gdziekolwiek, odpowiedział zdyszany Szarski; ale ledwieś pan odszedł, przybył tu professor... i zabrał mnie z sobą do ogrodu.

— Jak to? i do nocy z nim chodziliście? zapytał znów z niedowierzaniem i trochą zwykłéj sobie zazdrości pan Jacenty.

— Wracam w téj chwili wprost od professora, który mi książek pożyczył, odparł z niejaką dumą Szarski; nigdzie więcéj nogą nie byłem.

— To się okaże! to się okaże! rzekł dozorca; a teraz podobno czas na wieczerzę.

Ta przechadzka, któréj zresztą byli świadkowie, poddanie książek Szarskiemu, długa z nim rozmowa, zmieniły wprędce usposobienie współuczniów do szyderstwa... Zazdrościli wszyscy po trosze Stasiowi, a pan dozorca ruszał tylko ramionami, nie mogąc pojąć, jak pan professor wybrał sobie takiego chłystka na konferencyę wieczorną; niemniéj jednak i w jego oczach postawiło to lepiéj poetę. Nie śmiano z niego tak bardzo żartować, widząc, że nauczyciel zachęcał; poczęto się domyślać, że to może nie ze wszystkiém jest śmieszne, i dozorca choć w złym humorze u wieczerzy siedział, ale już bardzo poważny,

---

Dzień ten w życiu Szarskiego stanowił epokę, i popchnął młodego chłopaka drogą ku przyszłości. Dziecię niemajętnych rodziców, którzy radzi byli, żeby potra-

fiło na chleb sobie zapracować, zbiło się ze ścieżki, która mu wyznaczona wcześnie przez nich była, i całkiem się oddało literaturze. Ślęczenie jego nad książkami nie uderzało wszakże dopóki był w szkołach, bo uchodziło za pilność tylko, z którój się cieszono... Zamiarem ojca było późniéj oddać go do uniwersytetu i sposobić na lekarza. Szczęśliwie ukończywszy szkoły, Szarski powrócił do domu, pożegnawszy dworek ów, gdzie mu świat się rozwidnił, ze świadectwem, z nagrodą, ale z niepokojem o jutro. Droga, którą odbywał, wiodła go przez najpiękniejszy bór w całéj może Litwie; dni były piękne, wspomnienie przeminionéj i zamkniętéj już części życia poruszało piersią i czoło rozchmurzyć się musiało. Jednén okiem płakał po miasteczku, które pożegnał, po towarzyszach, z którymi nie wiedział czy się spotka kiedy znowu; drugiém uśmiechał się do większego świata, do żywszych zdrojów nauki, do całéj ogromnéj, niewyczerpanéj swéj przyszłości. Na każdym popasie i noclegu rodziły się myśli nowe, wiersze nowe i plany dzieł, i olbrzymie przedsięwzięcia, choć w uszach brzmiały jeszcze pożegnalne słowa starego nauczyciela, który ze łzami w oczach prorokował mu... tylko cierniową drogę.

Biedny starzec! jakże nie miał zastraszać drugich, kiedy sam sterawszy życie, kończył je nieznany, zakopany w kącie, wśród doskwierającego niedostatku i ludzi, co go nie rozumieli, począwszy od własnéj żony! Zdawało mu się, że każdy z wesołéj młodości przejść późniéj musi w znędzoną uliczkę życia, która w końcu nie wiedzie do niczego, prócz rozbicia o mur głowy. To też żegnając Szarskiego, zamiast mu dodać odwagi, sypnął przed nim opadłemi nadziejami swemi, jak wieszczbą dla niego.

— Musisz już widzę pójść tą drogą, rzekł ściskając młode dłonie; ale skończysz jak ja, kochane dziecię, nie dobiwszy się ani współczucia, ani wianka, ani nawet spokojnego chleba kawałka. Widziałem cię tego dnia, gdyś raz pierwszy czytać miał swoje ćwiczenie o wiośnie; łzy ci się mało nie puściły z oczu, takeś się uląkł zuchwalstwa swojego, w które cię gwałtowna potrzeba objawienia się na zewnątrz wtrąciła. Tacy ludzie jak ty nie zdobędą świata, ale kończą jak ja, jak wielu a bardzo wielu niestety... pośmiewiskiem będąc dla tłumu, a politowaniem dla swoich. Mniéj talentu, mniéj serca, mniéj szczerości i wiary, a więcéj ufności w siebie, udawania, komedyi i popisów... ot! czego potrzeba, żeby zdobyć na świecie wyższe miejsca, które geniusz tylko koniecznością swojéj natury i to nierychło, a mierność zręcznością osięga... od których najpotężniejsze talenta odpycha pierwszy szarlatan, co nosa zadrze i głośno prawić będzie sam nie wiedząc o czém, tam gdzie ty słowa wyrzec nie potrafisz... A! i ja niegdyś marzyłem wiele, schnąc nad udoskonaleniem siebie, by być szerszemu kołu społeczeństwa użytecznym... i ja jak ty, gorzéj... o chlebie i wodzie, o głodzie i niedostatku biłem się w górę... i ja czułem w méj piersi natchnienie, ogień święty, miłość ludzi, coś oznajmującego mi, że mnie Bóg powołał na wieszcza, na pracownika do winnicy swojéj... i ja cierpiałem, ufając zawsze w jutro aż do pierwszego włosa siwego, aż do pierwszéj zmarszczki na czole i tego braku siły, tego zarodku odczarowania, które oznajmuje, że słońce życia zeszło nam już z południa... i ja—a w końcu (dodał z westchnieniem nauczyciel) widzisz co mnie spotkało... Mała mieścina, istne *in pace*, w którém zamurowany pozostać muszę

na wieki! Professorstwo nawet wyżebrać musiałem, i nie sobiem je winien, lecz żonie; podrzędne stanowisko, zupełna nicość, a dni starości mojéj, niedostatek prawie z pełną skarbnicą tego wszystkiego, com miał zrobić a nie mógł, com był powinien a nie dopełnił... Śmieję się teraz patrząc na teki moje, w których śpią spowite jak mumie, i poemata z Piastowskich czasów, i dzieje Jagiellonów, i glossarium dawnéj mowy naszéj, i tysiąca dzieł nasiona. Ta ręka, ani ta głowa już ich nie skończy, a zkąd wziąć do nich materyału? Zajrzę do tych zeschłych kwiatków młodości, westchnę, łzą je odwilżę i idę—do klassy... na grammatykę, lub do pana dyrektora pokazać się, stanąć w kątku i nie przemówiwszy słowa zniknąć. Nie żaliłbym się na los ten, bo natura musi wiele wydać nierozwiniętych pączków, nim piękny kwiat jeden urodzi... jest to jéj prawem, a my drobne jednostki skarżyć się na to nie powinniśmy; ale patrz, panie Stanisławie... całe moje szczęście w tém życiu ducha, pracy, nauki... a ja siedzę w kącie, dokąd szmer jego nawet nie dochodzi, gdzie trzeba z głodu umierać... O! takie ubóztwo jak moje, gdy z kilkorgiem dziatek, dla ich powszedniego chleba, sobie od ust spieczonych chleb duszny odejmować trzeba... to straszna klęska, to wielkie cierpienie.

Mówił stary i łza kręciła mu się w oku, ale ją otarł szybko.

— Boję się, żeby i z tobą tak nie było, i dla tego ci maluję czego nikt nie dojrzał dotąd, bo nie ma tyle litości na świecie, żeby po nim warto było nosić cierpienie... na tym wielkim targu miłości własnych, nikt go i za grosz nie kupi... Zresztą... czy to życie tak długie? czy to my tylko jedni cierpimy?

I rozśmiał się staruszek, machając ręką. Poszli jeszcze na ostatnią rozmowę do pałacowego ogrodu, usiedli w wielkiéj marmurowéj altanie nad stawem, i żegnali się długo jak syn z ojcem, jak towarzysz z ukochanym towarzyszem. Potém Staś siadł do bryczki i opuścił miasteczko, u wrot jego polecając się Aniołom Stróżom, których kościołek stał w bramach.

I jechał ku domowi, a im był bliżéj, tém niepokój opanowywał go większy... Co powie ojciec, co matka, na jego zamiary i sny przyszłości? komu się z niemi powierzy?... Gdy trzeciego dnia, wśród płaskiéj okolicy, wśród starych drzew ogrodu, ukazał się czarny dwór krasnobrodzki i kopułki kaplicy... tchu mu zabrakło w piersi.

Ojciec Szarskiego, niemłody już człowiek, był po staroświecku surowym dla żony i dzieci. Sześcioro ich miał na głowie, sercem kłopotał się o nich, zwłaszcza że mu zdrowie nie służyło, a życia sobie nie obiecywał długiego; ale obchodził się z niemi wedle tradycyj domowych, z niczém nieułagodzoną ostrością, właściwą charakterowi. Litwin to był i zawzięty gospodarz, oszczędny do przesady, gdera jakich mało, w domu pan absolutny i niepojmujący choć sam niegdyś młodym być musiał, żeby kto takim być mógł z kolei. Żonę, którą kochał, za pierwszą tylko uważał sługę, i kierował nią jak sam chciał. Ludzie się go obawiali, acz znali sprawiedliwość jego; a dzieci drżały na sam widok żółtéj twarzy i sumiastego wąsa pana sędziego.

O świat bardzo dbał mało, a żył tylko w gospodarstwie i zbieraniu grosza... było to celem jego życia, zabawą... wszystkiém.

Dom też w Krasnobrodzie mało był nawiedzany:

sąsiad chyba w potrzebie pieniężnéj, i to ze stemplowanym papierkiem za pazuchą a dobrą ewikcyą w kieszeni, zawitał do niego; Żydzi nie kupowali tu, aż do koła wszystko było zjedzone do ziarnka; a każdy uciekał od pana sędziego, bo życie i stosunki z nim wcale nie były miłe. Szanowano go wszakże, bo pod tą skorupą szorstką było w nim wiele uczuć zasługujących na szacunek powszechny, które się czynem dopiero objawiały. Jako urzędnik, nie przyjął wprawdzie w miasteczku siedząc nikogo i łyżką nawet barszczu codziennego, z nikim się chlebem nie przełamał, ale też nie sprzedał sprawiedliwości ani za pieniądz, ani za przyjaźń sąsiedzką, ani za ściśnięcie ręki przez wielkiego pana. Nic nie robił dla oka, nic dla ludzi; nie ustępował z drogi nikomu, mówił każdemu prawdę bez ogródki, a jeśli się w czém mylił, co mu się często zdarzało, bo osobliwszą mieszaniną wyobrażeń się rządził, uporu jego nikt przełamać nie mógł.

Obok niego, jako towarzyszka życia stała poczciwa żona, powolnego umysłu i charakteru, a tak nawykła do posłuszeństwa i ujarzmiona do pracy, że cieniem chodziła za mężem i była tylko bierną wykonawczynią jego rozkazów. Serce nawet potrafił w niéj zasuszyć i przytłumić pan sędzia, że się ani bić, ani odezwać bez pozwolenia jego nie śmiało... Patrzała wprzód w oczy panu swemu, nim myśl, nim uczucie wyraziła, dla własnych dzieci nie śmiejąc być matką. I chłodu, i pracowitości, i skąpstwa potrafił ją mąż nauczyć, wszelką w niéj zabijając władzę, wolę i samoistność. Zastąpiło ją uwielbienie dla głowy domu, cześć dla jego rozumu, wiara nieograniczona w jego najwyższą mądrość i poddanie się niewolnicze. Pan Szarski począł

wespół z nią wychowanie dzieci wedle staréj metody, która naprzód dogadzała oszczędności Litwina, potém miała tę zasługę w oczach jego, że była tradycyjną, prawieczną. Obchodzono się z niemi ostro, surowo, zimno, nigdy im nie odsłaniając serca, nigdy nie dogadzając w niczém, a nie myśląc, że te posłuszne lalki kiedyś w świat puszczone, przywykłszy opierać się na kimś zawsze, paść potém mogą bezsilne wśród drogi, gdy im zabraknie podpory.

Stanisław był najstarszym z rodzeństwa, i nierozwiniętemu jeszcze w czasie dziecińśtwa swojego systematowi wychowania ojcowskiego winien był trochę więcéj swobody i niezupełne zabicie w nim własnego życia. Ale w miarę jak rósł, jak przychodzili na świat bracia i siostry, pomnażało się rodzeństwo i ojciec umacniał w powziętych ideach swoich, a matka słabła przed nim, coraz cięźéj jakoś poczęło mu być na świecie. Szczęściem przyszły szkoły, poleciał trochę za dwór krasnobrodzki i odetchnął; a choć ojciec surowość i dozorcom i nauczycielom zalecał względem dziecka, żadna wszakże niewoli domowéj wyrównać nie mogła.

To też ile razy przyszło pod dach rodzinny powracać, z radością, którą budziło przywiązanie ku niemu, mieszał się strach i niepokój nieopisany, bo dni spędzane u rodziców były dniami niewoli babilońskiéj. Ojciec, zaledwie wstąpił na próg, obejmował na chwilę przelaną innym władzę swoją, i miotał młodym chłopcem nielitościwie.

Dwie łzy puściły się z oczu Stanisława, gdy bryczka—którą powoził fornal, równie przestraszony jak panicz;—bo mu w drodze koń zakulał,—zastukotała na mostku ostatnim i wtoczyła się w dziedziniec.

Jeszcze chwila... a trzeba było stanąć przed strasznym sędzią... Wózek się zastanowił, i nim Staś wyskoczył, aby powitać ojca, matkę, braci i siostry, już oko sędziego z ławki, na któréj siadywał, dozierając z daleka gospodarstwa, dostrzegło kulawego konia, i pan Szarski przybiegł cały rozogniony, z góry wpadając na fornala. Nie myślał już witać syna, który stał strwożony, nie mogąc ani przybliżyć się do ojca, ani przed ojcem uścisnąć matki i rodzeństwa—ale pochwycił parobka za ramię i grzmiącym głosem zakrzyknął:

— Co to jest? Abramek kuleje? Abramek kuleje?

— Ja nie winien, proszę jwpana... począł wyprostowując się fornal cały drżący z przestrachu. *Musi* się gdzieś podbił, bo nie był kuty, a ja już nogę opatrywałem... nie ma nic...

— Czyś ty go gdzie tylko na krętym zawrocie, albo prowadząc po swojemu do wody, nie spleczył, łajdaku? zawołał sędzia. Oj! będąż basy, będą basy, jeśli się to okaże!

To mówiąc, ujął Szarski Abramka za pęcinę silną dłonią, popatrzał w kopyto, które sam oczyścił, pokręcił głową, i dopiero nakiwawszy fornalowi pod nosem, podał synowi rękę do pocałowania, ale bez najmniejszéj oznaki czułości. Spojrzał na niego jakby szukał za co pogderać zaraz, odebrał listy nauczycieli i świadectwa, począł je czytać, a chłopiec po cichu poszedł ucałować rękę matki drżącéj i rzędem stojących siostr i braci.

Sędzia rozpatrywał się w papierach, niczém nie okazując w twarzy, jakie na nim czyniły wrażenie; złożył je, obejrzał się, dostrzegł, że młodsi stoją w ganku, i donośnie zawołał:

— No! do roboty! Będzie czas ze Stanisławem się zobaczyć; teraz godzina lekcyi... godzina pracy... do swego!

Dzieci znikły natychmiast; została tylko matka, to na syna, to na męża spoglądając bojaźliwie.

— Kontent jestem z wasana, rzekł ojciec po małéj pauzie do Stanisława, który pośpieszył drugi raz rękę jego ucałować. Szkoły skończyłeś dobrze, pochwały ci oddają... dopełniłeś obowiązku. Dziękować ci za to nie będę, boś zrobił tylko to, coś był powinien... Ja na was w pocie czoła pracuję, wy także na swoją przyszłość zarabiać powinniście. Dziś masz dnia resztę na odpoczynek i pogadankę z matką; a że młodemu czas drogi, ja się zaś nie mam kim wyręczyć... jutro do gospodarstwa.

Stanisław śmielszy był trochę, póki z niego swoboda szkolna nie wywietrzała; postanowił więc, korzystając z dobrego usposobienia ojca i własnéj śmiałości, na razie zrobić uwagę potrzebną, któraby późniéj może przyjętą już być nie mogła.

— Rozkaz ojca dobrodzieja święty dla mnie, rzekł głosem trochę za nadto odważnym widać, bo sędzia brew namarszczył i głowę odwrócił zdziwiony;—ale...

— Co? *ale?* jakie *ale?* zkąd tu przyjechało to *ale?*

Zaczerwienił się Stanisław, ale dokończył:

— Jeżeli ojciec dobrodziéj pozwoli mi daléj naukom się oddawać, czas wakacyjny zaledwie wystarczy na przygotowanie się do egzaminu...

Sędzia nigdy nie odstępował swego, choćby nawet w głębi uznał, że się omylił... zwłaszcza z dziećmi.

— Wasan myślisz mnie już uczyć? spytał; dla tego, żeś szóstą klassę skończył? A ja, kpie jakiś, piąty krzyżyk kończę, to trochę więcéj niż szósta klassa!

Znajdzie się czas na wszystko, byle bąków nie zbijać i do góry brzuchem nie leżeć. Powyznaczam godziny, a chcę, żebyś waść się z gospodarstwem oswoił i mnie w niém pomagał. A teraz—dodał wskazując ręką—idź waść do oficyny... Jest tam izdebka, z Falszewiczem stać będziesz razem, rozpakuj się i uporządkuj.

Takie było w domu przyjęcie poety. Ale mimo surowości ojca, pozornéj obojętności matki, nieśmiałości rodzeństwa, niewygód mieszkania zajmowanego na współ z bakałarzem młodszych braci, niejakim Falszewiczem, nieznośną kompaturą, mającą tę tylko zasługę, że była posłuszna i tania,—Staś czuł się szczęśliwym w Krasnobrodzie.

On kochał to miejsce ciężkich prób, ale drogich dziecińatwa wspomnień, i powitał je niemal ze łzami. Każdy kątek przypominał mu jakąś chwilę przebytą, rzadko miłą, prawie zawsze straszną, ale skrystalizowaną już w głowie i sercu poety w ten brylant drogi, który się pamiątką nazywa. Pomimo że Stanisław był już dorosłym, i inni rówiennicy jego używali na świecie zupełnéj swobody, on najmniejszéj nie miał w domu. Nie mówię już, że mu brakło najpierwszych wygód życia, bo na to się nie uskarżał i nie bolał, choć często wstyd było w przerobionéni widocznie odzieniu ojcowskiém lub z wytartemi łokciami i dziurawemi bótami jechać do kościoła... ale do serca nie miał nikogo. Poczciwa matka słuchała wszystkiego prócz uskarżań na ojca, na które milkła jak ściana, zagryzała usta, i dawała zaraz do zrozumienia, że nawet uszami uczestniczką ich być nie chce. Bracia byli tak młodzi, siostry tak dziecinne, a tak rzadko było się można z nimi spotkać sam na sam i poufale, że Stanisław żył zupełnie samotnie i w sobie. Falszewicz

bakałarz, z którym mieszkać był zmuszony, więcéj mu ciężył niż osładzał tę pustynię. Był to jeden z tych głupców, którzy się wyuczyć mogą parę rzeczy i całe życie je powtarzać, ale sądu nie mają żadnego, i wloką się po drodze poziomej omackiem. Pomnażało to głupotę jego, że się napijał trochę, a sędziego tak się obawiał, iż drżał na samą myśl obrażenia go czémkolwiek, i gotów był nawet donosić mu co gdzie zobaczył, byle choć trochę łaski u niego pozyskać.

Sądził się on o wiele lepszym od szóstoklassisty mającego dopiero iść do uniwersytetu, a przeczucie mimowolne umysłowéj Stanisława wyższości czyniło go zazdrosnym i niechętnym. Że zaś ojciec postawił go z nim razem, Falszewicz wziął sobie za obowiązek pilnować Stasia i dokuczać mu ile zdoła. Nie było sposobu trzech słów z nim pomówić, bo prócz grammatyki i rudymentów elementarnych, które zksiążki, nie szczędząc linii jako środka wykładu, powtarzał... prócz plotek domowych i kilku piosnek ulubionych,—głowę miał pustą, jak stare pudło nadgniłe na strychu. Na samo spojrzenie na jego facyatę, całą oblaną czerwonością, a niekiedy aż granatową, spłaszczoną nakształt mordy mopsiéj, z czołem nizkiém, nad którém włos szczecinowaty do góry porastał, z ogromnemi odstającemi uszami i nosem gulkowatym—na postać ku ziemi pochyloną z nadzwyczaj długiemi rękami, zwykle wiszącemi w dłuższych jeszcze kapoty rękawach bezwładnie,—odpadała ochota zaczepić go nawet.

Pierwszy wieczór przeszedł jeszcze jakokolwiek; Falszewicz choć zamyślony i usiłujący udawać starszego i zwierzchnika, był znośny. Nazajutrz zaraz ojciec

postawił Stanisława przy młockach, wprawdzie z książką, ale mu ledwie parę razy dał wybiedz do domu. Tymczasem ciekawy a głupi ów nauczyciel napadł na papiery studenta i począł je nielitościwie wertować. Włosy powstały mu na głowie, gdy ogromny sekstern wierszy zobaczył i dowiedział się z nadpisu, że to są poezye pana Stanisława. Próbował je czytać, a nie zrozumiawszy nic prawie, rozgniewał się i rozpłomienił bardziéj jeszcze, schował *corpus delicti* do kieszeni, stancyę na klucz zamknął, a sam co najprędzéj poleciał z donosem do sędziego.

Sędzia wedle zwyczaju był na polu, ale to nie wstrzymało gorliwego delatora, który sadząc przez płoty i rowy, zdyszany cały poleciał do niego na poletek. Widząc go w tak niezwyczajnéj porze goniącego za sobą, pan Szarski domyślił się, że to nie jest bez kozery, powstał z półkopka, na którym siedział, i pośpieszył wyprostowany ku niemu.

Falszewicz tak był rozgniewany i wzburzony swojém odkryciem, a rad, że tą przepotężną gorliwością na kieliszek starki może zasłużyć, iż prawie mówić nie mógł. Zdjął czapkę z daleka, starając się wysapać za wczasu.

— Czegoż to aż tu mnie wasan łapiesz? zapytał sędzia.

— Jest racya, proszę jwpana, odparł dobywając papierów z uśmiechem lisim Falszewicz. Odkryła się śliczna rzecz! Jwpan zna moje przywiązanie do swojéj osoby... Otoż... jak tylko pan Stanisław poszedł do stodoły, przez życzliwość, przez gorliwość, chciałem zajrzeć do jego papierów co tam stoi... bo ja się to na tém znam! Ha! ha! choć z czwartéj wyszedłem, ale i szóstoklassistę w kąt zapędzę. Kiedy ja do tych

papierów, proszę jwpana... a tu co?... Ot co.. pokazuje się, że pan Stanisław wiersze pisze!

Podniósł głos i ogromnie oczy wytrzeszczył, dodając wagi swéj rewelacyi.

— Słyszy jwpan... wiersze pisze!

Począł przewracać schwytany sekstern, i wpadając na miejsce założone wcześnie kawałkiem papieru od cukru, dodał cały drżąc z ukontentowania:

— Ale to nic jeszcze!... Niech-no jwpan patrzy! ot co! ot! *Do nieznanéj kochanki!*

Sędzia pobladł, zadrżał, osłupiał... w milczeniu wziął papier w rękę, chcąc się naocznie przekonać o zbrodni... spojrzał, zaciął wargi, i widać było, że w nim wewnątrz się burzyło, ale rozum gniewu na wierzch nie puszczał.

— Dziękuję waćpanu, rzekł głosem zmienionym, chowając papiery. Powiedz waćpan mojéj żonie, żeby ci dała kieliszek starki... Ze Stasiem ja się rozmówię...

Falszewicz z radości aż zatarł ręce i ukłonił się nizko.

— Już to proszę jwpana, nikt pewnie gorliwiéj mu nie służy.

— Wierzę waćpanu, wierzę, odwracając się odparł sędzia; ale ruszaj do młodszych, ze starszym ja sobie dam rady.

Staś ani się domyślał burzy, jaka go czekała za powrotem wieczornym do domu. Chmurna twarz ojca nic mu z razu nie zapowiadała; dopiero gdy przy powitaniu zamiast spytać o pańszczyznę i podać rękę do pocałowania, sędzia usunął ją i groźnie spojrzał mu w oczy—postrzegł, nie wiedząc o co chodzi, że będzie miał ciężką chwilę do przebycia.

— A dobrze, żeś przyszedł, odezwał się syczącym

głosem Szarski. Mam tu ci coś powiedzieć... Słuchaj... co to jest?

I wskazał sekstern założony jeszcze sinym papierem na nieszczęsném westchnieniu do nieznajoméj kochanki... potężnym i coraz groźniejszym powtarzając głosem: „Co to jest? co to jest?“

Stanisław pobladł, zadrżał, zmieszał się.

— To są ćwiczenia, odparł po cichu.

— Za takie ćwiczenia i nauczyciela i ucznia w istocie oćwiczyć warto, przerwał gwałtownie ojciec. Do czego waćpanu wiersze? do czego smarkaczowi kochanka? To o tém waść myślałeś w szkołach?...

Stanisław oczy spuścił, i serce tak mu w piersi bić przestało, jakby miał w miejscu umrzeć; ale nielitościwy ojciec, choć widział tę męczarnię, nie darował synowi ani jednego słowa wyrzutu, którego słuchali nadbiegająca matka, bracia i z za węgła niepoczciwy Falszewicz.

— Taka to wasza nauka! to u waści w głowie! Ale ja rychło boćkowskim batogiem wypędzę te ideały. Jeśli mi wasan dwa wiersze jeszcze napiszesz, klnę się, że za każdą syllabę po dziesięć nahajów wyliczę, a znasz mnie waćpan, że darmo nie straszę! Teraz precz, do stancyi, i ani mi się pokazuj na oczy.

Stanisław odszedł pół martwy; ledwie się wlokąc, dosunął do łóżka i upadł na nie, tłumiąc łzy, których się wstydził. Sędzia wrócił do dworu; braciom i siostrom zakazano widywać winowajcy, matka naturalnie ani się śmiała wstawić nawet za nim, a Falszewicz uśmiechając się sam do siebie, poszedł zaraz nasycać się upokorzeniem nienawistnego szóstoklassisty.

Zapalił sobie fajęczkę bakonu, która po kieliszku starki najlepiéj mu smakowała, i począł śpiewając,

przechadzać się po ciasnéj izdebce, humorem swym urągając cierpieniu młodego człowieka, na którego z bydlęcém szyderstwem poglądał.

Pomimo odosobnienia, w jakiém żyli państwo Szarscy, których rzadko jaki sąsiad odwiedził i to nigdy bez interesu, niewielka liczba krewnych całkiem z nimi nie zerwała stosunków. Rodzina ta niegdyś w swoim kątku bardzo można i znacząca, miała w nim jeszcze związki familijne z przedniejszemi domami. A że sędzia, jak na szlachetkę, miał się dobrze i uczciwym był człowiekiem, nie wzdrygano się mimo jego dziwactwa i braku wychowania, uznawać go za krewniaka, a nawet parę razy do roku być u niego z ceremonialną wizytą. Od stryjecznych stryjeczny czy może dalszy jeszcze, pan Adam Szarski zajmował dość znakomite stanowisko między obywatelstwem okolicy. Był to człowiek bardzo bogaty, jedną tylko mający córkę, wychowany sam starannie, dom utrzymujący na wielką stopę, słowem, do wyższego już niby należący świata.

W głębi nie był to zły człowiek, miał swoją dobrą stronę, ale wszystkie niemal przymioty jego psuła żyłka do arystokracyi, pragnienie połączenia z panami, ubieganie się o dobry ton i nazwisko magnata, słowem, chętka zrzucenia z siebie skóry szlacheckiéj. Majątek a nawet urodzenie dawały mu do tego niejakie prawa, ale Szarscy, co niegdyś krewnili się z Puciatami, Sołłohubami, Sapiehami i Radziwiłłami na-

wet, doznali losu wspólnego wielu innym rodzinom. Podupadłszy na fortunie przez nieopatrzną rozrzutność dwóch z kolei pokoleń, zmuszeni zostali blizko przez lat sto wegetować prawie w zapomnieniu i wyszedłszy z koła arystokracyi, nie wiedzieli, któremi drzwiami do niéj wrócić.

W ogólności, jak tylko przerwie się raz czémkolwiek tradycya państwa, jak tylko pokoleń kilka przywdzieje szaraczek szlachecki, a starać się przestanie o coraz świetniejsze związki, wnet i po wiekowych zasługach... Na nowo się trzeba dorabiać przyjęcia do ściśniętego grona, w którém wszystkie miejsca zajęte, które raz wyszłych z trudnością nazad przypuszcza. Choć więc już dziad pana Adama Szárskiego dorobiwszy się na dzierżawach znacznego majątku, zostawił synowi prawie magnacką fortunę, choć syn jéj jeszcze przyrobił, a wnuk pomnożył pracą i ożenieniem, choć pan Adam odebrał jak najstaranniejsze wychowanie i po francuzku lepiéj umiał niż po polsku, co jest już znamieniem i piętnem najarystokratyczniejszém,—przyjmowano go wprawdzie wszędzie, ale czuć było można w grzeczności, z jaką witano, że nie myślano dopuszczać go do poufałości zupełnéj, ani z sobą postawić na równi. Napróżno silił się na przyjęcia, dawał bale, naśladował wszystkie najmodniejsze głupstwa i wmawiał sobie najdziksze nałogi kursujące po świecie, do którego tak pragnął należeć—próżno sprowadził kucharza cudzoziemca, wybudował pałac, sprawił liberyę i ustanowił w swym domu ceremoniał wcale nie wiejski a dosyć śmieszny... panowie na to wszystko jeszcze kręcili nosem. Jedli, pili, ściskali, winszowali, pożyczali pieniędzy, przyjaźnili się nawet, ale zawsze

w obejściu ich znać było, że raczyli zstąpić do niego i wymagali wdzięczności za łaskę, jaką mu zrobić raczyli.

Żona pana Adama była już nawet córką téj kasty tak zazdrosnéj, należała do niéj krwią i duchem; a jednak mężowi indygenatu wyrobić nie mogła. Poszła ona za pana Adama z przywiązania i kochała go bardzo, to jest tyle, ile prawdziwa wielka pani kochać może, bo tu i miłość ma swoje oddzielne warunki. Najprzód powinna być przyzwoitą, to jest choć na pozór chłodną; powtóre musi być nie śmieszną, bo śmieszność za kryminał gorszy od zbrodni się uważa; wreszcie nie powinna wymagać ani ofiar, ani poświęcenia zdrowia, ani najmniejszéj przykrostki, i nie mówić o sobie, nie popisywać się z sobą, pokrywając się nawet ile możności zalotnością swobodną, a niekiedy bardzo daleko posuniętą, dla odwrócenia uwagi. Pani Marya (tak ją zwano) kochała też męża bardzo, ale w sposób przyzwoity, tak, że niktby tego po niéj nie poznał, gdyby rzeczą powszechnie przyjętą i uznaną nie było, że jest heroiną przywiązania. Oboje zaś państwo Szarscy ubóztwiali, rozpadali się nad jedynaczką córką swoją, ślicznóm dziecięciem, a raczéj miluchną już panieneczką, bo Adelka choć w kapelusiku szwajcarskim i spodeńkach chodziła, miała już podobno rok piętnasty.

Adelka... jak tu ją wam opisać? Zdaje mi się, że dla tak młodziuchnéj istoty dość pasportowego rysopisu, bo wszystkie dziewczątka tego wieku są trochę do siebie podobne, z małemi waryantami; świat je dopiero potém przerabia na to, czém być mają. Adelka miała oczy czarne prześliczne, z bardzo długiemi rzęsami, twarz doskonałego owalu, włos bujny ciemno-

orzechowy, była nadzwyczaj biała, rumiana, świeża, bardzo swawolna i samowolna, bo też niezmiernie pieszczona, a w maleńkiéj jéj figurce tyle się zawierało wdzięku, że tego drobnego cacka nie zmieniliby rodzice na najdorodniejszą dziewę. Zdawało się, że Adelka nie wyrośnie już nawet z trochę niepokojącéj małości, bo się zupełnie uformowała; ale taką miała szykowność, taki wdzięk ruchów, taką form doskonałość, że niemal strach brał, żeby się to nie popsuło o jeden cal więcéj podrastając.

Taki był skład domu krewnych państwa Szarskich, o których gdy kto nawiasem wspomniał w Krasnobrodzie, pan sędzia skłaniał głowę z szyderską trochę uniżonością, i szeptał podnosząc rękę do góry:

— Wielkie pany! wielkie pany! Wysokie progi na szlacheckie nogi... Jaśnie wielmożni państwo Szarscy!...

Jednakże sędzia szanował ten dom i nie zrywał z nim stosunków. Na imieniny pana Adama i saméj pani jeździł wystrojony; przybyłych do siebie przyjmował nadzwyczaj grzecznie, a nawet pilnował gęby, żeby im nic przykrego nie powiedzieć, o co u niego najtrudniéj było, bo zadomowienie uczyniło go aż do zbytku prawdomownym. Kiedy niekiedy pan Adam sam lub z żoną i córką przyjeżdżał do Krasnobrodu, zwykle po południu, i spędzał u kuzynka godzinę jaką, wszystko u niego chwaląc niezmiernie, choć w istocie nie było się nad czém unosić, zwłaszcza dla takiego jak pan Adam człowieka, przywykłego do wytworniejszego rodzaju życia, do obyczajów innych i różnych nawet wcale warunków materyalnéj egzystencyi. Pani sędzina, która nigdzie nie wyjeżdżała z domu, pomimo grzecznych zaprosin nie bywała u Adamowstwa, i w ciągu lat kilkunastu parę razy tylko,

zebrawszy się na nowy czepek, jadła u nich wielkanocne święcone. Nie miano jéj jednak tego za złe, bo wiedziano, jak mało zależy od siebie.

W parę dni po opisanych wypadkach trafiło się, że przypadła doroczna wizyta pana Adama w Krasnymbrodzie; a że tam nikt prawie nie bywał prócz urzędników za interesami, jak tylko postrzeżono powóz zbliżający się drogą ku dworowi, wszystko co żyło, poznawszy konie i pojazd pana Adama, ruszyło się do niespodzianych przygotować odwiedzin. Żeby jakkolwiek przyjąć choćby nie tak wymyślnego nawet gościa, wiele w istocie brakło, bo w domu opuszczonym ani jednego porządnego pokoju nie było. Skoro wiadomość o gościu gruchnęła, wszyscy, począwszy od samego pana sędziego, jęli się porządkować naprędce. Z sieni musiano wynosić skóry i balejki, z pokoju gościnnego motki i garnuszki, dzieci potrzeba było odziewać, samym się przebierać, zamiatać, kadzić, ścierać, ustawiać. A że sędzia się niecierpliwił, sędzina płakała, na dzieciach zaś krupiło się, a słudzy potracili głowy, więc gdy koczyk pana Adama zastanowił się przed gankiem, spotkał wynoszących jeszcze stolik brudny w jedną, a niecułki w drugą stronę.

Ale pan Adam gdy chciał, umiał nic nie widzieć, i powitawszy kuzyna w progu, odwrócił się zaraz ku drzewom, których wzrost począł wychwalać, zazdroszcząc ich Krasnobrodowi, a tak długo unosił się nad niemi, póki drugą stroną domu reszty gratów nie powynoszono. Dopiero przeczuwszy, że już do pokoju wykadzonego rożkiem wejść można, ruszył się gość ku niemu.

Tu już na jego powitanie gotowa czekała pani sędzina w prawie świeżym czepku i nowiuteńkim per-

kalowym szlafroku, dwie starsze dziewczątka widocznie naprędce uczesane i jeden chłopczyk zapinający jeszcze skórzany pasek, który mu świeżo włożyć dozwolono. Dym bursztynu, pomieszanego ze smołką i łupinkami jabłek, unosił się jeszcze w sinawych obłoczkach po izbie, trzymając się za ręce z pyłem podniesionym przez szybkie zamiatanie... ale pan Adam z uśmiechem wszedłszy, zdawał się na nic niemiłego nie zważać, i choć się trochę krztusił, złożył to na męczący go już od tygodnia kaszel.

Sędzia swoim zwyczajem surowy i ponury, zasiadł rozmową bawić kuzyna; sędzina wyszła zaraz myśleć o ciężkiém zadaniu herbaty, do któréj nic prócz chleba i suchych czarnawczyckich obwarzaneczków nie było; a dzieci obrawszy ostrożnie pozycyę we drzwiach od drugiéj izby, ztamtąd się paradnemu gościowi tchórzliwie przypatrywały. Z kolei przeszła mowa do konsolacyi, o któréj Szarski z obcymi mówiąc, zawsze z nadzwyczajną odzywał się czułością, a pan Adam upomniał się o Stanisława, który w téj chwili okdomenderowany był do stodoły.

— A! powinszować kuzynkowi kochanemu! rzekł z uśmiechem: słyszałem, że Staś powrócił skończywszy szkoły z wielką pochwałą; powiadano mi, że chłopiec bardzo zdatny, był słyszę jednym z pierwszych i wziął nagrodę... Ale gdzież to kochane dziecko? Chciałbym się bliżéj poznać ze Stasiem.

Pan Szarski mimo swéj prawdomówności, nie śmiejąc się przyznać, że szóstoklassista zastępuje gumiennego, wytłómaczył polowaniem nieprzytomność Stanisława, a sam ruszywszy się zaraz, wysłał Falszewicza, żeby go zastąpił w stodole, i przypędził do pokoju, zaleciwszy, żeby się przyzwoicie ubrał.

W kilka chwil potém wszedł i Stanisław w nowym mundurze, gdyż choć klassy skończył, innego nad to odzienia nie miał. Pan Adam niezmiérnie uprzejmie zbliżył się do niego, i tysiącznemi osypawszy pochwałami, rozpytując go o szkoły, o towarzyszów, nauczycieli i dalsze projekta, posadził przy sobie.

Położenie Stanisława było nadzwyczaj przykre: przytomność ojca paraliżowała go zupełnie, spojrzenie jego odejmowało mu mowę; nie wiedział co począć z sobą. Ale kiedy kto pragnie brać co za dobrą monetę, wszystko mu wówczas dobre, i pan Adam najmniéj znaczące półsłówko z najlepszéj sobie tłómaczył strony, odkrywając w niém zaraz coś bardzo dowcipnego i trafnego.

— Zapewne Staś pojedzie do Wilna? spytał pan Adam: bo szkoda, żeby takie zdolności zagrzebał na wsi, przy gospodarstwie...

Ojciec odpowiedział za niego skinieniem głowy.

— Tak jest panie dobrodzieju... choć to nam bardzo ciężko, ale musimy ściągnąć, żeby go do Wilna wyprawić.

— Na jakiż oddział?

— A na medycynę, rzekł sędzia: to, co chleb daje najłatwiéj.

Pan Adam zmieszał się; chodziło mu o imię Szarskich, którego żaden jeszcze medyk nie nosił.

— Piękna nauka, rzekł połykając ślinkę; ale czy tylko Staś ma do niéj pociąg jaki?

Staś naturalnie oczy spuścił i słowa nie śmiał odpowiedzieć.

— Już to czy ma, czy nie ma—odparł sędzia—musimy najprzód myśleć o powszednim chlebie, to grunt.

— Ale zdaje mi się kuzynie kochany, że go twoje dzieci i tak mieć będą.

— Sześcioro! sześcioro! poważnie odparł sędzia. Ja nie długowieczny, niech się na gotowe nie spuszczają.

Na tém urwał się niemiły przedmiot, a widać było, że ta medycyna strasznie przykre, choć nieokazane awniéj, na panu Adamie uczyniła wrażenie.

— Wiele jeszcze czasu ma Staś przepędzić w domu? zapytał po chwili.

— Kilka tygodni; nim się zbiorę na grosz, na odzienie, na wyprawienie go, bo to wszystko kosztuje, a czasy ciężkie, rzekł sędzia. Od gęby sobie odrywać potrzeba.

— Radbym się ze Stasiem bliżéj poznać, przerwał pan Adam. Pozwólże mu panie sędzio, na jaki tydzień do mnie przyjechać... zrobisz mi wielką łaskę.

Stasiowi aż serce uderzyło, ale prócz ukłonu na nic się nie zebrał, bo woli własnéj nie miał. Sędzia widocznie się zmieszał... nie chciał odmówić, nie życzył sobie pozwolić. Potrzeba było dać koni, dać może kilka złotych na drogę; rachował i to, że nowy mundur codzień występować będzie i znacznie się przyszarza; nie chciał też od boku swego puszczać Stanisława, bo się obawiał towarzystwa, które mu głowę zawrócić mogło... ale z tak grzecznym kuzynkiem nie było sposobu. Począł tak naglić, tak nacierać, tak może skutkiem rachuby jakiéj napadać na sędziego, że ten wreszcie dał słowo, iż Stasia przyszle na tydzień do Mruczyniec.

Tą chwilą spodziewanego odetchnienia zabiło serce młodemu chłopcu, ale drogo ją okupić było potrzeba. Wiedział Stanisław, że po odjeździe pana Adama znie-

sie niewinnie burzę, wymówki i łajania, a nim go do Mruczyniec wyprawią, wymęczyć się będzie musiał kilkodniowém prześladowaniem. Najniespodzianiéj jednak wszystko to go minęło.

— Ot wiesz co, kochany sędzio, rzekł ściskając go za ręce pan Adam, który zdawał się uparcie stać przy swéj myśli pochwycenia na czas jakiś Stanisława: daj mi Stasia zaraz, a nie będziesz go potrzebował odsyłać, zabierze się w moment, a ja dłużéj się nim pocieszę.

Sędzia widocznie się zafrasował, nie będąc pewien ani całości butów, ani wyprania bielizny studenta, opierał się, wywijał, ale im silniéj się wykręcał, tém silniéj nastawał pan Adam. W ostatku, po cichéj naradzie z sędziną w drugim pokoju, gdy się okazały i nowe przyszwy, i koszule białe, choć zły i zniecierpliwiony, na odjazd pozwolił.

Staś poleciał do oficyny robić tłomoczek, a w pół godziny późniéj, po mozolnie odbytéj herbacie, którą pan Adam przełknął jak miksturę, byli już na drodze do Mruczyniec.

Tu całkiem inna atmosfera otoczyła młodego chłopaka, wśród któréj chociaż się czuł nie swój, bo mu nieśmiałość jego wrodzona i wyrobiona obejściem domowych ciężyła i nie dozwalała pokazać się kim był w istocie,—lżéj daleko, swobodniéj było Stasiowi. Gdyby nie ciągłe upokorzenia, na jakie go narażała nieznajomość świata i nieznośni pańscy słudzy, byłby prawie szczęśliwy. Miał tu książki, czas do dumania,

wolności trochę i spokoju, czego dotąd nie zaznawał Pan Adam przytém, ona sama i Adelka nawet, niezmiernie byli grzeczni, uprzejmi i uprzedzający dla Stasia.

Po kilku jednak dniach oswoił się ze wszystkiém, ze wszystkimi, i odetchnął. Nie pierwszy to już raz przybywał do Mruczyniec, dokąd go prawie co wakacye i święta na dni kilka zabierał pan Adam... znajomość jego z Adelką była stara, i podobno nawet ów wiersz do nieznajoméj kochanki, wspomnieniem czarnych jéj oczek był natchniony.

To dziecię pieszczone, strojne, miluchne, nie mogło być Stanisławowi obojętne... była to pierwsza kobieta, do któréj się poufaléj zbliżał, pierwszy ideał, jaki mu zabłysnął na ziemi. Bawili się z nią dniami całemi, i dziewczę przeczuciem już poczynało zalotnie się uśmiechać do kuzynka, którego uwielbienie i miłość dla siebie instynktem poznało. Państwo Adamowstwo, albo tego nie widzieli, lub nie myśleli zważać na to, co słusznie za niewinne uważali dzieciństwo. Towarzyszka zwykła Adeli, Francuzka panna Susse, w tych platonicznych miłostkach dwojga wyrostków miała sobie zabawkę, śmiała się z nich i ledwie im nie pomagała. Poczęło się to od wejrzeń, od słówek, od zrywanych razem kwiatków, od przepisanéj piosneczki i ciągnęło się wesoło daléj a daléj z dnia na dzień.

Tymczasem korzystając z pory, pan Adam zbliżał się także do Stasia, usiłując go wybadać, a że go ta projektowana medycyna dusiła, próbował czy nie znajdzie w chłopcu wątku jakiego do oppozycyi woli ojcowskiéj. Chciał nawet, jak się zdawało, wziąć na siebie ciężar przerabiania sędziego, gdyby się powód znalazł do tego.

Dostarczyła go poezya... Staś nadto był młody, zbyt otwarty, ukrywać się z czémkolwiek nie umiał; drugiego więc dnia zapał, z jakim się rzucił do książek, rozmowa, półsłówka odkryły w nim poetę.

— A cóż to będzie z medycyną? zapytał pan Adam.

Stanisław westchnął tylko głęboko.

— Nie godzi się, zdaje mi się—rzekł poważnie kuzyn—zagrzebywać daru bożego marnie; powinieneś ojca prosić, żeby cię pokierował drogą właściwą... a ja... jabym ci w tém u ojca mógł dopomódz.

Na samą myśl sprzeciwienia się ojcu, Stanisław zadrżał, pobladł i stanął jak wryty.

— A! panie! zawołał: to być nigdy nie może... Ojciec co raz postanowił, od tego nigdy nie odstąpi. Zmiłuj się pan, nie mów mu nawet o tém: nie darowałby mi nigdy saméj myśli.

Pan Adam pokręcił tylkogłową.

— Ale wieszże do czego to prowadzi? zapytał. Nie będziesz ani poetą i pisarzem dobrym, ani lekarzem wziętym... chybisz swoje powołanie i zmarnujesz życie.

— Cóż na to poradzić! rzekł ośmielony Stanisław: będę w dzień pracował dla chleba, a w nocy dla serca i duszy.

Łzy zakręciły mu się w oczach i więcéj nie mówili już o tém, a pan Adam żywo tylko ramionami ruszył zniecierpliwiony; ale przy każdéj okoliczności nie omieszkiwał przypominać, jak ważną jest rzeczą, ażeby życiem kierować wedle przyrodzonych zdolności, ku powołaniu jakiemuś ciągnących. Znajdowały się i przykłady wypaczonéj doli ludzkiéj, przez nieposłuszeństwo głosowi wewnętrznemu.

Wszystkiego tego słuchał Staś pilnie, i coraz głębiéj położeniem swojém się biedził, nie widząc na nie ratunku.

Jak sen przechodziły dni pobytu w Mruczyńcach, chłopak drżał na myśl powrotu z téj atmosfery dostatku, swobody, grzeczności, do krasnobrodzkiéj oficyny, stodoły, Falszewicza i utrapień domowych... Ale odpychając groźby zatruwające mu szczęście chwilowe, sercem całém lgnął do otaczającego świata.

A! drogie to były chwile... komuż ich kilka na brzegu życia nie błysło? Przeznaczone na pamiątki, snuły się złociste, idealne, przebierając się natychmiast w widma niepochwycone... Dzień wczorajszy po nocy marzeń już wyglądał jak poemat; ranek widziany wieczorem już był pieśnią zachwycającą, a młoda dusza z siłą sobie właściwą, każdą chwilę wnet stroiła w szaty nieśmiertelne, mieszcząc je w najdroższym serca kątku. Wszystko tu jak w heroicznych wiekach było epoką, a najdrobniejszy wypadek, słowo, ruch... olbrzymie przybierały rozmiary. Wielka jest władza serca w téj chwili pierwszych uczuć i wrażeń:—tworzy ona z niczego nawet; cóż gdy cudny Opatrzność da jéj wątek? Naówczas serce śpiewa epopeję życia, któréj, gdy ją przerwie rzeczywistość kamienna, nigdy potém dokończyć, nigdy powtórzyć nie potrafi.

Staś się całkiem zapomniał na tém miękkiém posłaniu marzeń; budził się z gorączką, zasypiał rozogniony, liczył z przestrachem chwile zbliżające go do odjazdu, z niesmakiem i wstrętem myśl jego zatrzymywała się na Krasnobrodzie, usiłował o nim zapomnieć, i pod różnemi pozorami odkładał powrot, który im bardziéj się przeciągał, tém istotnie był groźniejszy.

Tymczasem dni biegły czarownie, wśród nieustannych wypadków, niedostrzeżonych oczom cudzym, a dla dwojga tych istot ważnych jak największe w świecie wstrząśnienie. Jednego dnia Adelka była smutna, nadąsana i kilka godzin nic nie mówiła do Stanisława... Staś przeżył cały wiek rozpaczy; to znowu młody chłopak onieśmielony słowem, odsunął się od niéj, i nazajutrz wróciła mu wszystkie jego pamiątki... a wieczorem zbliżyli się do siebie i poprzysięgli wiekuiste przywiązanie. Data dnia tego, godzina wieczorna, fizyognomia nieba i ziemi, wyryły się głęboko w pamięci obojga... bo chwila ta była pierwszą krótkiego ich życia uroczystością. Nie mogli zamienić pierścionków, bo ich nie mieli, ale zastąpiły je dwie gałązki niezapominajek zerwane w ogrodzie... które prędko, o! prędko! uwiędły na ich sercach i zeschły na piersi gorącéj. Po tym wieczorze pamiętnym, który Stanisława niósł do siódmego nieba i wylał się z niego cudną ogniem pieśnią erotyczną... kochankowie uważając się za niezłomnym ślubem związanych, uspokoili się nieco, a Staś nawet przestał się tak bardzo obawiać powrotu do domu, pragnąc cierpieć dla niéj i wyzywać nawet boleści, by niemi dowiódł swéj miłości.

Dni następnych, ostatnich, których każda minuta policzona była, żyli tylko z sobą i w sobie, oboje tworząc przyszłość i po swojemu rozwiązując wielkie trudności, jak węzły gordyjskie, mieczem młodości i zapału. Adela ofiarowała się paść do nóg rodziców i wybłagać u nich pozwolenie. Stanisław miał z uszanowaniem, ale z niepohamowaną mocą charakteru powiedzieć wszystko ojcu, i nie dać się złamać ani groźbą, ani postrachem, ani najwymyślniejszą męczarnią.

Dla czegoż te sny i uczucia młodości tak piękne,

uroczyste, tak poetycznemi odziane barwami, tak są nietrwałe i kruche? Dla czego dojrzały człowiek chowając je w duszy, śmieje się z nich sam i urąga im, nie umiejąc poszanować świętéj niewinności wyobrażeń pierwszéj doby? Kiedyż w nas więcéj jest uczucia, szlachetności zapału, miłości, poświęcenia i wiary we wszystko wielkie i piękne? wartże rozum i chłód późniejszy tych uniesień tak śmiesznych a tak wielkich swoją prostotą?

Niestety! jest to tylko chwila w życiu... tylko chwila, któréj przeczeniem cała reszta dni zastygłych, znudzonych i obrachowanych; dla szalonych tylko, co mieli szczęście postradać przytomność w téj epoce, przeciąga się ona po za zwykłe granice. A z pod siwego włosa, jak się to dziwnie wydaje ten rozkwit bujny, niepojęty, śmieszny a nieodżałowany! i któżby to nie dał skarbów lat późniejszych za zwrot jednéj godziny z tych dni uroczych, za jedno takie serca uderzenie, za jeden taki polot w niebiosa! Ale nic nie powraca! nic się nie powtarza! a czas żelazną ręką wiedzie nas na górę, na szczyt łysy, z którego strąca — w wieczność.

Nareszcie nadszedł smutny, uroczysty wieczór pożegnania, wieczór ostatni. Sędzia nie doczekawszy się syna, zniecierpliwiony przysłał po niego bryczkę, i kazał fornalowi powiedzieć, żeby się stawił nazajutrz raniuteńko do Krasnobrodu. Stasiowi rozdarło się serce, ale posłusznym być musiał.

Szczęściem wieczór był cudny, a panna Susse lubiła bardzo przechadzki; wywiodła więc Adelę, któréj towarzyszył naturalnie Stanisław, i ledwie się oddalili od domu, dwoje młodych znikło jéj z oczu, biegnąc naprzód, by swobodnie pomówić z sobą. Oboje łzy

mieli w oczach, i chwyciwszy się za ręce stali w milczeniu pod lipami, nie mogąc przemówić słowa.

— A! mój Boże! zawołał nareszcie Stanisław: wieczór ostatni. Kto wie na jak długo, na jakie wieki rozdzielić się musimy!

— Ale przyjedziesz do nas, nim te strony opuscisz? spytała wzruszona Adela.

— Nie wiem, nie wiem! zależę od ojca! a czy pozwoli?

— Ja się o to nie pytam! ja chcę! ja każę... ja się gniewać będę!

— Wykradnę się,—przyjadę!

— Tak! o! tak, musimy się widzieć! pamiętaj!

Milczeli znowu, ale patrzali na siebie.

— I chowaj niezapominajkę! dodała Adela.

— Możeszże wątpić? godziż się mnie posądzać?

— Pojedziesz do miasta, nowi ludzie, nowe twarze cię otoczą, wy zapominacie tak łatwo!

— O! a wy? Adelko!

— My kochamy raz i na zawsze!

— Raz i na zawsze! powtórzył Stanisław. Teraz, ja ci powiem: pamiętaj, pamiętaj te słowa!

I znowu poszli spuściwszy główki smętne, aż do końca ogrodu, podali sobie ręce, ścisnęli dłonie, a gdy panna Susse nadeszła, mrok tylko nie dozwolił jéj dojrzeć błyszczących łez, które się w ich oczach kręciły.

Nazajutrz do dnia jeszcze, wszyscy spali w Mruczyńcach, gdy Stanisław odjeżdżał do domu. Zwrócił się ku oknom mieszkania Adelki, i w jedném z nich zobaczył z daleka białą twarzyczkę i białą chustkę, która go żegnała.

Ręką przycisnął do serca zcschłą już niezapominajkę, fornal zaciął konie, i wielkie topole dziedzińca zakryły mu szczęście jego na zawsze.

Pożądliwém okiem napróżno Staś upatrywał miasta, za każdém rozstąpieniem się czarnych lasów, które je osłaniały przed niecierpliwym młodzieńcem. Wlokąc się drogą piaszczystą powoli, posyłał wejrzenie przed siebie, i spotykał tylko drzewa, tylko piaski i coraz gęściéj po nad gościńcem porozstawiane karczemki. Myśl jego to wyprzedzała konie, to się zwracała ku domowi i Mruczyńcom; trudno mu było przeszłość pogodzić z przyszłością, a gwałtem chciał je z sobą pobratać. W pośrodku każdego z marzeń młodzieńczych stawał surowy ojciec i twarda ręka odtrącała go z obranéj ścieżki. Ostatnich kilka tygodni goryczą napełniły serce jego; przeżył je w prześladowaniu za poezyę, w służbie nieznośnéj, w upokorzeniach wszelkiego rodzaju, a gdy nadszedł odjazd do Wilna, ojciec mu zapowiedział stanowczo, że jeśli sobie z głowy nie wybije literatury, piosnek i wszelkich głupstw tego rodzaju, wyprze się go i do domu nie przyjmie. Musiał się więc zapisać na medycynę... obiecując wszakże pracować w dwójnasób i literaturę choć ukradkiem uprawiać. Z bardzo szczupłym wyprawiony fundusikiem, a mnóztwem przepisów i zaleceń oszczędności, Stanisław ani przeczuwał z ilu mu przyjdzie walczyć trudnościami w życiu, które rozpoczynał.

Od czegoż to niewyczerpane zapasy odwagi i za-

pału, któremi piersi człowiecze napełnia młodość? Możnaż z niemi zwątpić, zawahać się i upaść jak padają starzy?

. Wszystko więc, nawet trudne zagadnienia przyszłości powoli w głowie Stanisława poczęły przybierać barwy wiosenne i przedzierzgać się w nadzieje... Wyglądał tylko miasta, by je powitać krzyżem świętym, modlitwą i pokłonem.

Wtém nad samą piaszczystą drogą ukazała się z lewéj strony stojąca karczemka, przed którą stało parę bryczek i buda żydowska; a że słabe konięta chłopskie, któremi Staś jechał, już tak były zmęczone, że się ledwie wlokły, furman się zatrzymać musiał.

Był to widocznie jeden z tych domów szynkowych, które zapowiadają miasto, postawiony bez nadziei, by ktoś na dłużéj tam zajechał, a więc bez obszernych stajeń, i udający daleko coś lepszego niż był w istocie. Nad dolném mieszkaniem, w piasku zaklęsłém, udającém sutereny, a galeryjką otoczoném, wznosił się ganeczek z wykwintnemi słupkami i wejściem po wschodkach. W oknach izdebki gościnnéj widać było zawieszone przed kilku zapewne laty firanki i dwie doniczki geranium i karolinki.

Gosposia całkiem już po miejsku przebrana i nie bez wdzięku, częstowała właśnie w téj chwili z kwadratowéj flaszy furmanów, uśmiechając się i szczebiocząc, a drugie dziewczę, młodsze od niéj, stało na galeryi, mizdrząc się może z nałogu, bo nie było do kogo. Zresztą karczemka ta, która zwykle bywa stacyą furmanów, co konie w piaskach zmęczyli, a zwabiała ich taniością wódki pieprzem tureckim podprawianéj... stanowiła także kres dla odprowadzających przyjaciół, co się bez kilkakrotnych uścisków rozstać

nie mogli. W jéj jedynéj a dość lichéj izdebce, któréj całą ozdobą był tapczan, ławy, podarta firanka i nędzna kwiatków zapomnianych zieloność, nieraz spijano przywiezionego z miasta szampana, nieraz też odbywały się nocne hulanki, na które w mieście miejsca zabrakło.

Smutne to było jak każda pod miastem gospoda, woniejąca pijaństwem, będąca zwykle przytułkiem najostatniejszéj wygnanéj z grodu hałastry... Odrapane ściany, spłowiały szyld (*armes parlantes*, bo wyobrażał butel i kieliszek), poobrywana miejscami galeryjka i powytłukane okna nie dodawały jéj wdzięku, a kilka chudych sosen ani jéj ocieniały, ani zdobiły. Do koła były tylko piaski i łyse wzgórza. Ale mimo smutku, jakim wiało od gospody, trzeba się było zatrzymać dla koni. Staś spojrzał zniecierpliwiony do koła.

Wtém, o cudo! na galeryi spostrzegł jednego najprzód, potém dwóch, trzech, czterech towarzyszów szkolnych, jak on widać jadących do Wilna.

— A! szanowny Piwonia! zakrzyknęli chórem. Witaj nam poeto wiosny! witaj i chodź do nas... a nie to cię tu za uszy pociągniemy.

Stęskniony do młodego towarzystwa, Staś jednym susem z bryczki poskoczył do nich, i znalazł się w uściskach najpoufalszych swoich rówienników.

— A! chwałaż Bogu, żeśmy cię spotkali, zawołał Paweł Szczerba, przyjaciel od serca Stanisława. Wjedziemy już razem do tego przeklętego czy zaklętego Wilna, do którego suniemy się, suniemy i dosunąć nie możemy.

— A najprzód, przerwał Bolesław Mszyński, który był łakomy jak dzieciak: zbierzmy resztkę naszych

zapasów podróżnych, i nim konie wytchną, urzniéjmy sobie piknik na prędce! Ja do składki ofiaruję niedogryzek wędzonéj kiełbasy!

— Żarłoczysko, rzekł Paweł ruszając ramionami: żebyś ty choć na chwilę o brzuchu zapomniał!

— Chodźmy do stancyi! dodał Michał Żryłło, poczciwy Litwin: tam się i nagadamy, i obmyślimy...

— Chodźmy! chodźmy! potwierdził ostatni pan Korczak, już pod wąsem, słuszny i więcéj od nich wszystkich na mężczyznę wyglądający współkolega.

Zabierali się do pokoiku, kiedy ktoś szósty jeszcze ze drzwi do szynkowni się pokazał. Był to widocznie jak oni młody uczeń, tylko ze szkół innych i nieznajomy im wcale, do Wilna do uniwersytetu dążący, ale nie wiadomo z kim i jak tu przyjechał, a bóty miał jakoś bardzo zapylone.

Młodzi chłopcy spojrzeli na niego, on na nich.

Nieznajomy w dosyć wytartéj surducinie mundurowéj, z któréj był ogromnie wyrósł, w wykrzywionych butach i połatanych spodniach, w czapeczce, któréj sukno z granatowego na sine prawie spłowiało... pomimo niepozornéj odzieży, miał minę tak dumną, pewną siebie, odważną i spokojną, tak z góry na nich spoglądał, że ich wszystkich potęgą swego wzroku uderzył. A jednak iskra geniuszu nie świeciła na nizkiém jego czole, ani w rysach pospolitych przebijał się talent potężny, którym twarz tchnie i goreje; silna tylko wola, uparta jakaś duma, mówiła przez zamknięte jego usta i pogardliwe niemal spojrzenie.

Z przyszłym kolegą jakże się tak minąć na sucho, nie spytawszy, nie powitawszy się nawet. Szóstoklassiści tyle znali swe obowiązki akademików, że nie mogli nie zaczepiając go, potrącić tylko w sieni i obojętnie odejść.

Paweł Szczerba i Michał Żryłło pierwsi się nastawili do przywitania, gdy nieznajomy wcale go od nich nawet nie oczekując, nie uchyliwszy czapki, dość dumnie ich sam zaczepił.

— Panowie koledzy, rzekł podnosząc głowę: pewnie jak ja do Wilna dążycie? a nie podwieźlibyście mnie czasem?

— Z całego serca! odezwał się pierwszy Stanisław: ja mam miejsce na bryczce.

— A jakżeś się tu dostał? spytał Szczerba.

— O! jak! ciekawiście? odparł uśmiechając się niemal zwycięzko nieznajomy. To dość długa historya. Koniec końców, żem się aż tu oparł... a że mi się tego kawałka drogi piechotą już iść nie chce, i do miasta tak wnijść samemu niemiło... przysiądę się do którego z was.

I nieproszony wszedł razem z nimi do stancyjki, rozsiadając się pierwszy na ławie.

To wmieszanie się nowego towarzysza trochę oziębiło przywitanie i rozmowę młodych ludzi; ale w ich wieku znajomość prędko się wiąże, a w pół godziny już byli jak dziesięcioletni przyjaciele.

Nieznajomy rozparłszy się na ławie, z miną zawsze zuchwałą i z wyższością, którą przybrał od razu, począł im rozpowiadać swoje dzieje, a nietylko się nie zdawał chcieć ukrywać przed nimi ubóztwa, które mu towarzyszyło w pielgrzymce przez ogromny kraju kawał, ale się niém wynosił i chlubił jak hydrą zwyciężoną.

— Idę — rzekł — aż z Podola... chociaż prawdę rzekłszy i jechałem trochę, ale i o kiju dobrą część drogi odbyłem... (Uśmiechnął się). Dziś już została mi tylko trzygroszówka w kieszeni i pierścionek, ostatni klejnot szlacheckiego domu, którego sprzedaż ma

mnie utrzymać przez kilka pierwszych w Wilnie miesięcy. Doprawdy rozkoszną i poetyczną odbyłem drogę, i nie żałuję niczego, chyba ostatnich bótów podartych...

To mówiąc podniósł nogę i pokazał ledwie trzymające się resztki podeszew, przez które wyzierały palce.

— Ale nim sprzedasz pierścionek, nim znajdziesz znajomych i porobisz przyjaciół, jakże sobie dasz rady? spytał go Michał.

— Ho! ho! nie turbuj się o mnie! śmiejąc się zawołał młody awanturnik, którego Bazylewiczem nazywać będziemy. Najprzód oto znajomych już mam; powtóre tak jestem pewien, że sobie rady dać muszę i na wierzch wypłynę, iż o tém ani myślę.

Młodzież z uwielbieniem spojrzała na kolegę; on na nią z wyższością i niemal politowaniem, a uczuciem swéj siły.

— No! zawołał: dawajcie tam jeść, jeśli co macie w torbach; ja wam apetyt mój ofiaruję do składki... Ktoś tu wspomniał o kiełbasie, ja się zgadzam i na nią, bom głodny szalenie!

Wesoło rozpoczęła się ta uczta improwizowana, którą składała szkaradna herbata miejscowa, owa kiełbasa po śledztwie w bardzo maleńkim zjawiająca się kawałeczku, bułki, ser, masło i jaja. Wszystko to młodym, zgłodniałym, gadającym i niemającym czasu smakować, wydało się doskonałém; a Bazylewicz jadł za czterech, i przyznać mu potrzeba, że bez najmniejszéj ceremonii z przed nosa wszystkim zmiatał bez wyboru co mu się tylko nawinęło... co na placu to nieprzyjaciel!

Rozpoczęła się rozmowa gwarna, urywana, ochocza.

— A ty Stanisławie, spytał Szczerba: na co myślisz chodzić? czemu się oddajesz?

— Medycynie! cicho i smutnie westchnął Szarski. A ty?

— Ale bo i ja na medycynę ruszam, zawołał Szczerba: więc witaj kolego... Bardzom temu rad, że na jednéj siądziemy ławie; ale nie pojmuję co to się stało: byłeś najpierwszym uczniem z literatury i języków, pisałeś wiersze i mowy lepiéj od nas wszystkich, a podobno i od professora... i myślisz chodzić na medycynę!

— Taka jest wola rodziców, odpowiedział Stanisław.

Bazylewicz porwał się z ławy, z zapałem tak przesadzonym, że nie mógł być całkiem naturalny i trochę dla efektu niepodrobiony.

— Co ja słyszę! zakrzyknął. Cześć i poszanowanie rodzicom!... ale godziż się ich słuchać, gdy chodzi o losy żywota i o wykształcenie na jedynéj drodze, którą nam Ojciec-Stwórca wyznaczył! Bóg wlał w pierś twoją poezyę, byś był serc lekarzem, nie żebyś ją zamorzył w sobie na usłudze lada kpa, który niestrawności dostanie... Wyższa jest missya poety, i świętokradztwem jest ją poświęcać tak lekko.

— Tam do kata! szepnął Michał: jadł dobrze, ale peroruje jeszcze lepiéj... nabrał siły...

— Jam ubogi! odparł Staś czerwieniąc się cały...

— Jam podobno uboższy od ciebie, przerwał popędliwie gestyknulując Bazylewicz: tyś przyjechał wozem, ja tu się przywlokłem o kiju, jak żebrak... ty masz grosz w kieszeni, ja tak jak nic... ty masz rodziców, co się z tobą chlebem dzielą, ja do moich ode-

zwać się nie mogę bez grzechu,—a jak mnie widzisz, ja przecię... ja! nie idę na tę waszą medycynę chlebodajną, na którąby mi pójść było łatwo z moją pamięcią i zdatnością, ale na literaturę, do któréj powołuje mnie rozkaz boży.

Zarozumiałość Bazylewicza byłaby śmieszna, gdyby heroiczną prawie przez swą szczerotę się nie stała; ale coś w niéj trąciło komedyą i chęcią popisu, i to niszczyło wrażenie, jakie mógł zrobić na rówiennikach. Dziwili mu się, ale pokochać nie mogli. On spojrzał na nich z góry i zamilkł.

— No... a ty panie Bolesławie? zapytał przerywając potok wymowy Szczerba: z czémże jedziesz do Wilna?..

— Idę na prawo!

— Cha! cha! byle idąc na prawo, w lewo nie zbaczać, mieszając się gwałtem do rozmowy przerwał Bazylewicz... I to chleba kawał, często lepszy od innych.

— Juściż pozwól, że i nauka! zawołał trochę obrażony Bolesław.

— Nauki prawa nie rozumiem, odezwał się, wciąż zajadając, zarozumiały przybylec. Całe prawo Bóg zapisał w piersi ludzkiéj, a historya prawa jest wyznaniem ludzkich grzechów i błędów. Nie warto się tego uczyć.

— No, a ty Michalonie? rzekł odwracając się Bolesław, jakby nie słyszał perory, bo nie chciał się kłócić, a Bazylewicz go niecierpliwił srodze.

— Ja, dalibóg wam powiem, że sam nie wiem co ze mną będzie, odparł śmiejąc się Żryłło. Rodziców nie mam, którzyby mną pokierowali, opiekun daje mi

zupełną swobodę wyboru, szczególnéj skłonności nie czuję do niczego. Ot... rozpatrzę się... powącham, a nie wiem jeszcze co mi do serca przypadnie.

— I pójdziesz za sercem! wydeklamował Bazylewicz: co chwalę i *dank* daję postanowieniu.

— *Ago gratias!* rzekł kłaniając się nizko Michał.

— No, koléj spowiedzi na Korczaka, przerwał Bolesław wesoło: a ty co myślisz najszanowniejszy z drągów?

— Patrz! zaśmiał się wyrosły i pod wąsem Korczak, przyjmując przezwisko bez gniewu: aż do uniwersytetu mnie tym drągiem prowadzić będziecie! Co - żem ja winien, żem was przerósł i mam minę kapitana od dragonów?... A wiecie, że mam być przecię księdzem, i że wszyscy ile was jest, trochę poczekawszy, w rękę mnie całować musicie!

— Cha! cha! rozśmieli się chórem koledzy. Korczak proboszczem, kanonikiem, a może biskupem! Dalibóg to nie do wiary... on co jeszcze w piątéj klassie rozpoczął tak śliczny romans z towarzyszeniem gitary...

— Tak, i wcześniéj od drugich go począwszy, prędzéj od innych go skończył, smutnie odpowiedział zagadniony. Bądź co bądź, czeka mnie suknia księża i na łysinie korona.

— A zatém jest nas tu—policzył Paweł Szczerba—dwóch doktorów, ksiądz, literat, prawnik i... decydujże się Żryłło, a prędko, żebym wiedział jak cię zadeterminować.

— Ciągniéjmy na węzełki, zawołał Bolesław, wyjmując chustkę: niech los rozstrzyga czém będzie.

— A dobrze! może mi to wybór ułatwi, śmiejąc

się rzekł Żryłło. Będę się już trzymał rozkazów jaśnie wielmożnego losu.

— Na! masz! ciągniéj i niech się twój los razem z tym węzłem gordyjskim rozwiąże! poważnie odezwał się Bolesław. Cztery rogi, każdy oznaczony inaczéj, reprezentują teologię, medycynę; prawo i literaturę... o filozofii mowy nie ma, bo pamiętam, żeś zawsze podpowiadania potrzebował, gdy przyszło dziewięć razy dziewięć.

Żryłło zbliżył się, zastanowił, postał i węzeł pociągnął szparko, ciekawie się w nim rozpatrując.

— No! a cóż to znaczy? zapytał.

— Postrzyżyny! i ty masz być księdzem! zaśmiał się Bolesław.

— Zapewne! rzekł Żryłło: co z tego to nic nie będzie.

— O dzieci! dzieci! przerwał ze swéj ławy Bazylewicz: szczęśliwiście, że z losem tak sobie żartować możecie...

— I z losem i z losu! okręcając się na pięcie powtórzył Żryłło. Ksiądz nie ksiądz... proponuję dalszą drogę, bo robi się ciemno, do Wilna po piasku jeszcze kawał, a bardzo wątpię, żeby na nasz wjazd illuminowano miasto... zatém manatki na plecy i do budy!

To mówiąc, wysypała się młodzież śpiewająca i wrzawliwa na ganek, ze stukotem pozbiegali na dół, a że Bazylewicza niebardzo kto miał ochotę zabierać, Stanisław wsadził go na swoją bryczkę, i tak pojechali daléj.

W końcu prawie ulicy Trockiéj, za kościołem księży Franciszkanów, był dom niepoczesny, nakształt zajezdnéj gospody, utrzymywany przez pewnego spekulanta nazwiskiem Horyłkę, człowieka, który najmował mieszkania dniowo, tygodniowo, miesięcznie, rocznie, miał przytém rodzaj lichéj garkuchni, a nawet kawiareńki dla oszczędnych podróżnych. Niewiele mogąc rachować na zamożniejszą klassę, lubił szczególniéj pan Horyłka najmować swe stancyjki pojedynczo i po dwie, na różne termina, ubogim akademikom. Dom jego przedewszystkiém odznaczał się brudem i taniością swoją. Gospodarz, który się napijał i z żoną nieustannie darł koty, z największą sztuką trzymał się przy swéj entrepryzie, co chwila grożącéj upadkiem, i nie tracąc ducha podbijanego gorzałką, szedł daléj chwytając się to tego, to owego, a wciąż rachując więcéj na cuda i na książąt niemieckich, niż na zwykły, naturalny bieg rzeczy. Horyłka wcale już był niemłody; mówiono, że niegdyś sługiwał dworsko, że był kędyś kuchmistrzem nawet, a dorobiwszy się trochy grosza, włożył go w dom zajezdny. Ale że na wstępie na nowe gospodarstwo ożenił się z ładną dziewczynką, o wiele od jego łysiny młodszą, a może gorszą od niego, jakoś im ręką nie poszło. Bóg wie tam co się w jego domu działo, małżeństwo było bardzo niezgodne, oboje chwytali z niewielkiego fundusiku, jejmość już parę razy porzucała jegomości, jegomość czasem się porywał do cybucha, z roku na rok szło gorzéj,—jednak choć na włosku, Horyłka kamienicy siętrzymał.

Winien był dość grosza w rzeźni, u piekarza, po sklepikach, i właścicielowi kamienicy, zapożyczał się u przyjaciół, pieniądz niewystarczający na wszystko

topniał w jego rękach, ale się to jakoś wlekło z dnia na dzień. Coraz mniéj nauczywszy się rachować na nieświadomych miejscowości książąt niemieckich, których widać nie było, i na bogatych, o których marzył tylko, choć ci na Trocką ulicę do tak niepozornego domu nie zajeżdżali, chyba wypadkiem—zwrócił się powoli ze spekulacyą na studentów, porozdzielał dom na małe stancyjki, podejmował się wiktować, opierać i utrzymywać przybyłych akademików, i już poczynał rachować, że w końcu powinny mu się wrócić z lichwą kilkoletnie jego straty.

Ruchliwy to był człowiek, krzykliwy niezmiernie, cały boży dzień latał z kluczami po domu, sługi pędzał, porządek robił, ale go nikt jakoś nie słuchał, wszystko szło opak, a Horyłka w dodatku choćby go najpilniejsza pędziła potrzeba, wśród najgwałtowniejszego pośpiechu, byle gawędka się trafiła, zatrzymywał się godzinami, nie mogąc gęby powściągnąć.

Pił po trosze wódkę od rana, a cokolwiek zalawszy głowę, taką czuł potrzebę wywnętrzania się, że pierwszemu kogo spotkał opowiadał całe swe życie, plany spekulacye, nieszczęścia, odkrywając głębię zakrwawionego serca. Nadewszystko lubił się szeroko rozwodzić nad małżeńskiém swém pożyciem i doznaném niepowodzeniem w tym stanie, o czém więcéj mówił niżby należało, narażając się na uśmiech, nie umiejąc nawet łzami wyżebrać litości, tak był starowina pocieszny.

Żony jego już znowu nie było w domu, bo gdzieś od niego powędrowała, a Horyłka sam na barkach dźwigał cały ciężar domu. Wspomagali go w tém gruba Magda, szafarka, najbliższa powiernica i przyjaciołka, oraz Hersz, faktor gospody, prawa ręka, zastępca, *alter ego* gospodarza.

Hersz nadewszystko mu był potrzebny, choć jak pijawka go wysysał, ale bez niego kroku nie stąpił Horyłka. Któżby zajechał do brudnego domku na Trockiéj ulicy, gdyby usłużny Żydek nie stał we wrótach jak żywy szyld gospody i nie uganiał się łapiąc przejeżdżających, których mu fizyognomia wskazywała jako kandydatów dla domu?

Gdy nadeszła pora zjazdu akademików, Hersz i Horyłka nie mieli chwili spoczynku, nieustannie czatując na przybywających, a faktor nie dość że zachwalał i zapraszał, ale z gorliwości często chwytał za konie, czepiał się bryczek, i durzył młodzież, złote jéj obiecując góry.

Horyłka także ze swéj strony nie próżnował, wyskakując nieraz, o ile mu powaga jego dozwalała, aż do środka bruku, i nęcąc młodzież facyatą domu, która na ten cel sama tylko odnowiona została.

Dom na tę chwilę roku, dla niego stanowczą, przybrał był sukienkę schludną od strony ulicy, pomalowano nawet okiennice i część dziedzińca widoczniejszą wysypano żółtym piaskiem, galeryjka wreszcie u wchodu do traktyerni i bilardu olejno się zielonym kolorem okryła. Trzeba było słyszeć nieoszacowanego gadułę gospodarza, gdy w zapale rozpowiadał podróżnym o wygodzie i osobliwszych korzyściach swego hotelu!

— Panie dobrodzieju! panie dobrodzieju! co to za ulica! pierwsza w mieście, wsławiona męczeństwem Franciszkanów! Mój dom pierwszy na całéj ulicy, tego nikt zaprzeczyć nie może! wygodniejszego nie ma na całym świecie! Cichy, ciepły, czysty... porządek jak w klasztorze, bezpieczeństwo największe, od centrum niedaleko... kościół starożytny pod bokiem! Kuchnia u mnie, jaką się ani Malinowski, ani Nowiszewski

nie pochwalą! szlachecka, zdrowa a nawet wykwintna,: codzień naleśniki z powidłami! Wszelkie wygody!... Proszę tylko spojrzeć, żebrzę o bezstronny rzut oka! Dla uczących się to jedyne mieszkanie nieco na ustroni! Zimową porą jak w uchu, korytarze zamczyste, bezpieczeństwo! bezpieczeństwo! rzecz największa w mieście pełném oszustów i złodziei... za które *chonorem* ręczę. Można w korytarzu worek złota położyć!

Niewiele jednak jakoś zabiegi Hersza i wymowa samego pana Horyłki pomagały. Akademicy jechali tłumami, a izdebki dotąd stały jeszcze niezajęte. Gospodarz nieszczęście swoje poczynał przypisywać intrygom współzawodników, a że zwykł był początek wszystkich swych niepowodzeń składać na żonę, i tu już jéj manewrów się domyślał.

— Słyszysz Hersz? szeptał do faktora pod wieczór to nic innego tylko intrygi téj niegodziwéj! to jéj ręka, jéj robota! Ja się na tém znam: ona to robi wszystko, szyje mi bóty!

Żyd ruszał ramionami w milczeniu.

— Ale już ty mi nie gadaj, ciągnął daléj Horyłka, ruch ten biorąc za przeczenie. Jéj to robota, jak Boga mego kocham... intryga czarna! Dom mój osławia i odstręcza od niego... Tegoby nic było, gdyby mnie los zawistny z tą kobietą nie związał.

Już byli obaj z Herszem trochę nosy pospuszczali na kwintę, gdy im Pan Bóg zesłał całą furę naszych akademików w ręce. A że to byli pierwszoroczni studenci, po większéj części ubodzy chłopcy i nic miasta nieznający, zdało im się, że ich sam Pan Bóg do tego szczęśliwego doprowadził portu. Zaprosiwszy ich tymczasowo tylko na noc, Horyłka i Hersz tak podu-

rzyli młodych chłopaków, że wszyscy się u nich na próbę ulokowali miesięcznie.

Stancyjka, którą zajął Staś, przyjmując do niéj Bazylewicza, co się już ani myślał z nim rozstawać, była dosyć ciasna, w miarę ciemna, a według wszelkiego podobieństwa i zimną być obiecywała; ale Horyłka (od czego głowa?) wszystkie jéj wady umiał dzieciakom niedoświadczonym wytłómaczyć na przymioty. Zbyteczny blask, według niego, dla oczu pracujących był szkodliwy; obszerność nie mogła się pogodzić z ciepłem; szpary i dziury miały tylko odświeżać powietrze. Upatrywał nawet wielką korzyść w tém, że okno wychodziło na kawał brudnego dziedzińca, bo nikt szpiegować nie mógł co się działo wewnątrz, a żaden widok zewnętrzny i wrzawa uliczna nie miały im robić dystrakcyi.

Stanisławowi wszędzie było dobrze, choć Bazylewicz wparł się na kwaterę, zamącił spokój i natychmiast ustanawiając z mocy koleżeństwa zupełną wspólność własności, któréj sam nie miał, cudzą począł swobodnie i zamaszysto rozporządzać. Jakże było biednego, biedniejszego od siebie wypędzić na ulicę i odmówić mu przytułku dla dogodzenia fantazyi? Reszta towarzyszów w tymże domu w dwóch obszerniejszych rozłożyła się izbach, a to sąsiedztwo wszystkim im wielce było na rękę, bo się wspólnie ratować i wspierać mogli. Pierwsze dni były jak zawsze pełne zajęć i zachwytu. Staś jakby się obawiał, żeby mu wszystko nie pouciekało, obejrzeć chciał razem całe Wilno, pamiątki jego, okolice i osobliwości. Polecieli drapać się na górę Zamkową, do sterczących zwalisk górnego zamku, do katedry, na grób nieznany Witolda, na Bekieszówkę, po nad Wilię do gruzów

pałacu Barbary, do Ostréj-Bramy... obiegali kościoły zachwycali się uroczemi widokami tego grodu, którego każda piędź ziemi przesiąkła tysiącem pamiątek... Głowa się paliła poecie na samą myśl, że depcze pobojowisko, przez które przeszło tyle wieków, bohaterów, ludów, zapału i poświęceń. Nie było chwili czasu, żeby odetchnąć, bo z jednéj strony wpisy, rozpoczynające się prelekcye, z drugiéj porywające życie akademickie, tysiączne pokusy i roztargnienia ogarniały ich, chwytając myśl, serce i przytomność, wprawiając w rodzaj rozkosznéj gorączki. Któż z nas nie pamięta tego szału dni pierwszych i rozmarzenia, w jakiém poczynał żywot akademicki, będący nieustanném pasmem zachwytów? Zetknięcie się tylu młodości z sobą, jak skupienie w jedno ściśnięte ognisko promieni słonecznych, musiało wyrodzić stan całkiem nowy i niezwyczajny w innych życia warunkach. Z drugiéj strony nic nie przeważało, nie poskramiało go, bo nauczyciele nawet, i co się tylko z tym młodym ludem stykało, porwane wirem niepohamowanym, zamiast go uśmierzać, pędem jego schwycone leciało na głębiny. Każdy jednak charakter, każda osobistość odrębna, występowała tu jak w wielkiéj chemicznéj mieszaninie różnorodne ciała, wedle natury swéj zestosunkowując się z drugiemi. Stanisław żyjąc głębią swéj duszy, w sobie cały, dał się pochwycić i pociągnąć tłumowi, owładnąć towarzystwu i na wstępie stracił wolę, któréj rozwinąć nigdy nie miał sposobności, a użyć nie umiał dotąd. Bazylewicz przeciwnie szedł z głową w górę zadartą, posługując się wszystkimi, jak gdyby wszyscy byli dla niego stworzeni, i przebojem drogę sobie torował zwycięzko. Szczerba znowu, praktyczniejszy od innych, przybrał ton i po-

wagę mistrza względem młodszych, zdrową radą sobie i drugim posługując. Niewiele mówił, chwili czasu nie zmarnował, czując ważność każdéj godziny i każdego najmniéj znaczącego kroku.

Bolesław Mszyński zajadał tymczasem, nawet od pierwszego dnia występu stołowego pana Horyłki nie mogąc z kuchnią jego się pogodzić i dosztukowując łakociami, których miał zawsze pełne kieszenie. Co do ważniejszych spraw życia, zdał się na Szczerbę; a póki grosza stawało, używał. Michał Żryłło zawiązał natychmiast mnóztwo przyjaźni, stosunków, znajomości, i rozpoczynał swój zawód akademicki najserdeczniejszém koleżeństwem. Korczak wreszcie zamyślając o stanie duchownym i starając się o umieszczenie w seminaryum, smętnie spoglądał na nęcący świat, którego wyrzec się musiał.

Bazylewicz dniem i nocą nie przestawał namawiać Stanisława, aby szedł raczéj za sercem niż za wolą rodziców, a posłuszeństwo ojcu wystawiał w oczach jego prawie jako występek przeciw Bogu. Nie śmiał jednak Szarski pójść za radą jego i wpisać się na oddział literacki, który go tak nęcił; rozpoczął medycynę mimo szyderstw Podolaka, spoglądając tylko ze smutnym podziwem na odważnego kolegę, co się sam o swéj sile rzucał w świat z taką wiarą w przyszłość i powodzenie.

Z tydzień blizko chodził Bazylewicz po mieście, nikogo w niém znajomego nie mając, żeby gdzieś sprzedać swój pierścionek i mieć grosz na pierwsze życia potrzeby, a tymczasem brał u Stanisława co chciał, i bez zastanowienia posługiwał się jego mieniem i kieszenią. Nareszcie po wielu trudnościach, pierścionek kupił Fiorentini, a Bazylewicz sprawiwszy nowy mun-

dur, ufny w to, że musi znaleźć zajęcie i zarobek, gdy się wyczerpie zapasik, wyniósł się od Stanisława, utrzymując, że dom Horyłki jest nieznośną dziurą, w któréj żyć niepodobna.

Ale kilka tygodni z nim przebytych, widok aż do przesady posuniętéj odwagi i silniejszéj woli, nieuznawającéj nad sobą żadnego prawa, któreby nią kierowało, głębokie na Szarskim uczynił wrażenie. Stanisław z razu zawahał się co miał począć daléj, i czując jak mu nauka medycyny i atmosfera tego wydziału nie przypada do smaku, począł zamyślać coraz częściéj o przesadzeniu się na oddział literacki. Szczerba, który patrzał na ten duszny bój w młodym chłopcu, nic nie mówił, dopóki sądził, że się skończy poddaniem rozkazowi rodziców; ale wreszcie zastraszony rozdraźnieniem towarzysza, wszedł jednego wieczoru do Stasia, z zamiarem szczerego rozmówienia się z nim o tém. Zastał go nad dramatami Szekspira w tłómaczeniu niemieckiém; obok leżał sekstern anatomii rzucony rozpaczliwie na ziemię... był rozgorączkowany, z płonącą piersią, głową i załzawionemi oczyma.

— Słuchaj! powitał go w progu Stanisław: to nad siły moje... od jutra porzucam medycynę i poczynam literaturę... dziéj się wola boża!

— A ojciec co na to powie? spytał zimno Szczerba.

— Albo mi przebaczy, albo mnie wypędzi! rzekł Staś.

— Jeśli cię wypędzi, co rychléj być może, myśl jak sobie dasz radę za wczasu! zawołał przyjaciel.

— Nie widziszże tylu innych, którzy bez niczyjéj opieki, idą nie obawiając się o siebie? A Bazylewicz?

— Nie mierz się z nim, zawołał Szczerba: nie po-

dółałbyś tak wielkiemu zadaniu; na to mieć potrzeba jego zarozumiałość, ufność w siebie, pogardę ludzi i więcéj niż ty charakteru. Tam gdzie się on śmieje, tybyś płakał, a kto zapłacze, ten stawkę przegrał.

— Cóż robić?

— Iść daléj póki można, i nie oglądać się po bokach.

— Iść, mówisz, iść! wstając zawołał Stanisław: iść przeciwko skłonności, przeciw prądowi i wodzie, bez zapału i ochoty, dla chleba tylko! Cóż ze mnie będzie? Chybię powołanie jedno, nie wydołam drugiemu, ku któremu wstręt czuję... stracę życie...

— Pisz do rodziców, rzekł Szczerba. Jeśli na to pozwolą, nic nie mam przeciwko temu; ale wiedząc o niebezpieczeństwie, znając ojca, narazić się na to, czemu także nie podołasz, czego ramiona twoje nie dźwigną, uważ czy bezpiecznie?

To mówiąc, a widząc smutek i niepewność, w jakiéj Stanisław trwał od dni kilku, wziął go Szczerba i wyprowadził na miasto. Chciał go rozerwać widokiem ulicy i ruchu, których z okna izdebki nigdy nie był świadkiem lokator pana Horyłki, i powiódł z sobą ku murom akademickim. Rozmawiając o rzeczach obojętnych, zbliżyli się ku owéj kawiarni Julki, naprzeciw dzwonnicy, umieszczonéj na dole w dwóch ciasnych izdebkach, któréj głównymi gośćmi byli zawsze akademicy. Nie wolno im było wprawdzie znajdować się w tego rodzaju miejscach publicznych, ale umyślnie dla młodzieży usłużna gosposia, która secinami szklanek kawy czy cykoryi codzień karmiła zgłodniałych, miała parę izdebek osobnych, we własném ich przyjmując mieszkaniu. Kawiarnia officyalna stała pustką, ale do kątka tego docisnąć się było trudno. Na kuf-

rach, kanapie, łóżku nawet i kilku połamanych krzesłach, w kominie niekiedy zasiadali weseli chłopcy nad kubkiem fajansowym kawy z ogromną bułką, i napełniając dymem szczupłe ciupki, gwarzyli wesoło. Iluż to się tu na całe życie trwałych zawiązywało przyjaźni! ile wysnuło projektów, które los, okoliczności i wytrwałość ziściły! ile wykwitło nadziei, mających jutro zwiędnąć, na zawsze, zabitych wiekiem trumny!

A jak zaraźliwe wesele tryskało z tych młodych piersi, nieprzerwaną płynąc z nich pieśnią życia, i porywając wirem swym co tylko musnęło na drodze! Jak tam było dobrze, raźnie, wygodnie, miło—choć często stojąc na jednéj nodze, piło się tę kawę zastygłą z suchą bułką, z przyskwarzoną śmietanką, na którą się godzinę czekało, nim z kolei doszła aspiranta! Ta kawa zdrowa i posilna, bo podobno cykoryi więcéj w niéj było niż czego, dla wielu zastępowała obiad niedostateczny, odegrzewaną wieczerzę i zużyte pracą krzepiła siły, gdy towarzysząca jéj rozmowa, wesołość i wrzawa były też dla duszy pokarmem.

Staś jeszcze się nie był nigdy odważył zajść do akademickiéj kawiarni, do któréj go pierwszy raz wciągnął i zaprosił Szczerba.

— Ja funduję, rzekł z uśmiechem, używając zwykłego wyrazu: chodź, zobaczysz ludzi, rozerwiesz się, a szklanka kawy ci nie zaszkodzi, bo Horyłka nas niebardzo wyśmienicie karmi. Zmógł się nieboraczysko na pierwszy obiad i pierwszą wieczerzę z chróstem na smalcu; nie wiem do czego daléj dojdziemy, ale się obawiam, żebyśmy na ćwikle i musztardzie zamiast sztukimięsa nie jechali do końca roku.

Weszli tedy przez nizkie drzwiczki do sklepionéj

izdebki, i zastali nadspodziewany tłum gości. Bazylewicz najlepsze między nimi w pośrodku zabrawszy krzesło, głośno i krzykliwie perorował; na kufrze ujrzeli Bolesława ze szklanką pożywającego nie wiem drugą czy trzecią porcyę, z rozjaśnioną twarzą; dokoła siedzieli, stali, zwijali się znajomi i nieznajomi.

W małéj próżni naprzeciw Bazylewicza, osobliwsza figura zajmowała stosunkowo wielką dla siebie przestrzeń, a z nacisku po kątach miarkować było można, że się dla niéj rozstąpili akademicy. Bohaterem tym, zwracającym uwagę wszystkich, był człowiek już niemłody, zwiędłéj i bladéj twarzy, w dziurawych i wykrzywionych bótach, w spodeńkach letnich jeszcze, choć już dobry jesienny chłodek dokuczał, w granatowym fraku z krótkim stanem a długiemi połami... Człowiek ten z dziwną miną pół obłąkanego, na wpół napiłego, z ruchem teatralnym deklamował coś, a jak się zdało, tańcem nawet sobie do mimiki i wyrażenia uczuć swoich pomagał, bo nogę jedną miał podniesioną, gdy weszli nowi spektatorowie.

Był to ów sławny Krysztalewicz, którego dziesiątki i berlinki akademickie żywiły, trochę może w istocie na umyśle obłąkany, zawsze prawie pijany i na zawołanie poeta. Miał on pełne kieszenie wierszy swoją ręką przepisanych, które ofiarował za kilka groszy, obowiązując się prócz tego dla szczodrobliwszych mecenasów poezye swe deklamować, wyśpiewywać i wytańcowywać.

Nie wiem jakiém sercem młodzież śmiać się mogła z upodlonego, spadłego w żebractwo i głupotę człowieka; ale te pewna, że Krysztalewicz winien był zajęciu, jakie obudzał, grosz, który go karmił. Mniéj

śmieszny, możeby jeść i pić za co nie miał. U każdego wyłudził śmiechem grosik jaki, szklankę kawy posilnéj, lub kieliszek wódki lepiéj mu smakującéj jeszcze.

W chwili gdy wchodzili, skończył się właśnie mimodram Krysztalewicza, a rozpoczynało się na wezwanie publiczności opowiadanie ciekawych przygód życia poety, o których w formie autobiografii już był cały foliant zapisał nieszczęśliwy maniak. Sny jego, ciierpienia, niedostatki, trybulacye autorskie, historye dziurawych jego bótów i kłótnie z gospodyniami, pomieszane razem, składały osobliwszą całość, poplątaną, poprzerywaną wierszydłami, wyśpiewaną w tonie elegancko-patetycznym, na któréj mdłem tle rzadko coś dobitniéj i w wyrazistszych zajaśniało rysach. Krysztalewicz bowiem miał szczególny talent wskakiwania z przedmiotu na przedmiot, jak Tatarzy w biegu przesiadają się z konia na konia, tak, że gdy wracał do pierwszego założenia, już śladu jego w pamięci słuchaczów nie pozostawało. Były tam najpocieszniejsze drobnostki, przez powiększające szkło egoizmu widziane ze strony tragicznéj, opisy łatania podartego fraka, i pielgrzymki z rękopismami do księgarni Zawadzkiego, i wysławianie dobroczynności pana Strumiłły, i poemat nędzy, i dywagacye pijaństwa. Mieścił się tu i ów sławny epigram poety, w którym z właściwym sobie talentem związał razem pochwałę swego dobroczyńcy z ostrym przycinkiem nielitościwemu bibliopoli:

Strumiłło aż miło,
A Zawadzkiego jakby nie było.

O! i tysiące innych rzeczy, w nienaśladowany sposób splątanych nakształt kłębka różnofarbnych nici z którymby się młody kotek pobawił.

Przybyli, stanąwszy przy drzwiach, bo daléj posu-

nąć się nie było podobna, wysłuchali część pamiętników Krysztalewicza, a Staś przerażone oczy wlepił w tę postać obłąkaną, służącą za urągowisko kolegom.

— Na Boga, rzekł do Szczerby: to jakiś nieszczęśliwy... obłąkany człowiek!

— To tylko poeta! odparł Paweł z uśmiechem: poeta, który także może marzył w dniach młodości o szczytach Parnasu i wieńcach z rąk siostr dziewięciu... który pił i upił się z kastalskiego źródła... a dziś chodzi z dziurawemi łokciami, w koszlawych bótach i żyje jałmużną, płacąc za nią swojém szaleństwem.

Stanisław uczuł w sercu boleść przeszywającą; oko jego spoczęło na nieszczęśliwym, ale w téj twarzy, któréj wyraz starł nałóg, zniszczonéj, strupiałéj, nie było nic już, coby nawet litość wzbudzać mogło... spodlenie tylko wywoływało ją może.

Bazylewicz, który w téj chwili ujrzał stojących u drzwi Stanisława i Pawła, wnet po swojemu rządzić się począł, robiąc miejsce znajomym i wołając dla nich głośno o kawę. .

On tu już był jak domowy, i Fruzia, pierwszy garson, Natalka, najładniejsza z dziewcząt, a nawet sama gosposia, ukrywająca się w drugiéj ciupce przed natarczywą młodzieżą i niekiedy tylko ukazująca się w ważnych okolicznościach dla zrobienia porządku lub załatwienia sporu, znały go i poważały.

Michał Żryłło dowodził także gromadą, ale na inny sposób: Bazylewicz bowiem uzurpował władzę, nie pytając, jak się to komu zda? i chwytając za berło przemocą, a Michał wpływ swój cały winien był miłości towarzyszów.

— Jak ci się to zda? począł Bazylewicz, obracając się do Stasia: alboż nie wyśmienity nasz Krysztalewicz!

— Ja w nim widzę bolesne dla mnie urągowisko; strach jakiś porywa mnie, gdy nań patrzę. Jestże to koniec, do którego wiedzie literatura i poezya?... szał, pijaństwo, nędza i pośmiewisko!..

— O ba! odparł niewzruszony Bazylewicz: wszystkiemi drogami dojść do tego można. Któż mu winien, że nie miał ani talentu, ani siły? Po co było puszczać się trudnym gościńcem, po którym zdążając za innymi, zadychać się musiał, rozbić głowę i poranić słabe nogi? Każda walka ma ofiary swoje, każda gałąź kwitnąca pączki, które zjada robactwo i niszczy zgnilizna. Cóż mi tam, że jeden ciemięga spił się, oszalał, bótów nie ma i mrze głodem?

— A! ty nie masz serca! zawołał Stanisław oburzony, któremu łzy dobywały się z oczu.

— Mam, szydząc odparł Bazylewicz; ale go na błazeństwa nie szafuję, i chowam całe na to, co go warto!

— Pamiętaj tylko—odrzekł Staś—że gdy późniéj dobyć zechcesz, możesz je znaleźć zeschłe, zwiędłe i bez życia.

— A! w takim razie—niezmieszany rzekł student—albo je odżywię wolą potężną, lub... lub się bez niego obejdę.

— Krysztalewicz, wytańcuj nam swoją Odę do Golizny, przerwały obce głosy. Oto są goście nowi, nowe dziesiąteczki, może berlinki... kto wie! Pokaż co umiesz!

I powtarzali jak na uczonego pudla, wołając: „Pokaż co umiesz! pokaż co umiesz!“

Jakkolwiek dobrze już podpiły i dość bogaty, by o nowe nie dbać laury i zdobycze, poeta, posłuszny

woli ogółu, obrócił się do Pawła i Stasia, i plątającym się językiem począł ich witać niewyraźnie.

Ale Staś pierzchnął od niego jak od najstraszniejszego widma.

Wśród potężnie rozwiniętego w różnych kierunkach życia umysłowego, wśród świata przesiąkłego nauką, Stanisław nie mógł pozostać widzem obojętnym. Podbudzało go wszystko do myślenia, przyswajania sobie wrażeń i pojęć, do tworzenia. Na chwilę tylko uśmierzony popęd znowu wziął górę, i uczeń medycyny, różnie się przed sobą tłómacząc, opuszczał lekcye Bielkiewicza, piękne wykłady Fonberga, fizykę Drzewińskiego, by ukradkiem podsłuchywać, co tam rozprawiał o literaturze łacińskiéj krotochwilny Capelli, co poważny czytał Borowski, lub dziwacznie kommentował ponury Münich. Skarby myśli ludzkiéj, osłonione przed nim szatą niezrozumiałych języków, podwójnie go nęciły, urokiem zagadki i wielkością swéj sławy. Wyrywał się na lekcye filologów, na czytania z dziejów, literatury, i wśród nich czuł się dopiero w swoim żywiole. Tak walcząc z obowiązkiem i skłonnością, niszczył się targany na dwie strony; ale nie będąc rozkazami ojca przynaglany—bo sędzia rzadko i krótko pisywał do syna, nie przypuszczając nawet, żeby śmiał mu być nieposłusznym—przechylał się coraz ku temu, co go już w szkołach pociągało, ku literaturze. Wkrótce seksterna anatomii, na których ledwie początki osteologii ponotował, zmieniły

się w raptularze literackie, książki fizyki i chemii w grammatyki, słowniki i historye, a patrzący na to Szczerba milczał tylko, nie śmiejąc już łajać, a nie chcąc potakiwać. Tymczasem Bazylewicz, który często odwiedzał Stasia, zawsze go po swojemu napędzał, aby na nic nie zważając, szedł drogą, jaką mu wyznaczył los, dając talent, zamiłowanie poezyi i literatury. Siebie mu stawił za przykład, i naśmiewał się z tchórzliwości towarzysza, którą dziecińczęsto nazywał.

— Gdybym ja był na twojém miejscu—mówił mu— napisałbym otwarcie do rodziców... No! a jeśliby się sprzeciwiali, pogrozili, czyż to bez ich pomocy rady sobie nie dać! Starszy Pan Bóg niż pan Rymsza.

— A! tu nie chodzi o pomoc... ale mieć sobie zagrodzony nieposłuszeństwem dom rodziców, wyrzec się ich serca, nie ujrzeć więcéj tych miejsc ukochanych! tych ukochanych twarzy!... a! to okropne, to straszniejsze nad wszystko.

— Jesteś baba! wyrzekł na to Bazylewicz. Rodzice twoi pewnie więcéj mają rozsądku i serca niżeli ty im przypisujesz; uwłacza im to nawet, że ich posądzać możesz o obojętność, głupotę i okrucieństwo!

Staś mówić już nie śmiał.

Walczył jeszcze z sobą, słabo się opierając pragnieniu codzień biorącemu górę; nareszcie dnia jednego całą siłą woli rzucił się gdzie go wołały losy, a namyśliwszy się, napisał list do matki, w którym z pokorą i błaganiem położenie swoje i postanowienie niezłomne zwrócenia się na drogę, którą uważał za jedyną dla siebie, wyłożył. Wiedział on dobrze, iż matka do nikogo nie pisuje, od nikogo listów nie

odbiera, że to pismo wpaść musi w ręce ojca, ale może umyślnie, mimo to, wyprawił je na pocztę.

Z biciem serca oczekiwał odpowiedzi... ale długo a długo jéj nie było. Nareszcie jednego dnia zjawił się pocztylion i oddał mu list w szaréj kopercie, na którym z drżeniem poznał Stanisław rękę ojcowską. Ta ćwiartka papieru zawierała wyrok jégo życia lub śmierci, przebaczenia lub odrzucenia; nim się ją ośmielił otworzyć, Staś rzucił się na kolana, modląc się całą duszą. Wielkiéj potrzebował odwagi, by rzucić okiem na list, który mu z rąk wypadał; szczęściem na tę chwilę właśnie nadszedł Szczerba, i poznawszy o co chodzi, a ulitowawszy się nad znękanym, sam rozłamał pieczątkę. W twarzy jego wyczytał Szarski wyrok swój, bo Paweł pobladł, zadrgały mu ręce i papier powoli upadł na stół.

W milczeniu, ze łzami, Szczerba uściskał Stasia.

— Stało się—rzekł—choć nie wierzę, by serce ojca i matki na zawsze mogło się odwrócić od dziecięcia. Nie masz już prawa odezwać się do nich, i czekać tylko musisz ich litości. Zrobiłeś jakeś chciał, jakem ja ci odradzał, posłuchałeś Bazylewicza, miejże siłę pójść daléj bez niczyjéj rady i własnym kierunkiem. Ojciec odmawia ci nazwiska syna, wypiera się w tobie dziecięcia, i nie chce więcéj wiedzieć o tobie, zostawując cię własnym twym środkom, gdyś zażądał mieć wolę własną...

Staś jak słup martwy ręce ścisnął, ściął wargi i milczał; widać na nim było niezmierną boleść, ale ją tłumił w sobie... Szczerba nie opuszczał go na chwilę.

— Źle się zrobiło—rzekł,—ale jeśli nie chcesz lub nie możesz starać się o przebaczenie, myśl teraz co

poczniesz? Dopóki my co mamy, podzielimy się z tobą, ale to nie potrwa długo. Tymczasem porzuć osobną stancyę, wnoś się do nas i przyjmiéj co mamy!

Uściskali się w milczeniu.

— Nie trap się zbytecznie, dodał Szczerba. Mówiłeś mi o bogatych krewnych: udaj się do nich, może ci oni dopomogą.

— Nigdy! zakrzyknął Stanisław, któremu na myśl przyszła Adela; nigdy! będę pracował i wyżyję z własnéj pracy.

— A gdybyś przez nich spróbował zmiękczyć ojca? rzekł z cicha Szczerba.

Staś pomyślał.

— Spróbuję jeszcze... odparł: chociaż nie wiem czy jest kto, coby się potrafił ośmielić do niego z prośbą, instancyą, uwagą... i ktoby co u niego przeciw niemu uzyskał. Właśnie ci majętni krewni nasi nie radzi byli mojéj medycynie, powinniby się więc wstawić za mną do ojca. Nie mam najmniejszéj nadziei, ale nie chcę wyrzucać sobie, żem czegokolwiek, co zrobione być mogło, zaniedbał...

Jeszcze nie wyszedł Szczerba, gdy Horyłka, który czy się jakiéj zmiany w losie swego lokatora domyślał, czy podsłuchał rozmowę, wsunął się, brząkając kluczami i zażywając tabaki, do pokoiku z miną zafrasowaną. Spojrzał ukradkiem na Stanisława, nieco się skłonił, i czegoś zdawał się po stancyi rozglądać.

— Coś tu u pana—rzekł po chwili—i krzesełko nadłamane, i okno nadbite...

— Wszakżeś mi je tak oddał! rzekł Stanisław.

— Tak? tego sobie nie przypominam, odparł Horyłka; u mnie zawsze zdaje się wszystko we wzorowym porządku.... Ale o to mniejsza, prawować się

nie będziemy... Miałem spytać... bo to mi potrzebne do dalszych planów... czy pan tę stancyjkę zechce dłużéj zajmować?

— Jak to? spytał Stanisław: wszakże zapłacona za kwartał z góry... a ten się dopiero rozpoczął?

— Na kwartał! tak jest! bez wątpienia... rzekł łykając ślinę Horyłka; na kwartał... ale po kwartale...

— Po kwartale pomówimy o tém, odpowiedział Szarski.

— Bo jeśliby ona była panu niedogodna, zwłaszcza że coś zdaje się chłodna, a piec popękał—mruknął Horyłka—na cóżby ją dłużéj zajmować? Mam właśnie lokatora, któryby najął ją rocznie.

— Ależ zapłacona! rzekł Stanisław z oburzeniem.

— Cóż to zapłacona? tak jest! zapłacona... ale jeżeli się przy wyjściu kontraktu okażą z mojéj strony pretensye, a pan będziesz miał jaki ambaras w ich załatwieniu, nie lepiéjże to wcześnie pokombinować?

Akademicy spojrzeli po sobie.

— Ja jestem spokojny i uczciwy człowiek, ciągnął daléj Horyłka; tego mi nikt nie zarzuci, żebym do kogo szukał przyczepki... i gdyby nie ta szelma żona, z pozwoleniem panów... przez którą wszystko się pogmatwało... o! inaczéjbym ja stał! Panowie nie wiedzą co mnie ta niewdzięczna kosztuje...

— Ale cóż to ma do stancyi? spytał Szczerba.

— Po co to już w bawełnę obwijać? dokończył Horyłka odważnie, zbliżając się do Stasia; mówmy lepiéj otwarcie. Pan Szarski podobno w ambarasie nadal... ja to wiem, ja wiem wszystko...

— Jakże wiedzieć możesz? chyba słuchasz podedrzwiami? spytał Szczerba.

Horyłka się zmieszał i łysinę potarł.

— No, już jak ono jest to jest... otwarcie... na co panu daléj ta stancya? Niech się pan wyniesie do życzliwych kolegów, a ja tu kogo innego postawię...

— Ale ja za nią zapłaciłem!

— Co to, zapłaciłem? rozogniając się zawołał gospodarz; a pretensye? a jak ich nie będzie czém opłacić? Ot... ja mogę skwitować pana choć krzesło nadłamane, i podłogę szorować potrzeba, i szyba spękana i na ścianach androny popisane,—a pan lepiéj się wynieś sobie.

— A gdybyśmy my z panem Szarskim razem wszyscy się z waćpana domu wynieśli? spytał oburzony Szczerba.

Horyłka zmieszał się niezmiernie, i dopiero się opatrzył, że za daleko zajechał; ale nadrabiając rezonem, począł się śmiać.

— Wolne żarty panów! a gdzie taki dom drugi i taką jak moja kuchnię znajdziecie? gdzie takiego gospodarza, który się rujnuje dla waszéj wygody? Zresztą ja tylko radziłem, a wolno postąpić jak się podoba... uważaj pan jak lepiéj. Mnie stancyjka potrzebna, bo wkrótce nadjechać mają całą gromadą woltyżerowie z Wiednia... słyszy pan? z Wiednia! którzy pragną i dobijają się zająć dom mój, znany w całéj Europie, bez pochlebstwa... a jednego pokoju dla samego entreprenera właśnie mi braknie... moglibyśmy ułożyć się korzystnie.

— W istocie, rzekł Szczerba: może to i dobra rada. Wróć pan pieniądze Szarskiemu, a my weźmiemy go do siebie.

Horyłka oczy wytrzeszczył i chrząknął.

— Co się tycze pieniędzy... pieniędzy! przełknął powoli: to już wiadomo całéj Europie, że mnie ta

szelma, z pozwoleniem, zrujnowała, kompletnie zrujnowała. Zresztą ja muszę w każdéj operacyi zarobić... więc i tu... pieniędzy nie dam, ale jakiś czas karmić mogę...

Tegoż wieczoru zaskoczony Stanisław, ugodziwszy się o zmianę mieszkania na jadło, opuścił izdebkę, w któréj od wyjścia Bazylewicza sam był i spokojny żył z myślami swemi, wynosząc się na łaskę współuczniów do dwóch obszernych pokojów, które oni w kilku zajmowali. Było to pierwsze upokorzenie i pierwszy krok do nowego życia.

Czas biegł żywo, Stanisław pracował teraz we dwoje, widząc, że na pracy własnéj całe oprzeć musiał życie. Otoczyli go nowi towarzysze, wcale różni od tych, z którymi uczęszczał na medycynę, każdy bowiem oddział miał sobie właściwą fizyognomię. Medycy, po większéj części chłopcy ubodzy a pracowici, garnęli się do swéj nauki z zapałem, raźnie jakoś i ochoczo, smutne swe studya usiłując rozweselać humorem, nieustannie podtrzymywanym skupianiem się w gronka dla nauki i dodania sobie ducha. Pomiędzy nimi, począwszy od najznakomitszych intelligencyj do najpłytszych umysłów, szereg zdolności był niezmiernie rozmaity, wychowanie też, obyczaje, usposobienia najróżniejsze. Szyderstwo chłodne i niewiara szeroko tu panowały, choć były i wyjątki; ogół wszakże składał się z materyalistów. Gdyby nie młode uczucia szlachetne, których wygasić nie mógł sceptycyzm zaraźliwy, kupka ta byłaby straszną, tak zimno już uczyła się patrzeć na świat, ciągle do czynienia

mając z trupami lub człowiekiem w stanie anormalnym, schorzałym i upadłym; ale i tu święte idee braterstwa, poświęcenia, uczucia honoru żyły na ruinach bujnie i rozjaśniały szary horyzont materyalizmu.

Idee te pomiędzy garścią medyków niemal do egzaltacyi dochodziły, tak żywo były uczuwane sercami; bo skoro człowiek z jednéj strony stygnąć musi, drugą szuka czémby się rozgrzał i poruszył.

W oddziale literackim stosunkowo daleko mniéj licznym, składającym się z uczniów uboższych może jeszcze, których popęd niezłomny do studyów niewdzięcznych nakłaniał, większa była jednolitość usposobień i fizyognomia jednostajniejsza daleko. Było ich niewielu, zamyślonych, zapracowanych, niepewnych jutra, po większéj części wyglądających w przyszłości ciężkiego chleba nauczycielskiego; a obok wytartych mundurów tych cierpliwych wyznawców nauki, zaledwie parę wytworniejszych fraków bogatych chłopców, którym tylko o stopień chodziło, ukazywało się na ławach rzadko zajętych.

Większa część uczniów oddziału literackiego miała usposobienia, na które rachowała, i odznaczała się też nieodłączną od nich w młodym wieku zarozumiałością. Bazylewicz nieźle reprezentował ten ogół złożony z ludzi, którzy wiedzieli, że chyba niezmiernym talentem i nadzwyczajną pracą dobić się czegoś potrafią, tak rola, którą szli uprawiać, była nieplenną.

Mniéj tu było braterstwa, związku, serdeczności, wesela, niż pomiędzy medykami; bo każdy chodził z sobą, myślał o sobie, ufał w siebie, a rzadki miał ochotę się rozśmiać.

Kilku uczniów instytutu pedagogicznego, jeszcze butniejszych, bo wybranych i będących celem zazdroś-

ci, zasiadało w odosobnieniu niemal i samotności na ławach nieludnych wcale. Staś nie znalazł tu ani przyjaciół, ani młodości.

Wcześnie pomarszczone były czoła, za wczasu ściśnięte serca zamykały się w sobie, by całą swą siłę wylać w jakiéjś pracy. Bazylewicz powitał Szarskiego jako towarzysza ledwie nie szyderstwem.

— Tak trzeba było zrobić od razu, rzekł śmiejąc się. Baba jesteś! wahasz się; ciężko ci pójdzie na świecie,—ale lepiéj późno niż nigdy.

Staś postrzegł zaraz, że niewszędzie zarozumiałość odpowiada zdolności i służyć może za jéj miarę. Połowa najpewniejszych siebie, jak Bazylewicz, mierne bardzo miała talenta, ale nadstarczała za nie, wmawiając w siebie i w drugich, że w łonie swém kołysze geniusz, który się za chwilę rozwinie. Byli tam i ci ludzie osobliwi, których natura uposaża najszczodrzéj pamięcią, bystrością, pojęciem, łatwością chwytania i przyswajania cudzego, a którzy z najpierwszych uczniów, pobrawszy medale, nanizawszy wieńców, wychodzą w świat niezdolni zastosować tego, co nabyli. Na całe życie zostaje im to, czego się wyuczyli, z zarozumiałością i pychą studencką—ale nic więcéj. Obok nich trafiały się mniéj pospolite charaktery młodzieży bojaźliwéj, na pozór roztargnionéj, uczącéj się z trudnością, zawsze myślą uciekającéj z miejsca, w którém być powinna, zaledwie mogącéj przeleźć egzamina, co oswobodzona późniéj z więzów pedagogicznych i formuł naukowych, wychodzi na świat gasząc jednym zamachem wielkie te luminarze szkolne, którym na ławie ledwie sięgała po kolana.

Do téj właśnie kategoryi umysłów należał Stanisław, nieufny w siły swoje, bojaźliwy, chwilami tylko

zbierający się na gorączkową odwagę, a przez resztę czasu dający się zacierać wszystkim kto chciał. Bazylewicz, który mniéj od niego i mógł i umiał, ale z tego co posiadał, doskonale potrafił korzystać i popisywać się zręcznie—brał górę nad Stanisławem i nad wielu innymi, a z tymi, których pożyć nie mógł, tak śmiało występował do walki, tak z nich szydzić umiał, tak się im urągał, tak mało dbał o nich, że w końcu przy nim zostawała wygrana.

Wszyscy współuczniowie Szarskiego już w chwilach wolnych roili o autorstwie, próbowali sił swoich i rzucali się do tworzenia.

Bazylewicz chwycił się świeżéj naówczas formy Sonetów, tłómaczył Petrarkę, tworzył piosnki, i tak je deklamował, że wszelką rozbrajał krytykę, bo słysząc go śmiać się było potrzeba do rozpuku, a sądzić niepodobna.

Stanisław, ni mniéj ni więcéj, począł razem tragedyę, poemat, romans i historyę... Myśl jego płodna wolała tworzyć wielkie pomysły (które jednym rzutem oka w duszy oglądał w całém świetle, jakiego nigdy podobno dostąpić nie miały), niżeli je powoli i mozolnie dokonywać. Omylony tém, że widział pięknem, a raczéj jak pięknem byćby mogło to, co obmyślał w chwili zapału, Stanisław porywał się do dzieła, i na pierwszéj karcie niewprawną skreślonéj ręką, blade znajdując tylko odbicie świetnego obrazu, opuszczał dłonie bezsilne.

Brał się do czego innego, i z inném było toż samo. Nie wiedział jeszcze, że sam zapał nawet, kiedy unosi nad ziemię, nad chłodne strefy pracy, jest niemal przeszkodą dla poety artysty, który mozolnie od-

twarzać musi obraz wypiastowany w swéj duszy. Nie wiedział, że zapał potrzeba było skrystalizować w sobie i w jego formie dopiero odlać spiżowy posąg. O! wielu rzeczy nie wiedział jeszcze, i zrażał się niepowodzeniem co chwila, próbując w jakiby sposób myśl cudna, w któréj się przeglądał, od razu wylać się mogła cała, potężna, silna, barwna jak jéj nieśmiertelny prototyp.

O! inaczéj to w duszy patrzeć na te obrazy odbijające się w niéj z niebios, a inaczéj, inaczéj ulepić je z gliny i błota! Jeden tylko Bóg mógł na swe dzieło wejrzawszy, powiedzieć, że było dobre; a artysta! artysta chyba upadłszy na duchu, na umyśle i wyobraźni, przeżywszy się moralnie, przyklaśnie temu co stworzył.

Ci, co nie znają prototypu, lecz bladą tylko jego kopię mają przed oczyma, śnić z niéj będą o arcydziele; ale twórca, co nie zabył wielkiego swego marzenia, z politowaniem patrzeć musi na cień ideału, w gniewie mając ochotę sto razy skruszyć swe dzieło.

Bazylewicz wcale pracował inaczéj. Myśl jego i wyobraźnia działały leniwo; nie miał nigdy przed sobą całego jednolitego obrazu; zaświtało mu coś z dala, a w wykonaniu dopiero szukał i trafiał na przypadkowe piękności. Przychodziły mu one zmudnie, stroił je, wdzięczył, rozsadzał, przybierał; to też gdy późniéj spojrzał na tak utworzone dzieło przypadku i trafu, rozmiłowywał się w téj mozaice miłością wielką, i lubował się nią jak najdroższém dziecięciem.

Źle tam było przyjść do niego ze szczerą krytyką, na którą odpowiadał śmiechem, urąganiem, gniewem nawet i oburzeniem. Zlepki te jego zdawały mu się tak

niezawodnie arcydziełami, że gdy je odśpiewał, lada szmer świętokradzki do wściekłego gniewu go doprowadzał.

Daleko im wszakże było do doskonałości, do mierności nawet: brakło wszelkiego wdzięku... znać było pracę mozolną w tych wyrazach posprzęganych z wysiłkiem wielkim, którym kazano brzęczeć, dzwonić, stukać i hałasować, żeby pokryć nicość tego co obwijały. Forma jego podobna była do owych cukierków sprzedawanych w papierkach malowanych, w których więcéj farby, obwijadeł, pstrocizny i dodatku niż cukru i smaku.

A że żaden poeta śpiewać nie może sam sobie, a każdy potrzebuje uznania, schodzili się nasi młodzi czytać wzajemnie swe roboty, radzić się i dopatrywać wrażenia, jakie czynili na sobie. Już też i sława ich drobna rozchodzić się poczynała z ławy na ławę, nie przestąpiwszy jednak drzwi sali. Na tych posiedzeniach literackich, na których więcéj jeszcze było dymu i wrzawy niż czytania, Bazylewicz zawsze wszystkich przekrzyczał, i koniec końców jeśli nie zachwycił, to wmówił, że zachwycić był powinien, a gdy mu kto jaką uczynił uwagę, nigdy jéj nie przyjmując, zostawał uparcie przy swojém. Stanisław przeciwnie męczył się najniesprawiedliwszą nawet krytyką, i poświęcał często dla niéj to, co w jego oczach istotną stanowiło piękność. Trzeba mu było wysiłku odwagi, by się oprzeć lada polotnéj uwadze najpowierzchowniejszego umysłu. Sam niedowierzając sobie, bo w duszy nosił ideał, któremu zrównać kiedykolwiek rozpaczał, łatwo wierzył tym, co w jego pieśniach plamy widzieli i skazy.

W ich sympatyach dla pisarzy była także wielka różnica. Bazylewicz tych tylko cenił, którzy w czém-

kolwiek byli do niego podobni; Stanisław przeciwnie, przymioty, których mu brakło, głosy, jakich mu natura nie dała, brał do serca, umiejąc czuć nietylko ten rodzaj piękności wyłączny, jeden, który snuł się z jego duszy, ale wszelaką piękność, najsprzeczniejszą nawet z jego ideałem, lecz jakąś stroną swoją odbijającą nieśmiertelny prototyp.

Jakkolwiek bądź, ogół zawsze ostatecznie sprawiedliwy w swych sądach, choć się dawał na chwilę zadurzyć krzykiem Bazylewicza, więcéj jednak cenił Stanisława niż pierwszego, i smakował w tém, co tworzyło serce raczéj, niżeli w płodach głowy. Obiecywano sobie wiele po pierwszym, miłowano lepiéj drugiego; zresztą talenta ich tak daleko stały od siebie, że ich z sobą porównywać nawet nie było można. Tamten zawsze był gotów, wśród ulicy nawet, czytać deklamować, popisywać się i zgarniać wieńce, których był żądny. Staś prawie się wstydził tego, co robił, i sam pierwszy występował z krytyką, bo w chwili czytania tak mu się praca jego zdawała słabą, że ledwie mógł usta otworzyć, wcześniéj się do wad przyznając niżeli ich kto dojrzał... obwiniał się z góry, i błagał przebaczenia. To prawie całkiem zabijało wrażenie, jakie mógł na słuchaczach uczynić.

Położenie Stanisława codzień się stawało cięższém, a jutro groziło mu zupełnym niedostatkiem, jeśliby nie zapobiegł pracą wyczerpaniu bardzo już uszczuplonego zapasiku. Wprawdzie mieszkanie miał u kolegów i mógł na ten przytułek rachować; Horyłko

w skutek układu karmić go jeszcze obiecywał czas jakiś; ale nic nie miał więcéj nad ten dach pożyczany i kawałek chleba. Z domu nic słychać nie było, a nawet pan Adam Szarski, do którego pisał, nic mu jeszcze nie odpowiedział.

Jednego wieczoru, powracając zamyślony na Trocką ulicę, wśród dość pustéj drogi, bo to była sobota, podniosłszy oczy roztargnione, z wielkiém podziwieswojém spostrzegł jakąś znajomą postać we wrotach domu Horyłki, rozmawiającą z faktorem i gospodarzem. W pierwszéj chwili nie mógł jakoś przypomnieć sobie ktoby to był, tak obecność téj figury była niespodziana; ale gdy na widok przybywającego Szarskiego oddalać się zaczęła, poznał w niéj Falszewicza. Zdziwił się, ale był pewien, że się nie mylił.

Faktor i gospodarz stali jeszcze w progu, gdy niespokojny Stanisław nadbiegł do nich z zapytaniem:

— Kto to był taki?

Obaj spojrzeli po sobie, a Żyd odwrócił się, ruszając ramionami.

— Nu, kto miał być? i co panu do tego? Nasz znajomy, pan go nie znasz.

Horyłka pomruczał coś tylko pod nosem, i natychmiast się rozeszli. Zjawienie się w Wilnie Falszewicza, przypominając Stanisławowi dom, o którym bez żalu i strachu pomyśleć nie mógł, zaniepokoiło go wielce, tak, że wzburzony niém cały, nie mógł usnąć do poranka. Ale że dni następnych nie spotkał go nigdzie, ani zasłyszał o nim, począł w końcu sądzić, że mu się to widziadło w choréj urodziło głowie.

Trzeciego dnia, naprzeciw Dominikanów, na trotuarze, nos w nos, oko w oko zjawił mu się Falszewicz tak już widocznie, że wątpić o nim nie było po-

dobna, gdyż dwóch takich fizyognomij pewnie na świecie znaleźć było trudno. Staś wstrząsnął się cały i zaczął cofać, a Fałszewicz chciał zmykać, ale za późno się do tego wziąwszy, pozostał jak przykuty.

— Co tu pan robisz? zapytał słabym głosem Stanisław.

— A! a! to pan!... ja... przyjechałem za swojemi interesami... mam tu krewnych... w aptece...

— Co się dzieje w Krasnobrodzie?... na miłość bożą! powiedz mi pan, co się dzieje w Krasnobrodzie?

— A co się ma dziać? Czy to pan myślisz, że tam bardzo znać, żeś pan ubył?

— Ojciec mój?

— Zakazał wspominać pana; a mówią nawet, że zrobił już testament i zupełnie wydziedziczył.

— A matka? przerwał Staś łamiąc ręce.

— Pani sędzina podziela całkiem zdanie jw. sędziego, odrzekł ze czkawką Falszewicz. Zresztą nic się pan odemnie nie dowiesz... bo nawet jw. sędzia przewidując, że mogę być nagabany przez pana, zakazał mi się z nim wdawać.

Wymówiwszy te kilka słów z coraz wzrastającym złym humorem, Falszewicz już się chciał oddalić, pomrukując coś niezrozumiałego, gdy Staś, któremu ta wstrętliwa figura, w téj chwili dom przypominająca, drogą się stawała, wstrzymał go chwytając za rękę. Szczęśliwa myśl, że Falszewicza trunkiem ująć łatwo, przychodziła mu do głowy; ostatnich kilka złotych miał jeszcze w kieszeni.

— Panie Falszewicz, rzekł głosem błagającym: pogadajmy... Jest tu cukiernia niedaleko, możebyś się czém posilił?

Pedagog chciał uciekać i wstrzymał się, oczy mu błysły nabrzękłe, oblizał się, zająknął.

— Ale co tam! tego nie potrzeba... Prawda, że człowiek tém miastem zmęczony na śmierć, a w gębie nic nie miałem od rana...

Wódkę słychać było mocno od niego, pomimo zaklęcia, że nic w gębie nie miał dzień cały. Staś widząc, że się słabo broni, począł mocniéj nalegać.

— Chodźmy panie Falszewicz, rzekł chwytając go za rękę: kieliszek słodkiéj wódki nie zawadzi.

— Nigdy nie zawadzi! zawołał pedagog, słabnąc coraz bardziéj: wódka *aqua vitae;* niech głupcy piją wino, to napój dla żołądka i dla kieszeni niezdrowy... Wódka! w to mi graj! nigdy się człowiek nie oszołomi... a dla konkokcyi jedyna... No... ale gdzież ta cukiernia?

Staś pociągnął go za sobą uradowany.

Weszli do bocznéj izdebki pierwszéj cukierni, jaka się trafiła, a Falszewicz okiem pożądliwości pełném powiódł po butlach, z drugiego pokoju wyglądających jak armia uszykowana do boju, w porządku i w pełnych stojąca szeregach.

Przyniesiono wódkę; Staś usiadł i badać go zaczął.

— A! co się działo w Krasnobrodzie, kiedy list pański nadszedł, tego wypowiedzieć niepodobna, rzekł Falszewicz, smakując w Crombambuli. Pan sędzia rzucał się jak... jak dzik; pani sędzina płakała, łamiąc ręce; my wszyscy staliśmy w największym strachu, nie śmiejąc pary z ust puścić. Nareszcie pan sędzia zawołał: „Nie mam syna! nie chcę go widzieć, nie chcę o nim słyszeć więcéj! jak sobie posłał niech się wyśpi!... Nie chciał mi być posłuszny, niechże sam idzie o własnéj sile... Z Panem Bogiem... zobaczymy jak daleko

zajdzie..." Odtąd nie było nawet wzmianki w domu o panu Stanisławie.

Drugi i trzeci kieliszek rozmowniejszym jeszcze i szczerszym uczynił Falszewicza. Przyznał się, a raczéj dał do zrozumienia, że został wysłany do Wilna, aby gospodarzowi domu *et quibus interest universis* zapowiedzieć, że sędzia za syna nie odpowiada i nie płaci.

Stanisław z tych poszarpanych, wstrzymywanych i wyrywających się zeznań wybadał tylko, że najmniejszéj nie ma nadziei przebaczenia, nawet w razie zupełnéj uległości.

— „Gdyby z głodu marł i jak syn marnotrawny teraz do domu mi wrócił—rzekł sędzia wedle Falszewicza—nie przebaczę, nie przyjmę! Jeśli mi się na oczy pokaże, a zechce przebłagać, na jedno tylko zezwolićbym mógł jeszcze, niech porzuci uniwersytet i przyjedzie się uczyć posłuszeństwa na wsi... Nauki nie potrzebuje, bo mu ta widać głowę słabą zawraca; będzie ekonomował w Krasnobrodzie."

Nie było więc sposobu, nie było żadnéj nadziei; bo powrócić do tego życia niewoli, po swobodzie, któréj się skosztowało, Stanisław już nie mógł... Trzeba więc było pozostać w Wilnie, myśleć samemu o sobie i wyrzec się rodzicielskiego domu.

Z westchnieniem wyszedł z cukierni akademik, wyprowadzając za sobą podpiłego bakałarza, który nareszcie trunkiem rozczulony, poczynał się już nad Stasiem litować.

— Dalibóg—rzekł—żal mi już pana... No! ale do czego to było robić? do czego?... ot! głupstwo! Już teraz przeskoczywszy płot, trudno na to poradzić!... Doskonała wileńska wódeczka... nie ma co mówić! Przed

jw. sędzią nie przyznam się, żeśmy się widzieli... Bieda! bieda! i po wszystkiém... ale wódka, no! wódka... dobranoc panu Stanisławowi!

Nazajutrz Paweł Szczerba przyszedł z wiadomością, że jeden z professorów uniwersytetu, potrzebujący dozorcy do syna, zamierza go sobie wybrać z uczniów oddziału literackiego. Było to ze wszech miar pożądane i najdogodniejsze miejsce, o jakiém Stanisław mógł marzyć; należało się więc starać o nie, i użyć wszelkich sprężyn, aby je posiąść. Mieszkanie, wygody życia, małą pensyjkę i protekcyę nauczyciela pozyskać, było rzeczą wielkiéj wagi dla ubogiego ucznia; nie dziw też, że na sam odgłos o wakansie, wszystkie wytarte łokcie literackiego oddziału poruszyły się żywo, krzątając się o otrzymanie tego miejsca, o wnijście do tego Eldorada.

Paweł Szczerba, nawet nie pytając przyjaciela, bez jego wiadomości, poczynił był już wstępne starania dla Szarskiego, i otrzymał obietnicę, że Staś tegoż dnia prezentowany będzie professorowi. Ta wiadomość ucieszyła niezmiernie biednego chłopca; ale go strach ogarnął jakiś i taka o siebie obawa, o brak sił do podołania wielkiemu zadaniu wychowania, którego sam jeszcze nie skończył, że ledwie się dał namówić na widzenie z nauczycielem. Godzina i miejsce były wyznaczone, Szczerba miał prezentować nieśmiałego towarzysza. W niepokoju, wahaniu, nadziejach przeszło pół dnia, a Stanisław słuchając prelekcyj, ledwie luźne z nich łapał słowa, tak mu serce biło i głowa gorzała.

Gdy weszli w podwórzec uniwersytecki i ujrzeli z daleka professora przechadzającego się pod arkadami, u wnijścia do biblioteki, Szarski stracił resztę odwagi, języka i przytomności, a Szczerba załamał ręce widząc, z jakim ukłonem i uśmiechem zadowolenia oddalał się właśnie od professora Bazylewicz.

Przeczuł on, że miejsce schwycone być już musiało... Zbliżyli się wszakże, a po zmieszaniu nauczyciela, jego minie obojętnéj i wejrzeniu, które rzucił na prezentowanego, domyślić się było łatwo, że z tego nic być nie może. Przemówili słów kilka, rozmowa nie skierowała się nawet na przedmiot największéj wagi, professor szybko się ukłonił i oddalił prędzéj jeszcze.

Szczerba stał osłupiały.

— Coś w têm jest—rzekł,—nie ma co robić... uchwycono nam kondycyę z przed nosa... przysięgnę, że ją Bazylewicz już otrzymał.

Zaledwie uszli kilka kroków, gdy na drodze trafiło się im dwóch towarzyszów: byli to Bolesław Mszyński i Korczak. Szczerba zły, począł się użalać przed nimi.

— Ale ba! rzekł Bolesław: jakżeście bo mogli myśleć, że w czémkolwiek uprzedzicie Bazylewicza? Ten sobie da radę wszędzie! Wczoraj jeszcze wiedział o wakansie, dziś rano widział się już w mieszkaniu z professorem, i tylko co, jak sam mówił, zawarł z nim umowę.

— Chyba nie wiedział—zawołał Szczerba—że my się o to miejsce staramy dla Stanisława.

— I owszem, odparł Bolesław; ale śmiał się, gdyśmy mu o têm wspomnieli. „Głupibym był, rzekł, poświęcać się dla kogokolwiek, kiedy wierzę w to mocno, żem ja światu potrzebniejszy od drugich... *Prima*

charitas ab ego; niech sobie Stanisław i jego przyjaciele szukają innego miejsca.“

— Słyszałem na moje uszy—dodał Korczak—jak spytany przez professora o Szarskiego, odezwał się „Chłopiec z niejakim talentem, ale charakter słaby, kobiecy, przytém miałoby to minę, że pan professor protegujesz go przeciw własnym rodzicom, którzy nie życzą sobie, żeby się oddawał literaturze.“

Szczerba wstrząsł się cały, i już miał kląć swoim zwyczajem, gdy z wesołą miną zbliżył się ku nim obwiniony Bazylewicz, w czapce na bakier a z uśmiechem na ustach.

Wszyscy zamilkli.

— No! a co? łajecie mnie zapewne? zawołał śmiało; łajecie, żem Stasiowi z przed nosa uchwycił miejsce?... cha, cha, cha! nie prawdaż? Jakie z was dzieci! A cóż to? chcieliście, żebym ja siebie dla niego poświęcił? Nie jestem wcale z rodzaju tych niewinnych baranków, którzy się zabijają na ofiarę... wolę drugich poświęcać sobie, niżeli być święconym—to darmo! Staś dziś, jutro otrzyma przebaczenie rodziców i będzie miał kawałek chleba, a ja go nie mam przed sobą i na tydzień. To miejsce było całą moją przyszłością.

— Mów sobie co chcesz, odparł Szczerba: ja ci ręki nie podam. Wolno ci się było starać jak chciałeś, ale nie ze szkodą Szarskiego... niechby wybierano między wami.

— Otoż wybierano! wybrano i koniec! dumnie zawołał Bazylewicz. A kto mi nie poda ręki, temu i ja mojéj nie wyciągnę dłoni... mniejsza o to! Cha! cha! nie buduję ja nic na przyjaźni, i obejść się bez niéj potrafię... bo idę o własnéj sile.

To rzekłszy, odwrócił się i świszcząc poszedł daléj.

Studenci poczęli z oburzeniem powstawać na niego i spisek już knować na zdrajcę, przybywało ich coraz więcéj, gwar się powiększał, gdy Stanisław przerwał narady.

— Staję w jego obronie—rzekł:—nie ma tu takiego grzechu jaki mu przypisujecie; położenie jego wymawia postępek, szedł i ubiegał się otwarcie. Dla mnie to miejsce było widocznie niestosowne; on je daleko lepiéj zająć potrafi. Chodźmy!

I prawie gwałtem pociągnąwszy Szczerbę, który oburzeniu swojemu nie mógł położyć tamy, Szarski odszedł z nim do domu, wciąż usiłując uniewinnić Bazylewicza.

Wypadek ten, zwracając uwagę Stanisława na własne położenie upokarzające i nieznośne, zmusił go co prędzéj pomyśleć o jakimś rachunku. Wszyscy koledzy, pod których żył dachem, których łaską i książką się żywił, byli ubodzy; czuł, że choć mu tego nie okażą, musi być dla nich ciężarem; potrzeba było pomyśleć o sobie... ale rozglądając się w koło, nie widział żadnego sposobu, żadnego wyjścia. Na koszt skarbowy w instytucie przyjmowano z trudnością, i tych tylko, którzy dali już dowody zdolności; na otwierające się wakanse było zapobiegliwych kandydatów mnóztwo: nadziei z téj strony mieć nie było można. Nauczycielów i prywatnych dozorców posady już były od początku roku pozajmowane, trudno ich było teraz wyszukać; słowem napróżno silił się coś wynaleźć, i męczył się nie spotykając nic przed sobą, nic prócz nędzy, która wzrastała i coraz stawała się groźniejszą.

Napróżno Szczerba, przeczuwając, co się z nim działo, bo od niego nigdy słowa nie słyszał, rozweselał

go, ukazywał jaśniejszą przyszłość, cytował przykłady cięższych położeń, z których się niejeden wywikłał szczęśliwie, nie tracąc ducha, Szarski codzień był chmurniejszy, i nie mając wiary w siebie i przyszłość, szedł tylko dalej jak machina, któréj sprężyna jeszcze się była nie wysnuła zupełnie, ale za chwilę zatrzymać się musiała.

Pierwsze potrzeby życia, do których zaspokojenia nie mógł i nie chciał wzywać pomocy przyjaciół, tając się nawet przed nimi z najdokuczliwszym niedostatkiem, zmusiły go już pozbyć się wszystkiego co tylko sprzedaném być mogło. Ubogie dziecię szlacheckie, syn skąpca, Szarski nie miał też wiele rzeczy zbytkowych, ale i tę odrobinę swéj wyprawy domowéj puścił już pomiędzy Żydów. Faktor Hersz, który przewidział doskonale ostateczność, do jakiéj Szarski przywiedziony być musi, wcześnie zapobiegł temu, żeby graty jego przez inne ręce nie przeszły. On i dwóch jego wspólników czatowali na odarcie studenta, a przemyślny faktor tak wybierał godziny szachrajki, żeby nikt ze współtowarzyszów Szarskiego nie stanął mu na przeszkodzie. Rozpoczęła się więc smutna komedya, któréj scen któż z uboższych akademików nie pamięta? Kropli litości i sumienia nie było w tych Żydach, którzy z kolei przychodzili zniżać cenę każdego gałgana, dopoki go nie pochwycili, a gdy przyszło płacić, darli jeszcze, osobno faktor za nastręczenie kupców, osobno kupcy za daną gotówkę, oszukując na monecie, kradnąc i nie dopłacając resztek, które niby przynieść mieli natychmiast i t. p. Niezmierna łatwowierność Stasia z jednéj, a zręczność Hersza, który żył z tych machinacyj, z drugiéj strony, czyniła ten handel prawdziwym rozbojem.

Kiedy już Żyd poznał z kim miał do czynienia, używać począł wszelkich środków do skorzystania z nowicyusza. Do targu sprowadzał bogatych niby, poważnych i niezmiernie sumiennych współbraci, z którymi Szarski nie śmiał się nawet spierać o cenę; z nimi z kolei powynosił dywaniki, płaszcze, surduty, wszystko aż do kołder i prześcieradeł. Szczerba i towarzysze nierychło to spostrzegli, bo chwilę do szachrajstw wybierano zawsze, gdy ich nie było w domu, a Staś doskonale się ukrywał z tém co robił. W krótkim przeciągu czasu resursa te, bardzo ograniczone, wyczerpały się wreszcie całkowicie, a Stasiowi pozostało zaledwie to, czego już sprzedać i pozbyć się nie było można, dla małéj wartości lub codziennéj a koniecznéj potrzeby.

Jednego poranku, gdy powróciwszy z prelekcyi, sam jeden błąkał się po wspólnéj kwaterze Szarski, z gorączkowym niepokojem o jutro, Hersz, którego już nie widział od dawna, bo Żyd nie miał przychodzić po co... zjawił się niespodzianie w progu.

— Dzień dobry jegomości.

Staś nawet nie odpowiedział, tak był zaprzatniony. Żydek usłużny powtórzył pozdrowienie:

— Dzień dobry jegomości.

— Czego chcesz? spytał Szarski.

— Nu, nic! przyszedłem się tak dowiedzieć, może czego potrzeba?...

— Nic nie trzeba... bo nic nie ma! odparł wzdychając akademik.

Żydek zamilkł na chwilę, ale widocznie go coś piekło.

— Żeby panicz wiedział, jak ja panicza kocham! odezwał się z cicha. Przez pochlebstwa, mało takich

wściwych paniczów... Jabym chciał w czém jegomości dopomódz, na moje sumienie... *auf Nemunes.*

— Cóż ty mi dopomożesz? śmiejąc się gorzko, rzekł Szarski. Do sprzedania nie mam już nic... resztęście wyciągnęli.

— Albo to ja *zględem* tego mówię? uchowaj Boże! zawołał Hersz ruszając ramionami... *auf Nemunes...* Ja sobie głowę łamuję, żeby co paniczowi zrobić! A spodziewam się, że jak się co znaleźć potrafi... to i mnie biednemu Żydkowi także coś z tego kapnie...

Staś się zatrzymał, tak dziwnie mu w uszach zabrzmiała dawno niespotykana nadzieja.

— Cóż się może trafić? spytał ciekawie.

Hersz zbliżył się tajemniczo, obejrzał i westchnął jak gdyby wielki dźwigał ciężar.

— A cóż panicz da? zapytał.

— Co ci mam dać? za co?

— Za co? a jak ja znajdę dla panicza lekkie pieniądze?

— Przyznam się, że cię nie rozumiem.

— Nu! nu! ja się już targować nie będę... *auf Nemunes...* ja znam że panicz poczciwy... dasz jegomość co zechcesz! spuszczam się na panicza.

Staś jeszcze stał nie pojmując, co Żyd mu obiecywał i czego od niego żądał, gdy nareszcie Hersz tajemniczo się ku niemu przybliżył.

— Takie miejsce! taka kondycya, co aj waj! *auf Nemunes...* lepszego chyba na świecie nie ma. Kupiec pierwszéj gildy... a bogaty! a *Morejne*, gwałt! Jabym chciał mieć choć procent od procentu tego co on zbiera miesięcznie! On ma córkę. Pan umie po francuzku?

Szczęściem Stanisław nadspodziewanie dobrze mó-

wił tym językiem, winien będąc swą wprawę staremu pijaczynie przybłędzie Francuzowi, który umarł w Krasnobrodzie.

— Umiem, odparł zbiedzony, przenikając już propozycyę, jaką ma uczynić Żydek.

— Pan będziesz uczyć francuzkiego języka jego córkę. Ot! a co? zły interes? *Fein* dziewczynka! pierwszéj gildy kupiec! ma sklep na Niemieckiéj ulicy, ma drugiego w Słonimie, ma trzeciego w Grodnie, a w Zelwie to pierwszy na jarmarku! Kto jego nie zna! Dawid Abramowicz Białostocki... pan wie? pan musiał choć słyszeć o nim?

— Nie słyszałem, rzekł zimno Szarski.

— To pan widział sklep jego?

— Nie widziałem.

Żyd ruszył ramionami.

— On paniczowi dobrze zapłaci!

Staś pomyślał i zastanowił się nieco.

— Dziękuję ci—rzekł do faktora—dziękuję szczerze... chodźmy do Dawida Białostockiego; będę dawał lekcye jego córce.

Żydek, który myślał, że akademik nierychło się na to zgodzi, i dla tego tak zalecał i Dawida, i sklepy jego, i znaczenie, i bogactwo, i córkę—widząc, że Staś łatwo przystał na propozycyę, zacofał się nieco.

— Nu! nu! niech-no ja jemu wprzódy oznajmię; ale pan umie tęgo po francuzku? *auf Nemunes?*

— Jużciżbym się nie umiejąc nie podejmował!

— Ja panicza znam! ja paniczowi wierzę! nu! nu! pogadamy *ob tego!* Ja przyjdę wieczorem. Ale panicz będzie o biednego faktorze pamiętał! Żebym ja tylko rzekł słowo, toby sto akademików dobijało się o to miejsce, ale *auf Nemunes* nie powiem nikomu! Ja to

umyślnie dla pana wyszukał! A co mnie to już bótów kosztuje!

To mówiąc, usłyszawszy na wschodach powracających z prelekcyi towarzyszów Szarskiego, Żydek zwinął się, pokłonił i drapnął.

Dom Dawida Abramowicza Białostockiego, kupca pierwszéj gildy, położony był przy ulicy Niemieckiéj, która nigdy nie należała do najczyściejszych i najprzyjemniejszych w Wilnie. Ściśnięty wśród innych kamienic i zwrócony nieszczęśliwie tak, że słońce nigdy do niego nie zaglądało, pomimo wielkości swéj i mocnéj staréj budowy, niewygodny był i smutny. Oprócz dołu miał jeszcze dwa piętra, sutereny zamieszkane przez posługaczy Dawida, który obszerny prowadząc handel, wielu do niego trzymał pomocników, i kilka po strychu rozsypanych izdebek, prawie zawsze pustką stojących. Na dole mieściły się trzy sklepy właściciela, a znaczną część domu zajmowała jego rodzina, składająca się z trzech już pokoleń. Na tyłach mieszkał ojciec Dawida, Abram Białostocki, stary Żyd z długą siwą brodą, urodzony jeszcze w miasteczku, od którego wziął nazwisko, i pamiętający świetne czasy pani Krakowskiéj i Wersalu polskiego. Ojciec jego, a dziad Dawida, miał niegdyś zajezdny dom w Białymstoku i na kawaleryi narodowéj, stojącéj tam czas jakiś, dorobił się kapitału, z którym Abram na większą już skalę handel rozpoczął.

Starzec żył tu z żoną swoją Ruchlą, prostą i brudną Żydowicą, w dostatku, ale w niechlujstwie, do któ-

rego oboje przez skąpstwo i nałóg przywykli,—żyli w izdebkach ciemnych, wilgotnych, zasuniętych w dziedzińce, ciesząc się wnukami swymi i utyskując nad tém, że pokolenie dalsze widzieli coraz daléj odbiegające od prawa Mojżeszowego i zwyczajów tradycyjnych ludu izraelskiego. Stary Abram nosił się jeszcze modą średniowieczną, w spinanym na haftki żupanie długim, okładanym po brzegach wyłogami z aksamitu; a wychodząc na ulicę, co mu się rzadko trafiało prócz do szkoły, brał nań płaszcz z długiemi rękawami taśmą pod szyją spięty, wysoką laskę ze skówką srebrną do ręki, i wysoki kołpak sobolowy, nieużywanym już kształtem zbudowany. Była to poważna figura ze zgasłém okiem, twarzą zamyśloną i posępną, pochylonym grzbietem, smutna, ponura, milcząca. Ruchla, która mniéj jeszcze za próg się oddalała, pilnowała się jak on staroświeckiéj lamowéj założki, perłami sadzonych muszek i dawnego stroju Żydowic polskich; trzewiki nawet nosiła na wysokich korkach, na których choć niewygodnie chodzić jéj było, dreptała starucha nieustannie, gderząc *ex officio* na sługi swoje. Abram nie mieszał się już wcale do spraw i handlu syna, całkiem oddawszy się nabożeństwu i rozmyślaniom, a Dawid kiedy niekiedy tylko do niego po radę lub z ceremonialnym dla patryarchy rodu pokłonem przychodził. Niczém niezajęty, wszystek czas spędzał nad Talmudem, nie zrzucając prawie *Nefilim* i *Zizim*, rozpamiętywając kommentaryusze uczonych rabinów, i dziwiąc się tajemnicom, jakich każda głoska pisma pełna była.

Na pierwszém piętrze, którego okna wychodziły w ulicę, mieścił się Dawid Białostocki i młodsza część rodziny. Dawid już powierzchownie cokolwiek mniéj

był Żydem, a choć jarmułki nie zrzucił jeszcze i głowę golił, pokrywał ją wychodząc na ulicę kapeluszem lub aksamitną czapką, nie nosił żupana, tylko surdut i płaszcz zwyczajny, palone buty wytwornéj roboty, a nawet rękawiczki. Był to mężczyzna bardzo przystojny, z czarném okiem żywém i bystrém, z brodą wykwintnie utrzymywaną, w któréj się siwy włos srebrzyć zawczasu poczynał, trochę dumnego wyrazu twarzy, a pewien siebie, jak wszyscy, którym się na świecie poszczęściło, i co swe szczęście zwykli przypisywać nie losowi, nie ludziom, ale samym tylko sobie.

On i żona jego mieszkając na pierwszém piętrze kamienicy, urządzone mieli pokoje gościnne z pewnym wykwintem, ale w nich jednak tyle tylko bawili, ile wymagała konieczność, zwykle zaś przebywali w izdebkach tegoż piętra od dziedzińca i galeryi wewnętrznéj położonych, których utrzymanie i porządek nie wiele się różniły od czystości i ładu Abramowego mieszkania. Sama jejmość, córka bardzo bogatego wileńskiego kupca, niegdyś znakomita piękność, chodziła z głową ogoloną i w muszkach; ale suknie na niéj już były nowszego kroju i chętka elegancyi widocznie się w nich przebijała. Rączki zdobiła mnóztwem pierścieni, na szabas miała atłasy i aksamity, batystowe chusteczki i bogate szale. To nie przeszkadzało jéj bynajmniéj zajmować się kuchnią, stać pilnie przy zamieszaniu *łokszynu*, przy pieczeniu *guglów*, prezydować u garnków i trudnić się całém kobiecém gospodarstwem, do którego miała pomocnicę, starą Żydówkę, zawołaną kucharkę, i młodszą służącą, bo Dawid był smakoszem, lubił jeść dobrze i wiele.

Dwoje dzieci Dawidowstwa już daleko daléj w reformie zaszło niż oni; bo Salomon chodził do szkół,

włosy nosił długie i zrzucił resztki dawnego stroju, a młodziuchną Sarę wychowywano starannie pomimo oszczędności, usiłując z niéj zrobić panienkę nie Żydóweczkę. I Salomon, i Sara, dzieci rodziców typem wschodniéj piękności odznaczających się, wzięły po nich rysy izraelskie w całéj ich biblijnéj czystości i wdzięku. Oboje byli do siebie podobni, z tą tylko różnicą, że czternasty naówczas rok kończąca Sara była i od brata, i od matki, i od ojca piękniejsza. Rzadko nawet w izraelskiéj rodzinie, wśród któréj nie brak niepospolitych piękności, trafi się coś tak wzniośle i idealnie pięknego jak Sara... rzekłbyś, wskrzeszona jedna z tych bohaterek Biblii, jedna z tych wdzięcznych dziewic, cór Izraela, które w ognistych wyrazach malują nam księgi święte. W czternastu leciech już się zdawała dojrzałą: tak kibić jéj wysmukła, zręczna, doskonale utoczonemi zachwycała kształtami; tak nic nie brakło dziewicy do wyrażenia typu, którego była urzeczywistnieniem szczęśliwém. Płeć jéj nadzwyczajnéj, śnieżnéj białości, przejrzysta, atłasowa, ledwie się nieco rumieniła na twarzy, tak w cieniu i osłonie od powiewu wiatru, od spiekoty słońca wypielęgnowana była. Profil twarzy azyatycki, nadzwyczaj był czystego rysunku i przedstawiał linię nieporównanego wdzięku. Oczy miały siłę wejrzenia potężną; osłonione niezmiernéj długości rzęsami, nad których arkadą łuk brwi zarysował się puszkiem jedwabnym, patrzały ze skromnością dziewiczą i śmiałością rozpieszczonego dziecięcia na świat, którego jeszcze tak mało widziały. Niewielkie czoło, gładkie i jasne jak szyba jeziora w dzień pogodny, zdawało się niebo odbijać na sobie, tak było spokojne; uśmiech ust odkrywał bielsze od pereł i piękniejsze

od nich ząbki. Ale rzadko gość ten się na nich zjawiał, bo Sara od urodzenia była czegoś smutna, a rodzice wielce się tém trapili, że prawie dzieciństwa i młodości nie znała. Nie bawiły jéj zabawki, nie rozrywała igraszka rówieśnic; lubiła dumać, czasem nóciła coś posłyszanego w ulicy, a gdy ją czytać uczyć poczęto, cała się rzuciła do książki.

I Dawid sam, i jego żona, bardzo na to kręcili głowami, nie radzi z usposobień dziecięcia; ale ciągłe obcowanie z niewiernymi, widok dziewic chrześciańskich, powoli ich z tą skłonnością Sary oswajał i godził. Postanowili po długich rozmysłach i naradach dać jéj nauczycieli języków i wychowywać jak najstaranniéj. Sprzeciwiał się temu niezmiernie starzec Abram, jako rzeczy niezgodnéj z prawami i zwyczajami, dowodząc, że kobieta czytać nawet umieć nie potrzebuje; ale już wykształceńszy Dawid i matka, nie spierając się z nim, po cichu swoje zrobili. Ukradkiem tedy fortepian wjechał jednego wieczoru na pierwsze piętro; a nazajutrz (bo to się zawsze robiło jak najoszczędniéj) wynaleziono jakiegoś Żydka muzyka... przyszłe cudo, mające niezadługo objeżdżać Europę i Azyę, szukając pieniędzy w klawiszach, a tymczasem dawało lekcye po dwa złote na godzinę,—i installowano go jako metra muzyki.

Hersz podjął się taniego i przyzwoitego wyszukać nauczyciela francuzczyzny, i pochodziwszy po głowie, zaproponował to miejsce Szarskiemu, spodziewając się go dobrze obedrzeć przy téj zręczności.

Wieczorem tegoż dnia szli już na ulicę Niemiecką, a Żydek ciągle dawał nauki swemu protegowanemu.

— Niech tylko jegomość uważa, mówił: trzeba najprzód prosić po pół rubla za godzinę, choć to i po

dwa złote bardzo wiele! Oni bogaci, to zapłacą... ale czterdzieści groszy będzie dla mnie.

— Jak to? od godziny?

— Nu! a jużciż! a jakże! zawołał Żydek; albo to ja nie nastręczam? alboby to panicz sam tu trafił? A to sześć godzin w tydzień, to dwanaście złotych; co! to jeszcze mało? Czterdzieści ośm na miesiąc, czterysta ośmdziesiąt na dziesięć miesięcy, siedmdziesiąt dwa rubli! a wej! Samemu jednemu czy to z tego żyć nie można?

— Ale zlitujże się Hersz! zawołał w pół śmiejąc się, wpół smutnie przyszły nauczyciel francuzkiego języka: godziż ci się tak mnie odzierać?

— Co to obdzierać? jak to obdzierać? Paniczu! paniczyku! jegomość! *auf Nemunes*, kto inny dałby mnie po dwa złote, a to ja tylko dla was robię!

Stanisław oburzony już się chciał cofnąć i uciekać gdy znowu na myśl mu przyszło, że jest ciężarem towarzyszom, że pracować musi na siebie, a pracy znaleźć niełatwo. Westchnął więc i poszedł za przewodnikiem. Żyda czy sumienie tknęło, czy się niepokoił milczeniem Stanisława, dość, że już w bramie stanąwszy, rzekł:

— Ot tak! *auf Nemunes*, odstępuję... po złotemu tylko dla mnie, żebyś panicz wiedział co Hersz... ale słowo!

— Wiesz, żem nigdy nie zawiódł nikogo... odparł Stanisław, ze smutkiem wchodząc na ciemne i brudne schodki.

Hersz żywo pobiegł przodem.

Wdrapawszy się omackiem po ciasnych i niewygodnych stopniach na górę i omacawszy drzwi, gdy Szarski spodziewał się wnijść do zwykłéj niechlujnéj izby żydowskiéj, znalazł się nagle w saloniku, którego

wytworność tém więcéj go uderzyła, że wcale czego innego się spodziewał.

Był to pokój obszerny, z dwoma oknami od ulicy, przystrojonemi w ciężkie z jedwabnéj materyi firanki z bronzowemi ozdobami; posadzkę miał woskowaną, meble rzeźbione z bronzem, materyą wybite wzorzystą, pyszny żyrandol złocony, obwieszony szkiełkami szlifowanemi, wielkie piano mahoniowe i dywan, który pół prawie salonu zajmował. Po kątach stały dwie szafy ze szkłem, jedyne może przypomnienia gustu izraelskiego, w których niebardzo smakowne, ale w mnogiéj liczbie ułożone były na widoku srebra stare i nowe, pamiątki wesel, szczątki wypraw i przepadłe może zastawy.

Były tam misy, dzbany, imbryki, tace, lichtarze, zbierana drużyna różnego pochodzenia i smaku, tak poustawiane, żeby gość jednym rzutem oka mógł kapitał ten, leżący bez-procentu, ocenić i z niego wnieść o bogactwie gospodarza.

Pomimo elegancyi salonu, powietrze w nim było zatęchłe, a niezmiatany kurz szary z dawna okrywał wszystkie sprzęty. Znać było, że tu niekiedy przychodzono, ale nikt stale nie mieszkał.

Gdy nasz akademik, pozostawiony sam na sam ze srebrami, ciekawie się po paradnéj komnacie rozglądał, Hersz poleciał tymczasem do dalszych pokojów i zniknął. Długą chwilę miał Szarski na przypatrzenie się bogactwom Dawidowym i podziwianie tego przepychu niepotrzebnego, już rodzącą się objawiającego próżnostkę. Nareszcie dał się słyszeć chód poważny bótów skrzypiących, za nim ciche stąpanie kobiecych trzewików, za temi kłapanie chodaków Hersza, dobrze znajome uszom Szarskiego, i naprzód Dawid Abramson

Białostocki w paradnym szlafroku, potém żona jego w sukni floransowéj i chustce bagdadzkiéj, na końcu faktor w łapserdaku, weszli do salonu, w którym stał jak na mękach akademik.

Kupiec (oddajmy mu należną sprawiedliwość) dotknął ręką jarmułki, co było z jego strony niepospolitą grzecznością względem kogoś, mającego mu się najmować na godziny. Jejmość ani kiwnąwszy głową, wlepiła tylko oczy w przybylca, i skrzywiwszy się, że nauczyciel tak młody, poczęła zaraz łajać Hersza za wybór niestosowny.

Hersz jął się tłómaczyć ogniście. Rozmowa żydowska całkiem niezrozumiała dla Szarskiego, zaprzątnęła wszystkich, bo i Dawid się wmieszał do niéj; rodzice jednak nie przekonali faktora, i po chwili mrucząc tylko, zwolnieli jakoś, grzeczniéj się zwróciwszy do przyszłego nauczyciela. Tu sama jejmość wzięła na się rolę czynną, przystąpiła bardzo blizko, popatrzała się, obejrzała gościa od stop do głowy, i poczęła pytać z niejaką dumą, która zakrawała na wzgardę:

— Waćpan-że umiesz po francuzku?

— Umiem tyle, że uczyć mogę...

— A gdzie się waćpan uczył?

— W domu i w szkołach.

— Co to waść za jeden? obywatelskie dziecko? co?

— Syn sędziego!... syn sędziego z... powiatu! przerwał faktor, wtrącając się do rozmowy, i dodając coś niezrozumiałego po żydowsku, czego przy Stasiu nie chciał inaczéj powiedzieć.

Oboje państwo poczęli dumać, niekiedy ruszając ramionami.

— Nu! nu! to dobrze, począł Dawid, poprawiając jarmułkę i z kolei poczynając traktowanie. Wasan

możesz dawać naszéj córce lekcye francuzkiego języka?

— Dla tegom tu przyszedł, żeby się o to, jeśli będzie można, ułożyć.

— To jest bardzo delikatne dziecko! dodała śpiesznie kupcowa: trzeba, żeby to wasan pamiętał! bardzo delikatne dziecko! z nią trzeba jak z generalską córką się obchodzić.

Staś ruszył tylko ramionami.

— Nu, co to długo gadać!... metr muzyki bierze po pięćdziesiąt groszy za godzinę, a my wasanu jako obywatelskiemu dziecku damy już po dwa złote.

Szarski zaczerwienił się niezmiernie, wziął czapkę, i nic już nie mówiąc, chciał odchodzić. Dawid go złapał za rękę.

— Co to jest? dla czego pan idzie?

— Dla tego—rzekł—że za taką cenę zgodzić się nie mogę.

— Czemu nie mogę? dla czego nie mogę? spytali oboje: to jeszcze zła cena? a na fortepianie mamy godzinę za te pieniądze?

Hersz napróżno dawał znaki Szarskiemu, ażeby milczał, akademik ich nie widział, a dotknięty do żywego, jak najprędzéj chcąc się wyrwać od Żydów, nie miał już powodu z niczém się kryć przed nimi. Było to w charakterze jego, że się taić nie potrafił.

— Panie kupiec, rzekł z pewną dumą, podnosząc głowę: nie dawałbym ani tych, ani żadnych innych lekcyj, gdyby mnie niespodziany wypadek nie pozbawił sposobu do utrzymania... muszę szukać kawałka chleba, ale darmo pracować nie mogę.

— Jak to darmo? co to darmo?

— Tak jak darmo, bo Hersz weźmie mi połowę tego nędznego zarobku, zá to, że go nastręczył.

Faktor aż się schwycił za głowę. Dawid spojrzał na niego groźnie, ale Żyd na chwilę tylko zmieszany, wnet odzyskał przytomność i żywo szwargocząc, począł się tłómaczyć. Rozmowa ta gorętsza jeszcze była od pierwszéj i daleko dłuższa; poczém mrucząc, zwrócił się kupiec i kupcowa do Stanisława.

— To gałgan! rzekł Dawid z pogardą: wy jemu więcéj nad dziesięć groszy od nastręczenia dać nie powinniście; choćby poszło na sąd rabina, wygracie pewnie...

— Ale słowo moje!

— *Herszt!* słowo? spytała kupcowa: co to jest? Dawid rozśmiał się tylko, i znowu począł traktować z Żydem, a po chwili stanęła nareszcie ugoda, skutkiem któréj studentowi zostawały dwa złote od godziny, faktora zaś sam kupiec wziął na siebie.

Po najściślejszym obrachunku spodziewanych przychodów pokazało się, że z zapracowanego grosza Stanisław ledwie będzie mógł nadal opłacić stół, a na mieszkanie, suknie i obówie nic mu prawie nie pozostanie. Pomiarkował więc, że trzeba będzie wyrzec się jakkolwiek nędznego wiktu pana Horyłki, składającego się z kawy, obiadu i wieczerzy, a poprzestać na skromniejszém utrzymaniu z pomocą bułki i taniéj jakiéj garkuchni. Ale jak mieszkając z towarzyszami usunąć się od podziału chleba powszedniego z nimi, na któ-

ryby zapraszać go musieli, choćby za niego nie płacił? jak znowu żyć cudzém i być dla nich ciężarem?

Staś myślał długo, rachował, biedził się, i postanowił poszukać nowego mieszkania, aby być zupełnie swobodnym i panem siebie. Hersz naturalnie zaraz się podjął wyszukać coś niezmiernie taniego a dogodnego, i poleciał na miasto. Nazajutrz zdyszany przyniósł wiadomość, że w kamienicy Dawida Białostockiego jest izdebka na tyle, na strychach, którą kupiec nauczycielowi swéj córki oddaje za trzy ruble miesięcznie. Było to nadspodziewanie tanio, a choć miejsce niedogodne, Stanisław poszedł ze swym przewodnikiem izdebkę zobaczyć. Przebywszy trzy piętra schodów i galerye od dziedzińca, wdrapali się na rodzaj stroméj drabinki ku strychowi, i w ciemném poddaszu znaleźli nareszcie kletkę bardzo malutką, widocznie od dawna pustką stojącą, w któréj ani stołu ani stołka, ani nawet szyb połowy w niezamkniętém okienku nie było. Mieszkanie to niewygodne, smutne, ciasne, ściśle jednak biorąc, wystarczyć mogło temu któremu aby dach nad głową, aby spokój, wszędzie być mogło dobrze. Hersz, który się już gotował dowodzić, że izdebka jest śliczna i gotowa dla kawalera, zdziwił się przekonawszy, że nie potrzebuje namawiać, gdyż Staś poprosił go tylko o stół, ławę, tapczanik i naprawę okienka.

— Nu! nu! wszystko to będzie, rzekł Żyd szparko: już ja tu wyporządzę *fein;* ale panicz niech o mnie nie zapomni, bo i na tych lekcyach mnie skrzywdzili (westchnął). Takiego mieszkania co to bedel nawet! nie znajdzie i nie trafi, na całe Wilno nie znaleźć...

— Ale mnie samemu niełatwo trafić tu będzie! rzekł uśmiechając się Szarski.

— *Aj waj! auf Nemunes...* sto lat jegomości! pan wszędzie trafi! pan szczęśliwy człowiek! panu idzie każda rzecz!

I ścisnął go za łokieć.

Staś wesoło się jakoś rozśmiał, choć na sercu ciężki czuł smutek; ale Żyd pocieszać go począł po swojemu.

Teraz pozostawało najtrudniejsze do dokonania: oznajmienie towarzyszom o nowém mieszkaniu, podziękowanie im za pomoc, i wyniesienie się na to smutne, dalekie, ale własne poddasze. Kilka już razy próbował o tém mówić Szarski, ale mu brakło odwagi. Drugiego czy trzeciego dnia począł się powoli pakować, chciał uciec od nich i nie przyznać się, aż opuściwszy mieszkanie; ale baczne oko Szczerby dostrzegło przygotowań, i wstrzymał Stasia za rękę w chwili, gdy lichą swoją gromadził już pościałkę.

— Co to jest? zapytał go.

Zmieszany Szarski wyjąknął niewyraźnie:

— Przenoszę się na nowe mieszkanie.

— Dokąd? jakie? rzekł Szczerba: czemużeś mi nie mówił o tém? na co się taisz? Musisz robić głupstwo jakieś, przyjacielu! Bądź ze mną szczerszy! bądź szczerszy!

Staś rzucił mu się na szyję.

— Słuchaj, rzekł, ale się nie sprzeciwiaj. Tyś młody i czuć to powinieneś, jak drogo kosztuje żyć łaską choćby najlepszego przyjaciela... Hersz nastręczył mi lekcye...

— Hersz ci nastręczył? a toż co znowu? chyba u Żyda?

— Właśnie u Żyda, rzekł Staś po cichu, i u Żyda mieszkanie.

— I tyś to przyjął?

— Bez wahania. Wolę to niż żyć cudzém i z łaski.

— U Żydów! u Żydów!

— A! przesąd! rzekł Stanisław.

— Po części przesąd, po części wstręt nie bez przyczyny, który jest tylko chlebem oddanym za ich ku nam nienawiść! Zważ, ile cię tam czeka upokorzeń i nędzy.

— O! drogi mój! całeż życie nie jest-li dla mnie pełne tych samych przeznaczeń! zawołał młody człowiek, czując łzy zwilżające mu oczy. Nie dolaż to moja? nie losże to każdego z moich towarzyszów na roli na któréj *pot siejemy a łzy zbieramy?* Wiem ja co mnie czeka, a bylebym miał trochę spokoju, wśród ubogich ścian czterech, które okolą marzenia moje, nieznane nikomu serca bicie pokryją głowę zbolałą... czyż nie dosyć? Nie dosyćże kawałka chleba, żeby wyżyło ciało, żeby się trzymała lepianka, dopóki gość w niéj mieszka, gość z nieba święty i wielki, duch, co nas młodych ożywia? Ty się obawiasz Żydów dla mnie? a cały świat nie będzież mnie tém karmił całe życie co oni, pogardą, niezrozumieniem, lekceważeniem, a w najlepszym razie litością dumną i chłodną!

Szczerba potarł czoło i westchnął, nie wiedząc co odpowiedzieć na to; uczuł się głęboko wzruszonym.

— Rób co chcesz, rzekł z cicha: ale daj mi rękę i słowo Stanisławie, że będziemy zawsze z sobą jak brat z bratem, jak dziś jesteśmy, że nie minie dzień, byśmy nie widzieli się z sobą, że w razie potrzeby wprost uciekniesz się do mnie... No... słowo i ręka!

— I rękę masz moją i serce na zawsze! zawołał

Stanisław: na zawsze Pawle kochany; możeszże ty wątpić o tém?

Nadeszli drudzy, i rozmowa poczęta przerwała się, przechodząc na nowiny dzienne, na spory naukowe, na te żywe wreszcie rozprawy o najszczytniejszych przedmiotach, do których młodzież tak jest skora, na które się rzuca zuchwale, więcéj zgadując sercem, niż rozwiązując głową wiekuiste przeznaczeń tajniki.

O! w młodości to tylko całe wieczory i noce spędzają się na nierozwikłanych rozprawach o nieśmiertelności, o duszy, o celu człowieka i obowiązkach jego. Późniéj myśl strwożona, co się na nie zuchwale targała i starła na nich zęby, już nie śmie dotknąć tych wielkich przedmiotów; jakieś zobojętnienie opanowuje człowieka, i woli świat i ludzi, drobnostki codzienne, plotkę uliczną, niż wznioślejsze myśli, w których dawniéj umiłował był sobie. Zasiedli wszyscy, i medycy, i literaci, i prawnicy, i kandydaci do sukni duchownéj, razem przy cienkiéj z mlekiem herbacie i fajkach, do niewygadanych marzeń, które ich aż za północną zawiodły godzinę.

Czego tam nie dotknięto? co się tam nie ozwało w tém pasmie tysiąco-kolorowych pomysłów? Któż spisze ile błysnęło prawd wśród tumanów, któremi młodość osłaniała nagie rzeczywistości światy?

— Ha! rzekł wstając Szczerba: dość tego na dziś panowie... jutro rano wstać potrzeba, a Stanisław nas żegna.

— Jak to? co to ma znaczyć? zawołano zewsząd. Stanisławie? dokądże to ruszasz? nà wyspę Madagaskar królować, czy zdobywać Indye?

— Po prostu na strych do Żyda! rzekł spokojnie

literat. Natchnienie przychodzi najłacniéj na miejscach górzystych, to rzecz dowiedziona; na trzeciém więc piętrze, czy wyżéj podobno jeszcze, pocznę poemat mój o Chrobrym, dramat o Auguście i historyę szlachty polskiéj!

Nazajutrz rano szczupły węzeł manatków Stanisława wziąwszy pod pachę Hersz, zaniósł go na Niemiecką ulicę, gdzie nadspodziewanie okno zastali wyłatane, zydel, tapczan, jedno krzesło stare i stoliczek trochę kulawy, wypalony od węgli, brudny, ale dość obszerny na pomieszczenie książek i papierów studenta.

Staś rozglądał się w swojéj smutnéj jak więzienie ciupce, chciał spojrzeć przez szyby, ale z nich wychyliwszy się nawet przez pół, nic nie zobaczył prócz kawałka dachu, pokrytego starą, dziwnych kolorów dachówką, i jednego poważnego komina, który się nad nim majestatycznie podnosił, zdając się wzbijać ku niebu... Wyglądało jeszcze i okienko strychowe, otwarte, wybite, puste, jak paszcza czarna ziewające wiekuistemi nudami. Widok był wcale niewesoły, a wróbel i jaskółka nawet nie ożywiły go na chwilę.

Z okna spojrzał Staś na ściany polepione papierem, na podłogę z nierównych kilku desek złożoną, na piecyk popękany więcéj z zimna może niż z przepalenia, bo ani drzwiczek w nim, ani zamknięcia nie było, na garść słomy, na któréj miał zasnąć w osamotnieniu... Westchnął, ale nie dając się pochwycić smutkom, począł zaraz zajmować się gospodarstwem

swojém. Nastąpiła z Herszem narada, a Staś aż się za głowę pochwycił, rachując co mu tu jeszcze do pierwotnych potrzeb brakowało! Świec, lichtarza, dzbanka, miednicy—wszystko kupować musiał... a tu resztę złotówek przepił nieszczęsny Falszewicz. Usłużny Żydek wszakże podjął się tych sprawunków na kredyt, nie bez obwarowania sobie słusznie należących procentów.

Zamknąwszy pierwszy raz mieszkanie swoje, poleciał uczeń na prelekcye, pełną mając głowę gospodarstwa, przemyślając jak je urządzi.

W saméj bramie spotkał się z Bazylewiczem, który za katy teraz inaczéj wyglądał, niż gdy się pierwszy raz w karczemce z sobą spotkali. Znać na nim było, że niedostatku nie cierpi. Nowy, wcale pięknie zrobiony surducik, płaszcz z karmazynową modną kraciastą podszewką, rękawiczki glansowane, dawały mu pozór eleganta, a tak był rad z siebie i dumny sobą, że aż zdrowo było popatrzeć na niego. Zwrócił oczy na Stanisława zbladłego, schudzonego, zmienionego do niepoznania, i raczył się zbliżyć ku niemu.

— No, jak się masz? co mi to tak licho wyglądasz?

— Żyję, odparł Stanisław.

— Ale jak ci się powodzi?

— Powinienbyś poznać po twarzy.

— Cóż? źle! E! toś sam sobie winien bratku! Jużbym ci teraz nie radził literatury! Tu geniusze tylko *jak ja*, i ludzie ducha tęgiego, co wszędzie i w każdém położeniu dają sobie radę, wskórać coś mogą... Tobie brak siły... tak, że wątpię nawet o talencie.

— Nigdym i ja w swój talent nie wierzył, rzekł chłodno Stanisław.

— No! to szkoda, żeś porzucił medycynę; tamtaby ci przynajmniéj lekki chleb dać mogła.

Stanisław zamilkł ugodzony w serce, i nic nie mówiąc więcéj, weszli razem na salę. Professora nie było jeszcze, a Bazylewicz wleciał zwycięzko, ręce podając na wszystkie strony witającym go towarzyszom. Po chwili odwrócił się do Szarskiego jakby coś sobie przypomniał.

— Słuchaj-no, rzekł: ty tam coś ciągle piszesz? No! trafia ci się zręczność popisać z tém co napisałeś (dodał uśmiechając się z téj mizernéj gry wyrazów); przyjaciel mój, professor Hipolit... wydaje Noworocznik... poczciwy człowiek wzywa do niego wszystkich i najmłodszych pracowników bez wyjątku. Masz pole... przyszléj mi lukubracye swoje, ja je rozpatrzę... i zobaczymy... może się co da umieścić.

Jakkolwiek wezwanie to wcale nie miało formy pochlebnéj, Szarski rad mu był w duszy, wdzięczen, że go za coś liczono, i całą godzinę przemyślał co posłać może professorowi do Noworocznika. Ale gdy przyszło wybór uczynić, wszystko zdawało mu się tak słabém w obec tego, co czuł, że mógłby napisać, gdyby umiał, każdą rzecz tak widział niegodną ludzi i druku, że w końcu prawie zrozpaczył o sobie, i nie miał odwagi wyrywać się z niedojrzałą pracą. Chciało mu się wszakże obok drugich wystąpić, chciał wiedzieć co ludzie powiedzą, jakie też zrobi i czy uczyni wrażenie, a strach go ogarniał myśląc, że każdy sądzić będzie z tego, co przeczyta, nie z tego, co miał w duszy, gdy pisał. Tak zaprzątniony i niespokojny powrócił do swojéj izdebki, a gdy nadeszła godzina lekcyi, z cięż-

kiém westchnieniem zbiegł na dół do mieszkania kupca.

W sali już znalazł panię kupcową usadowioną na kanapie, podpartą na ręku i zadumaną. Dawid przechadzał się także w szlafroku, w pantoflach, z cygarem w ustach. Oboje ledwie skinęli głowami akademikowi, a matka wstała, żeby zawołać córki. Stanisław tymczasem rozkładał książki, przygotowywał papier, niepokojąc się uczennicą i nauką. Wtém na szelest sukni we drzwiach podniósł głowę, spojrzał, i zdziwiony stanął wryty.

Tak uderzającéj piękności nie widział jeszcze w swém życiu.

Sara weszła majestatyczna, spokojna, bez zarumienienia, bez obawy, śmiało czarne swe potężne wejrzenie zwracając na młodego chłopaka, który uczuł się niém wzruszony do głębi. Dziewczę ubrane było dosyć wykwintnie, a nic w ubiorze jego nie zdradzało Żydówki. Dwie ogromne kosy czarnych kruczych włosów spadające na plecy, jeszcze jéj dodawały wdzięku. Pozdrowiła nauczyciela, i gdy przemówił rozpoczynając, utopiła w nim oczy tak bystre i ciekawe, że cała trudność, jaką się spodziewał znaleźć, znikła. Uczuł, że ma przed sobą istotę niepowszednią, nie proste dziecię wygnanego i skarlałego plemienia — ale kwiat wybrany szczęśliwie ręką losu, w którym odbiły się barwy i wdzięk zagasłéj epoki i umarłego żywota.

Sara słuchała go tak, że każde słowo jego odbijało się w jéj oczach pojęte i przyswojone; nie rumieniąc się, nie lękając nawet swéj niewiadomości, w prostocie ducha odważnie mu odpowiadała na zapytania, trochę złamanym językiem, ale mową pełną uroczych dźięków i jak śpiew melodyjną. Bo w mowie każde-

go człowieka leży spowity śpiew, a ucho badacza rozeznać może i ton jego, i muzykalność duszy, która go wydaje. W godzinach wielkiego wzruszenia, przez szelest wyrazów, coraz żywiéj słyszeć można tę pieśń spoczywającą pod niemi; w godzinach smutku i w krzyku rozpaczy, w jęku boleści już się dobywa na zewnątrz z piersi ta muzyka duszy, któréj codzienna rozmowa jest osłabionėm odbiciem. U ludów pierwotnych, u gminu, lada trochę żywsze uczucie zmienia mowę cichą w pieśń, jaka się daje słyszeć u pogrzebów (zawodzenie) zmieszana z płaczem, u wesel i biesiad każdy wykrzyk ma intonacyę piosenki. Dźwięk głosu, jak wszelki objaw zewnętrzny, nie jest bez znaczenia, a w człowieku niepracującym nad sobą, nieposiadającym siebie i nieodgrywającym uczenie komedyi życia, odkrywa głębię duszy, jak rysy twarzy, jak ruchy, jak wszystko przez co się całéj istoty jego treść przeciska.

Stanisław nie zdawał sobie sprawy z głosu, który tak mile brzmiał w uszach jego; ale uczuł go w sercu i zdziwił się, że w nim obudził niespodziewaną sympatyę.

Godzina zbiegła jak chwila; student uciekł do swojéj izdebki, i zdumiał się, nie wiedząc zkąd przyniosłszy z sobą wspomnienie Adeli. Tak dotknięcie jednéj struny drugie do drgania pobudza... Chwile spędzone z Adelą w Mruczyńcach żywiéj niż kiedy stanęły przed nim, rozmowy, marzenia, przysięgi, nadzieje... Dobył zeschły kwiat niezapominajki z piersi, i zapytał go po cichu:

— Gdzie twój braciszek? czy rozgrzewa go jeszcze bicie jéj serca? czy już leży zapomniany?

Zadumał się, zadumał długo, chwila po chwili prze-

żywając na nowo wszystkie pamiętne godziny spędzone z Adelą; a gdy schował kwiat zeschły, gdy się po długich rozmyślaniach opamiętał—spostrzegł, że późna już noc była.

Rozsypane po stoliku papiery przypomniały mu ów Noworocznik i wezwanie Bazylewicza; noc rozgorączkowała go nieco, i siadł z mocném postanowieniem stworzenia czegoś cudnego na wstęp swój w literackim świecie.

Nazajutrz, gdy chód Hersza obudził uśpionego jeszcze i znużonego Stanisława, była już godzina dziewiąta i ledwie mu pozostała chwila na ubranie, by nie opuścić prelekcyi Capellego. Ale na stoliku przed nim leżał gotowy jeden rozdział powieści, dwa wiersze i jedno tłómaczenie Goethego, przepisane do Noworocznika. Czuł Staś, że wszystko to z gorącém pisał natchnieniem, które mu pracę ozłacało; jakże się zdziwił, gdy wziąwszy w rękę wczorajsze arcydzieła, znalazł je teraz tak blade, tak zimne, że zedrzeć i spalić porywała go ochota. Pamiętał jeszcze obrazy, które w rozpalonéj głowie snuły się wczoraj, a obok nich te bezsilne odbicia ledwie były zamglonym cieniem.

Z rozpaczą prawie rzucił papiery, i postanowiwszy powrócić do nich jeszcze, pobiegł co prędzéj, by nie opuścić godziny. Ale wśród lekcyi obraz Adeli, czarne oczy pięknéj Sary i cudne brzmienia poezyi Goethego i własne jego pomysły przesuwały się przed nim, migały pomiędzy nim a nauczycielem, tak, że nic słyszeć, nic widzieć nie mógł prócz nich. Ręka

machinalnie prawie chwytała i zapisywała słowa, ale myśl nie wiedziała o nich, sprawy z nich sobie nie zdając. Zapytywany, drażniony przez towarzyszów, tak był zaprzątniony dwoisto, że im nie odpowiadał; a po upływie godziny równie machinalnie jak przyszedł tutaj, przeniósł się do innéj sali.

Trwało to dzień cały prawie; głód zaspokoił bułką i szklanką kawy, poleciał na strych i znowu wziął się do swoich papierów. Pracę przerwała tylko godzina lekcyi, równie szybko przelatującéj jak wczorajsza. Zamknął się i podbudzony głodem duszy, niecierpliwością, żądzą przemówienia do serc tych, co go jeszcze nie znali, raz pierwszy dokonał kilka ułamków, które mu się zdały znośnemi.

Daleki był od rozmiłowania się w nich, jak Bazylewicz w tém co mozolnie kleił bez natchnienia, na zimno, pewien zawsze będąc, że nic złego zrobić nie może; uczuł jednak, że w téj dobie życia nie potrafi już lepiéj, i może dozwolić się ludziom sądzić z téj próby.

Natychmiast więc zebrał co mu się zdało lepsze, odrzucając jeszcze to, o czém zwątpił w chwili stanowczéj, i przez oczekującego Żyda, wprost przy liście przesłał pierwszą pracę wydawcy Noworocznika.

Professor Hipolit był mu całkiem nieznajomy, ale słyszał o nim od towarzyszów. Młody ten człowiek, niedawno kandydat jeszcze w pedagogicznym instytucie, dziś nauczyciel literatury starożytnéj w szkołach, dał się dopiero poznać pracą, z jaką rzadko kto występuje w początkach: uczonym, ale pełnym życia kommentarzem nad poezyami Stanisława Trembeckiego. Dzieło to nie mogło mieć i nie miało rozgłosu w sferach towarzystwa zajętych czytaniem łatwém, gdzie

zaledwie o niém wieść doszła; ale zjednało mu szacunek u ludzi ceniących głębszą naukę i miłujących poezyę jędrną śpiewaka *Zofijówki*, który, gdyby nie dwór, gdyby nie życie pasorzyta i szambelana, gdyby nie wiek XVIII, gdyby nie wczesne zużycie, mógł być jednym z największych poetów, jakimi się chlubi literatura nasza. Professor Hipolit rzucił tę książkę, chcąc przez nią powiedzieć: „Oto co mogę, oto co umiem!“ Ale zarazem widząc, jak głodne rzesze wyglądały pokarmu, jak ogół pragnął strawy, którąby pożywać umiał, przeczuwając, że wychowanie literackie czytających począć się musi od ksiąg pod formą lżejszą wiodących do myśli i pojęć surowszych o sztuce,— przedsięwziął zebrać w jedną wiązkę wszystkie natchnienia młodzieży, wszystkie utwory swoje i rówieśników, wszystkie śpiewy, w których tętniała tęsknota wieku i wyrywały się uczucia jego. Tą powodowany myślą, gromadził do swego Noworocznika kłosy po polu z niezmordowaną gorliwością, nie wahając się schylać po nie i do tych, którymiby inny pogardził jako niedorosłemi dziećmi. I w dzieciach czasem mówi proroczo przyszłość.

Staś więc ufny w przeczucie swoje, które mu mówiło o nieznajomym do ucha, budząc jakąś nadzieję, minął ofiarowane pośrednictwo Bazylewicza, i śmiało mu się sam narzucił, czekając z bijącém sercem wyroku, który dla niego miał być stanowczy.

Czy go ośmieli i popchnie daléj tą drogą? czy zrazi i wleje wątpliwość?

Kilka dni zbiegły w niepokoju i najsprzeczniejszych przypuszczeniach, które coraz chmurniejszą przybierały barwę, gdy jednego wieczoru, siedząc na swém łóżeczku, usłyszał chód niezwykły kogoś widocznie

zbłąkanego na poddaszu. Otworzył drzwi, sądząc, że poczciwy Szczerba przyszedł go odwiedzić; ale twarz zupełnie mu nieznana ukazała się z głębi ciemności, i głos wesoły spytał o niego po nazwisku.

Przybyły był to człowiek w samym kwiecie młodości, a dwoje czarnych, niewielkich gorących oczu dawało twarzy jego wyraz życia silny i wybitny. Czarny włos w obfitych puklach zwijał się nad czołem pofałdowaném wcześnie myślą i pracą, ale usta śmiały się jeszcze weselem młodzieńczém i nieopatrzną młodości nadzieją. Ubiór wskazywał w nim nauczyciela.

Nie kto inny to był tylko poczciwy professor Hipolit, który przeczytawszy nadesłane mu poezye i ułamki prozy, póty się dowiadywał i szperał, aż wyszukał mieszkanie młodego pracownika. Trudno wypowiedzieć, jakiém uczuciem wdzięczności zabiło serce Szarskiego na widok pełnéj dobrotliwości i sympatyi, ciepłéj dłoni człowieka, który mógł nim pogardzić, mógł go lekceważyć, a pragnął podnieść i zachęcić, nie wahając się pierwszy wyciągnąć do niego dłoń przyjazną.

Professor wszedł wesoło, żartując ze swéj pielgrzymki na Niemiecką ulicę i błąkania się po żydowskim strychu; obejrzał izdebkę nędzną, okiem policzył sprzęty ubogie, domyślił się biedy studenta, i serce mu się widać ścisnęło na widok doli, któréj sam doznał może, szczęśliwie ją już przebywszy. Przypomniały mu się zapewne dziecinne lata w niedostatku spędzone, bo los go uczynił sierotą, i wytrwaniu winien był, że nie upadł na progu życia.

— Czytałem coś mi pan przysłał, rzekł powoli, siadając na jedyném krzesełku i biorąc rękę chłopca

w swe dłonie: czytałem, cieszyłem się serdecznie; witam w panu poetę, witam pisarza, i przyszedłem z uściskiem braterskim przynieść mu słowo otuchy, którego wiem niestety! potrzebę i znaczenie, bo mi go zawsze brakło, bom na ten brak przebolał srodze! Wszystko, coś mi dał, umieszczę w Noworoczniku... dasz się poznać... pójdziemy daléj... ale wyspowiadaj się pan trochę przedemną...

Spowiedź poszła łatwo przed człowiekiem, który współczuciem obudzał ufność i wywoływał wdzięczność. Stanisław wypowiedział mu z ochotą i życie, i myśli, i pragnienia, i nędzę nawet swoją, którą jak ranę wstydliwą przed drugimi ukrywał.

Professor Hipolit zasłuchał się smętnie, ale pod koniec znowu mu się twarz rozpromieniła, bo długo nie umiał być jeszcze smutnym, choć wesołość nawet miał poważną i jakimś pięknym tchnącą spokojem.

— Stare to dzieje, rzekł powoli: znana historya, od któréj się zawsze poczyna wszelkie życie pracownika na polu myśli. Któż nie cierpiał, nie bojował, nie walczył, nie padał, nie podnosił się, i za każdém dotknięciem ziemi jak Anteusz sił nie nabierał nowych? Jeżeli w tobie tleje święty ogień zesłańca, który gwiazdę wiodącą go do celu widzi dzień i noc przed sobą, jeśli nie przypadek i chwilowa gorączka, ale powołanie słowa bożego prowadzi cię na boleści dla pożytku ludzi, którzy wzgardzić tobą i zdeptać cię mogą.. przetrwasz wszystko, przebolejesz nieprzebolane, zmartwychwstaniesz zabity szydertwem i oplwany pogardą, pójdziesz i pójdziesz, a nic cię nie wstrzyma... Kto wie? może z wielkich wysiłków twoich tylko jedna kropla potu będzie nasionkiem dla przyszłości, może z ogromu zabójczéj pracy jedno tylko słowo zostanie

żywém na wieki, a reszta marnie się w proch rozsypie; ale czyż człowiek sobie żyje, nie ludzkości i swéj wielkiéj rodzinie?

Mówił tak długo, długo i oko mu pałało, a z ust jego w serce Szarskiego przelewały się myśli zbawienne, któremi jaśniéj spojrzał w przyszłość. Z ciasnego pojęcia pracy dla osobistéj-sławy, przeszedł do idei wyższéj, pracy zapierającéj się siebie, poświęcającéj wszystko, nawet sławę swą, dla dobra ogółu... uczuwał się namaszczonym na męczeństwo.

Powoli professor zniżył głos, i dla ośmielenia młodego chłopca, którego bojaźliwość już był poznał, coraz poufalszym się stawał; rozmawiali długo, śmieli się, żartowali, a gdy przyszło odchodzić, schwycił znowu za rękę Szarskiego, ze szczerém uczuciem.

— Sam byłem ubogi, rzekł ciszéj: przebyłem wiele, znam co to młodość z ciężarem niedostatku na piersi... nie obrażaj się jeśli ci pomódz zapragnę... trochę, niewiele... ile podołam. Przyjm ten grosz wdowi odemnie.

Szarski stanął cały w płomieniach, ale professor nie dał mu rzec słowa.

— Nie myśl naprzód, że ja ci dar jaki robię... na Noworoczniku mam zysk czysty, słuszna, żebym go ze współpracownikami mymi podzielił. Zresztą, zechcesz, to mi to kiedyś oddasz, ale dziś gniewać się będę jeśli nie przyjmiesz.

To mówiąc, porwał kapelusz i szybko się wysunął, nie dając nawet podziękować sobie za to, co na stoliku zostawił.

Więcéj nad wszystko, co go dotąd spotkało, współczucie professora Hipolita przyczyniło się do wyróżnienia Szarskiego wśród młodzieży literackiego oddziału. Ten i ów czytał u niego nadesłane do Noworocznika poezye, słyszał o nich od nauczyciela, którego zdaniu wierzono, dowiedziano się, że będą drukowane w Noworoczniku; podbudziło to ciekawość, zjednało trochę szacunku, zwróciło oczy obojętnych, co na twarzy i w postaci chłopca nic się dotąd nie dopatrzyli.

Nawet Bazylewicz po kilku dniach przyszedł raz na lekcyi ścisnąć rękę Szarskiego, i choć nie stracił względem niego swego dumnego tonu, jakoś się grzeczniejszym okazał.

— A co? rzekł z uśmiechem: mówił mi Hipolit, że cię będzie drukował, wziął tam i moje niektóre rzeczy... wystąpimy razem, jakeśmy tu razem przybyli! Cóż cię to nigdzie nie widać? Czemu nie odwiedzasz ani mnie, ani towarzyszów? Nigdy cię nie spotykam na przechadzce. Poecie potrzeba widoku świata i ludzi, powietrza, drzew, zieloności i przedmiotów, z których sączy się natchnienie, jak z brzozy soki wiosenne.

— Natchnienie przychodzi mi i na strychu, gdy je Bóg chce zesłać, rzekł Stanisław; a tak mało mam czasu, a taki ogrom pracy przed sobą, że chyba gdy już głowa pęka i ze znużenia padam, wybiegnę się trochę orzeźwić...

— Śmieją się z ciebie—dodał Bazylewicz—że dajesz lekcye Żydom; czy to prawda?

— Nie będę się zapierał, ośmielając się rzekł Szarski: nie byłem jak ty szczęśliwy, i nie mogłem sobie znaleźć innego miejsca; pracuję u Żydów!

— Przecięż musisz wiedzieć, śmiejąc się dorzucił Bazylewicz: że wszystkie nawet prowincyonalne synody zabraniają chrześcianom iść na usługi niewiernym...

Na tém wnijście professora przerwało rozmowę, a dnia tego nie spotkali się już więcéj. Natomiast Szczerba, Żryłło, Mszyński pochwycili po godzinie dawnego towarzysza w dziedzińcu, i poczęli mu z serca winszować, że się jakoś potrafił dać poznać; prorokowali mu już najświetniejszą przyszłość.

Staś uśmiechał się smutnie, ale nie mogąc się oprzeć poczciwym ich naleganiom, choć czasu miał mało, dał się im pociągnąć na dawną swoją kwaterę, na ulicę Trocką, i kilka godzin przebył na wspomnieniach szkolnych i akademickiéj wesołéj gawędzie.

Dopiero godzina lekcyi Sary zmusiła go powrócić na ulicę Niemiecką. Nie opuszczał on ich nigdy, bo mu zamiast przewidywanych przykrości, dziwną jakąś robiły przyjemność. Dziewczę było jeszcze wpół dzieciną, uśpioną pieszczotami matki, dusza w niéj zaledwie budzić się poczynała do nieznanego życia. Szarski spoglądał z zajęciem na to rozpowijanie się myśli, którą nawet najzimniejsza z nauk, nauka języka, rozkołysywała i codzień zdawała się silniéj ożywiać. Codzień ten posąg nabierał więcéj duszy, a oczy Sary z podbudzoną ciekawością patrzały na księgę i nauczyciela. Wyrazy nawet wzlatujące jak ptaki, na skrzydłach swoich przynosiły jéj myśli nowe, a ta gimnastyka krzepiła niewypróbowane dotąd siły, które z wolna w pytaniach i odpowiedziach uczennicy czuć się dawały.

Było coś zadziwiającego w téj dzieweczce, wychowanéj wpośród przesądów religii przerosłéj wiekami w zabobony, wśród zniewieściałych pieszczot, niewia-

domości, gnuśnego pokoju, a trafem obdarzonéj szczególnemi dary umysłu, któremu nic nie brakło prócz sposobności rozwinięcia i uprawy. To też jedno dotknięcie słowa budziło w niéj całe szeregi idei, nie wiedzieć zkąd powstających myśli, i znać było, że dziewczę czuło rozkosz w pracy, jakby się dla niéj świat nowy, przeczuwany otwierał.

Stanisław rozgrzewał się także patrząc na jéj zdumiewające postępy, i zapominał o zapylonéj salce, o dumnéj matce, o nadętym ojcu, o siwobrodym dziadzie, ukazującym się czasem we drzwiach mieszkania z widocznym wstrętem na twarzy i wyrazem wzgardliwym *Goj* na ustach. Wszystko to nikło mu z oczu na widok pięknéj Sary, która w tych ramach brudnych żywiéj jeszcze swym wdziękiem jaśniała.

Codzień przebywana z nią godzina powoli spoufaliła ich oboje, ale urodzenie i położenie towarzyskie tak potężną kładło między nimi tamę, że Szarski, wierny zresztą wspomnieniu Adeli, nie uczuł jeszcze dla Izraelitki nic, prócz jakiegoś litościwego współczucia. Żal mu tylko było, że ten śliczny kwiat wyrósł tak nizko, i pozostać musi na śmietnisku, z którego powstał.

Tymczasem trochę sławy, którą mu zjednały poezyć jego, już ku niemu świat zbliżać poczynało. Towarzysze zapraszali go uprzejmie, wskazywano go, trochę palcami, co więcéj może go przestraszało niż wzbijało w dumę, mimo uciechy, jakąby innemu robić mogło to *digito monstrari*; w ostatku nalegać poczęli i Szczerba, i inni, aby, gdy mu się tyle zręczności poznania kilku domów w mieście nastręcza, nie zaniedbywał ich i nie zagrzebywał się całkiem na strychu.

Paweł szczególniéj miał nad umysłem jego przewagę, i słowom jego Stanisław dał się wreszcie przekonać o potrzebie wmieszania się między ludzi. Trochę lekcye u Żyda, trochę pomoc professora Hipolita postawiły Szarskiego chwilowo w możności przyzwoitszego pokazania się w mieście; jakaś nadzieja wstąpiła w jego serce, i dał się pociągnąć towarzyszom.

Ówczesny świat wileński, nie wyjmując nawet najpierwszych domów, chętnię wstęp dawał tym, którzy nosili mundur akademicki, nigdy niesplamiony niczém i służący za najlepszą rekomendacyę młodzieży. Byle kto wprowadził akademika, przyjmowano go wszędzie, jeśli nie ze szczególnemi względy, których młodzież wymagać nigdy nie ma prawa, to z uprzejmą i serdeczną grzecznością. Mało też było rodzin, u którychby na wieczorach, zabawach i przy codziennéj herbacie nie ukazał się kto z młodych uczniów uniwersytetu. Był to żywiół wlewający w tę społeczność nieco ruchu, nieco uczucia i ognia. Mimowolnie rozgrzewać się musiano od piersi młodzieńczych. Szarski ani żądał, ani mógł począć swych znajomości z wysoka, teby go więcéj były męczyły niżeli przyniosły korzyści; a że z natury nieśmiałość szkodziła mu wielce, Szczerba słusznie zapobiegł temu, żeby w pierwszych krokach nie powiększyć jéj jeszcze, wiodąc go do domu, w którymby zbyteczna ceremonialność lub przesada zrażać go mogła. Mieli do wyboru dosyć, a pan Paweł począł od swoich poufałych państwa Ciemięgów. Rzeczony pan Ciemięga (proszę pozwolić mi go tak nazywać) mieszkał w mieście podobno dla wychowania córek, których miał aż sześć, ale niczém się sam nie trudnił, i w domu na następne tylko służył użytki: ucierał świece, gości witał u drzwi, od-

prowadzał do przedpokoju, posyłany był do kuchni, gdy nadszedł czas dawania do stołu, siadywał w kącie na zawołanie jejmości. Był to człowiek różowy, wesoły, wyśmienity, a śmiejący się tak ochotnie, że aż miło go było słuchać; bo czy sam co sobie skomponował (co jednak nie przychodziło mu łatwo), czy kto drugi coś powiedział, nim skończył już się brał za boki ze śmiechu, tak, że mu się trafiało oznajmienie o czyjéjś śmierci witać najsèrdeczniejszym wesołości wybuchem. Całe życie pan Ciemięga kontent był z siebie, z żony, ze wszystkiego, i tak sposobny do admiracyi, że krytyka najlżejsza, gniew, żal, uraza do kogo, stały się dla niego uczuciami potwornemi, niepojętemi. Że przez jejmość niewiele od siebie rozumniejszą zawojowany został, o tém już nie ma co mówić, bo najgłupsza kobieta w ciągu praktycznego życia podbije najrozumniejszego mężczyznę, choćby tylko samą strategią nudy; ale równie jak żony słuchał pan Ciemięga wszystkich swych córek, które chociaż nie wyglądały na robaczki, bo były czerstwe, rumiane, świeże, wesolutkie, zwał je przecię nieinaczéj tylko *robaczki* lub *robasie*. A robasiów tych było sześć jak jedna, wszystkie dorosłe i gotowe iść za mąż. Można sobie wyobrazić, ilu akademików krążyło pod temi oknami, z których tyle blond i ciemnych główek wyglądało o każdéj godzinie.

Dom państwa Ciemięgów, choć w mieście, był wiejski i szlachecki, bez pretensyi, bez wystawy, serdeczny, gościnny, poważny i uczciwy. Panienki były wielce skromne i miłe, a jejmość, matrona zacna, jedną tylko miała wadę, że się jéj zdało jakoby literaturę lubiła. Ten gust przyszedł jéj dopiero w mieście i na starość, gdy hładyszków do pilnowania zabrakło; dość

więc nieoswojona z przedmiotem, wyszła na literatkę i częste z tego powodu strzelała bąki. Panienki miluchne były, jedna w drugą potulne, ciche, a wesołe niemal jak ojciec, którego dobry przykład mając ciągle przed oczyma, nie lubiły też kwasić się bez przyczyny. Do tego to domu jednego wieczoru powiódł Szczerba drżącego Szarskiego, prawie gwałtem, oznajmiwszy wprzód o nim jako o poecie. Przyjął ich w progu pełną gębą śmiechu gospodarz, za okrągłym zaś stołem siedząca poważnie gospodyni bardzo seryo, panienki wejrzeniami ciekawemi, które zdawały się chodzić po kątach, a spadały na nowego gościa.

Znaleźli tam już zainstallowanego Bazylewicza, który jak się zdawało réj wodzić musiał w tym domu jak wszędzie, bo z długo wyciągniętemi nogami do pół pokoju usadowił się między starszemi pannami, i coś czytał z papieru niezmiernie uważnie słuchającéj go pani. Wchodzący przerwali poezyę, a autor jéj nie taił się ze złym humorem, choć starali się wsunąć jak najciszéj i usiąść jak najprędzéj.

— Niechże pan nam swego *soneta* dokończy! zawołała gospodyni; pan wie jak ja *wierszy* lubię. Bardzo prosimy! Na czémże to stanęło?

— Na tem stanęło, odezwał się Bazylewicz, chowając papier do kieszeni: że ichmość zaszastali nogami, a ja drugi raz czytać nie chciałem.

Gospodarz począł się śmiać serdecznie, schwycił Bazylewicza za obie ręce, przycisnął do swych piersi i posadził. Jejmość krzywo nań spojrzała, panny się trochę odsunęły, a rozmowa przeskoczyła na co innego. Muzyka, nabożeństwo, nowinki miejskie, wszystko na plac powychodziło i Ciemięga śmiał się tak dobrodusznie ze wszystkiego, że i drugich pobudzał tém

do śmiechu. Niektóre z córek wtórowały mu po trosze. Bazylewicz zaczesawszy włosy na tył, z głową zarzuconą na plecy, przechadzał się po salonie nieukontentowany a dumny, ale nikt na niego nie zważał. Nawet najstarsza z panien, do której był już dwa sonety napisał, jeden zobaczywszy ją *modlącą się w kościele*, drugi *do grającéj na fortepianie*, nie zdawała się obdarzać go szczególném współczuciem.

Na stole, przy lichtarzach i dzwonku, leżała książka w sinych okładkach, świeża, nierozcięta jeszcze, snadź tylko co przyniesiona, na którą nikt nie zwracał uwagi. Szarski, któremu strasznie ciężko było dać sobie rady z rękami, nie mając ich gdzie podzieć, z oczyma któremi nie wiedział gdzie patrzeć, i gębą, któréj otworzyć nie umiał, chwycił machinalnie tę książkę — ale w tejże chwili jakby sparzony ukropem z rąk ją upuścił. Był to może pierwszy w świat puszczony egzemplarz tylko co zszytego Noworocznika, przyniesiony przed godziną pani Ciemiężynéj przez professora Hipolita. Szarski podniósł książkę cały zapłomieniony, zmieszany swą niezgrabnością, i cichuteńko położył ją znów na stole. Ale szmer ten i na niego, i na nią zwrócił uwagę i oczy.

— A! to Noworocznik pana Hipolita, który córkom moim daje literaturę! zawołała gospodyni. Bardzo go lubię, porządny człowiek, talent wielki już kiedy krytykuje Trembeckiego! Ot, gdyby nam kto z panów co przeczytał!

Szczerba chciwie pochwycił książkę, a że czytać lubił i nieźle w istocie głośno czytał, poszukał zaraz oczyma znanego mu wiersza Szarskiego, pod tytułem: *Pożegnanie*, i nie mówiąc czyj był, rzewnie, prosto, z serca czytać go począł.

Bazylewicz nawet raczył stanąć i słuchać. Kiedy uczucie prawdziwe a silne zagrzeje piersi młodego poety, kiedy nie zmyślone cierpienie, nie dziwaczną myśl jakąś, ale odwiecznie znane a zawsze nowe wyleje z serca żale... któżby się nie poczuł wzruszonym niemi? Niepotrzeba na to ani artysty, ani znawcy, ani smaku, ani nauki, potrzeba tylko serca, a serce ma każdy prawie, kto go w sobie sam nie ubił. Wiersz ten był bardzo prostém pożegnaniem miejsc, w których spłynęło dzieciństwo i młodość, ogródka z gruszą staruszką, dworku z zielonym omszonym dachem, wiejskiego kościołka, darniowéj kanapki i świętego progu domu... pożegnaniem rozdzierającéj rozpaczy i łez pełném, bo ostatniém, a tak młodém! tak gorącém! W téj sprzeczności dziwactwa uczuć z pożegnaniem, które chyba skazany na śmiérć, wygnanie lub starzec konający, mógł tak boleśnie wyśpiewać... była największa tajemnica piękności pieśni i jéj siły.

Szarski wygnany przez ojca, znając nieubłagane serce jego, oblał łzami gorącemi tych krwawych strof kilka; ale też warte były poematu, bo każde w nich słowo pełne było poezyi i wrzało a kipiało boleścią.

Szczerba począł czytać, uciszyli się wszyscy, słuchali, aż powoli gdy ostatnią strofę kończąc podniósł oczy, spostrzegł, że pani, i panny, i wesoły gospodarz nawet... płakali! O! jakiby to był tryumf dla poety, gdyby go mógł pochwycić, gdyby się nim mógł nasycać! ale Szarski tak był zmieszany, nieprzytomny, tak mu krew zalewała głowę, że nic nie słyszał i nie widział prócz szumu, blasku i otaczającego go jakiegoś męczeńskiego chaosu.

Panny, pani, wszyscy poczęli pytać: czyje to? czyje? a Szczerba ręką tylko wskazał wpół żywego autora.

— Ot! dalibógżeż rozpłakałam się jak dziecko! zawołała jejmość ocierając oczy; ale któż-bo widział takie smutne rzeczy komponować!

— Kto widział! powtórzył za panią pan Ciemięga, ruszając ramionami; czyż nie lepiéj pobudzać do śmiechu niż do płaczu?

— Jakież to śliczne! jakie to śliczne! zaszemrały panny, i spojrzały, ale jakoś inaczéj teraz spojrzały na spalonego wstydem Szarskiego.

Jeden Bazylewicz stał niemy i nie chwalił, nie dziw, bo porównywając effekt swoich sonetów z elegią towarzysza, głęboko czuł się urażonym.

— Głupi tłum! mówił w duchu: gęsi! gęsi!

— Bardzo to ładne, odezwał się po chwili, kładnąc po napoleońsku rękę za frak; ale pozwolisz panie Stanisławie trochę i pokrytykować!

Staś podniósł dopiero oczy.

— A! dla czegoż nie! zawołał: krytykuj, to mnie czegoś nauczy!

— Poezya tego rodzaju nie na dobie, rzekł pedancko Arystarchus: nie wiek to, żebyśmy jak żebracy, podejmując łachmany, obnażając rany nasze, wymadlali kroplę litości! To poezya chorobliwa, którą wielki Goethe nazwał i okrył szyderskim przydomkicm *poezyi szpitalnéj*.

— Być może, odparł Szarski; ale też nie myśl, żebym wielką wartość przywiązywał do tego wykrzyku, który się wyrwał z mych piersi wcale nie dla wyżebrania współczucia... pisałem go z potrzeby płaczu!

— U mnie Goethe to poeta, kończył Bazylewicz: opiewał boleści cudze jakby sam bolał na nie, ale się nie skarżył na siebie... nie złapiesz go na słabostce niewieściéj.

— Ot, lepiejbyś pan nam swój sonet przeczytał, przerwała gospodyni domu... bo że to ładne, to jak Boga kocham ładne... darmo krytykować!

Bazylewicz ruszył tylko ramionami.

— Ale tu być muszą i twoje poezye, rzekł Szarski, pośpiesznie biorąc książkę i szukając w niéj. Pozwól, byśmy z nich co przeczytali.

Dumny sędzia widocznie się zmieszał; wygadał się był bowiem sam, że coś posłał do Noworocznika, a na kartkach drukowanych dwa tylko sonety z Petrarki z podpisem jego się znalazły; widocznie reszta pozostała w tece Hipolita, który złożył przez grzeczność na cenzurę to, co sam zmuszony był uczynić.

— Nie mam tam tak jak nic, przerwał Bazylewicz: bo ja poezye moje osobno wydać zamyślam.

Szczerba podjął się przeczytać sonety, ale potrzeba było całéj grzeczności towarzystwa, by ich wysłuchać cierpliwie i chwalić przez zęby tak dziwne wierszydła, włożone na rachunek wielkiego imienia Petrarki!

Gdyby wstał z grobu kochanek Laury, a dano mu było nasz język zrozumieć, o! jakżeby się zdziwił dowiadując, że te sonety szły w świat pod jego pieczęcią! Coś to było ukutego mozolnie, ciężkiego, twardego, z doborem słów najosobliwszym, najdziwaczniejszym... wyrazy użyte, miasto malować jedno i godzić do celu wspólnego, tłuc się i bić z sobą zdawały. Myśl zaplątana w tę sieć węzłów pełną, ledwie przeświecała gdzie niegdzie, ledwie ją schwytać było można. Tłómacz widocznie więcéj się upędzał za wdziękiem, a trafił tylko na nieforemną jakąś chropawość...

Zamiast łez zebrał szmer pochwał, które przyjął jako należną daninę tylko, i wnet biorąc ztąd assumpt

do rozprawy o sobie, obszerniéj począł o poezyach swych, o piersi, z których je dobywał, o tém, co pisał, co pisze i napisać może...

Był to rodzaj rozmowy szpitalnéj także, którą wkrótce niespodziewany gość przerwał.

Nie widywano go nigdy prawie po domach, gdzie towarzystwo złożone było z kobiet i mężczyzn, ale wyjątkiem dla niego byłdom państwa Ciemięgów, którego gospodarz kollegował z nim na szkolnéj ławie i wiedział, jak go miał przyjmować. Był to ex-professor Iglicki, niemłody już człowiek, dość otyły, blady, fizyognomii trochę wolterowską przypominającéj, tylko nalanéj, chorowitéj i zbrzękłéj, oczu zagasłych, zmrużonych i szyderskiego uśmiechu. Sławny poeta, sławny literat, sławny krytyk, dowcipny istotnie, ale płytki we wszystkiém, najsławniejszym być mógł jako hulaka i dusikufel. Iglicki już zszedłszy z professorstwa, które czy mu odjęto, jak mówili jedni, czy też sam porzucił, wedle drugich, żył teraz wolny pod komenderówką swego sługi faworyta i żony jego, opiekujących się garderobą, kieszenią i pijaństwem emeryta.

Typ literata z tych czasów mitycznych dla nas, w których geniusz niemal obowiązywał do rozpusty, Iglicki nie miał żadnéj wiary; nie miał szacunku dla siebie i powołania swego; a prawiąc kazania moralne wierszem i prozą, bynajmniéj ich nie brał dla siebie. Głosił wielkie sentymenta, piorunował na zbrodnie, na wady, na egoizmy, a sam po kolana w błoto maszerował życia gościńcem...

Pisał, jak to dawniéj mówiono, *gładko*, bardzo gładko w istocie, bo często w dziełach jego i myśl zgładzona była do szczętu. Pisał dowcipnie czasem, o co nietrudno przy odrobinie zdolności, ale zapału,

sumienia, szlachetności nie pytać było w tém co tworzył. Tłómaczył kilku poetów, pisał wiele prozą, po trosze robił wszystkiego, a że pod starość przyszło mu żyć z niewielkiéj pensyi emerytalnéj i pióra, najmował je w różny sposób. Jeden z księgarzy zwykł go był tytułować *złotém piórem*, podobno dla tego, że na zażądanie, za butelkę wina, za dobry obiad, za śniadanie z kołdunami porterem oblane, gotów był zawsze stworzyć w pół godziny prospekt, czy to na nowe wydanie kazań; z których się naśmiewał, czy na dykcyonarz, czy na historyę naturalną lub romans, wszystko mu to było jedno.

Ale najużyteczniejszym był Iglicki księgarzom i intrygantom literackim, gdy szło o strategiczne manewra na krytyce oparte. Nikt nad niego ostrzéj, śmieléj, bezlitośniéj i bezwstydniéj, bo zawsze bezimiennie, nie rzucał się na wszystkich i na wszystko: artykuły jego w tym rodzaju były w istocie arcydziełami, tak mu nigdy konceptu nie brakło, tak szermował zręcznie i zabijał na zimno. Chodziło-li o zwalczenie współzawodnika, o zachwianie rosnącéj młodéj sławy, która groziła zaćmieniem starych, o wyszukanie skazy w arcydziele, o wystawienie śmieszne rzeczy poważnéj, Iglicki na to wszystko z chłodną krwią się ofiarował. Z umysłem zręcznym choć płytkim, oczytany, erudyt, a sceptyk w głębi, któremu wszystko było jedno czy czarno pisać czy biało, chwalić czy ganić, potępiać czy wynosić—pisał za co mu zapłacono lub za co go spojono, i tak sobie żył powoli, rzadko trzeźwy wracając do domu.

Życie jego upływało najwięcéj po traktyerniach, garkuchniach, cukierniach i winiarniach, lub za stołem

księgarskim, gdzie często siadał pisać recenzye ledwie rzuciwszy okiem na dzieło. W towarzystwach bywał mało, a kobiet nie cenił, bo tych, które znał, szacować nie mógł, a któreby mógł szacować, nie znał. Stary rozpustnik, nie mogąc inaczéj przedłużyć młodości, dokazywał jeszcze językiem, i zalawszy gardło, lubił deklamować wierszydła w rodzaju Pirona i Węgierskiego, które swojego czasu uchodziły za arcydzieła toku, języka i dowcipu.

Wielki przyjaciel tych, co go poili, jutro był gotów za poczęstunek stanąć przeciwko nim z epigramatem lub najostrzejszą krytyką. Dodajmy dla charakterystyki jego, że gdy z obowiązku najemnika literackiego wypadło mu chwalić, jak naprzykład w nekrologu lub sprawozdaniu dla nakładcy, gorzéj mu się to daleko udawało niż szyderstwo i dowcipowanie. Nizał słowa, napychał niemi wiersze, wydymał artykuł wiatrem, ale to wszystko razem puste było, czcze i zimne. Przeciwnie, szarpiące jego krytyki wiele miały soli i humoru. Człowiek ten naówczas uchodził za najwyższego niemal sędziego w rzeczach literatury. Było to po pamiętném przesileniu romantyczném, w którém nowa szkoła plac boju otrzymała, a choć Iglicki klassykiem był zakamieniałym i pod starość ani mógł, ani myślał się zmienić, ostał się jakoś sam jeden możc na ruinach, których bronił bezsilném błaznowaniem, zręcznie wykpiwszy się w czasie boju i wykręciwszy sianem. A że ogół więcéj zawsze wierzy w gotowe i już zrobione reputacye, niż w nowe potrzebujące z jego strony rozbioru i samoistnego sądu, Iglicki utrzymał się przy swojéj. Zmienił trochę koloryt stylu, ustąpił trochę z klassycyzmu, i choć niekiedy potajemnie

jeszcze na romantyków wierzgał, pozostał przy wielkiéj konsyderacyi, którą w części nabył kąśliwością swoją a dowcipem utrzymywał.

Tém bardziéj go szanowano, im mniéj komu przepuszczał, a młodzi obawiali się go niezmiernie, bo dla nich był bez litości. Biada było płodom niedojrzałéj muzy, które w prostocie ducha przyszły pod próg jego, zasięgnąć rady i oddać się opiece starego Satyra... spotkało je grubiaństwo lokaja lub sarkazm professora. Taki był człowiek, którego ukazanie się w salonie ucieszyło gospodarza, pewnego, że się w kątku za łzy dzisiejsze serdecznie uśmieje... zafrasowało gospodynię, domyślającą się, że niejedna pęknie dla gościa butelka... a nastraszyło studentów, którzy go dotąd z daleka w ulicy widywali, nie śmiejąc zbliżyć się do zawołanego Zoilusa.

Szarski, Szczerba, a nawet najśmielszy Bazylewicz, usunęli się trochę, i gdyby nie grzeczność gospodyni, która ich z kolei jako pełnych nadziei młodzieńców prezentowała przyjacielowi domu, nie byliby się nawet ważyli do niego przystąpić.

Iglicki spojrzał z pod okularów, skrzywił usta uśmiechem świętokradzkim, który urągał młodości i sile, sam sterawszy oboje... i wyrzekłszy coś dwuznacznego, usiadł co prędzéj. Nieszczęściem wpadła mu nowa książka pod rękę.

— A! a! co widzę! zawołał cichym, schrzypłym i przygasłym głosem: literatura jakaś na stole! *Mehercle!* Noworocznik pana Hipolita! a! to ciekawe. *Na bezrybiu i rak ryba!* cha! cha! Elukubracye młodego pokolenia.

I począł przewracać książkę, to tu, to ówdzie chwytając po kilka wierszy, których proste nawet

odczytanie w ten sposób oderwany było skarykaturowaniem i krytyką.

Przyszła kolój na elegię Szarskiego, przebiegł ją po cichu, nie domyślając się, że autor marł ze strachu o kilka kroków.

— A! a! rzekł: naśladowanie! naśladowanie! przesadzone! przesadzone!

Stanisławowi serce biło, pobladł, ale dekretu wysłuchał z pokorą, nie śmiejąc się odezwać. Przyszły pod topór i sonety, a że ich forma dziką była w istocie, professor począł się okrutnie pastwić nad niemi.

— Co to jest? zakrzyknął: po chińsku? po angielsku? po kałmucku? po mongolsku? bo pewnie nie po polsku. I to być ma Petrarka! to kochanek Laury! Wolałbym *Ne chody Hryciu* podać za przekład z Tassa, podobniejsze to byłoby do prawdy...

To mówiąc rzucił książkę o stół, a już teraz gospodarz, który się śmiał na kredyt, pochwycił go i pociągnął do butelki odkorkowanéj..

Co się działo z Bazylewiczem, opisać trudno. Byłby starego opoja zamordował, gdyby mógł; ale bezsilny gniew wyrzucił go samego za drzwi, pochwycił czapkę i wybiegł jak szalony.

Szarski, Szczerba i inni uczniowie powoli wysunęli się cicho, widząc, że Iglicki zasiadł ze śmiejącym się gospodarzem na ustroni.

Tego pamiętnego wieczoru, młody poeta doznał wszystkich uczuć, jakiemi go zawód przyszły miał karmić.... rozkoszy, boleści, wstydu, upokorzenia, a chwila wesela starła się zupełnie z pamięci i kolące tylko pozostało w piersi ciernie.

Tymczasem z Krasnegobrodu, z Mruczyniec żadnéj nie było wiadomości. Falszewicz upojony, zapewne po wytrzeźwieniu zawstydziwszy się, że go złowiono na plewę, więcéj już nie pokazał się Stanisławowi, a ten szukał go napróżno w mieście, śladu znaleźć nie mogąc. Posyłał Hersza na pocztę, spodziewając się, że pan Adam choć słowem politowania i współczucia odezwie się do niego; potém wnosząc, że może listu jegō nie odebrał, powtórzył odezwę, ale na obie najmniejszéj nie otrzymał odpowiedzi.

To milczenie osób, na które rachował, odosobniając go do reszty, zostawując własnym siłom, przygnębiło na chwilę, ale zmusiło razem wejrzeć surowiéj w przyszłość.

Były godziny, w których oko w oko spozierał w twarz nędzy nieuniknionéj; były błyskawice otuchy i wielkich nadziei. Któż policzy, ile w téj izdebce podstrychowéj przeleciało myśli, przeroiło się marzeń, prześpiewało pieśni... i jak w niéj Szarski dojrzewał cierpieniem! Towarzystwo też codzień częstsze i poufalsze professora Hipolita, który go po batersku przytulał, wiele się przyczyniało do jego rozwinięcia i dania jasnego pojęcia losów, ktore go czekały.

Człowiek ten, zdrowém okiem, nie łudząc się, widział co może dać zawód literacki w kraju naszym, i nie osładzał pigułki.

— Lepiéj—mówił do niego—żebyś był przygotowany na wszystko, niż żebyś podniósł się marzeniem wyżéj niż dolecieć możesz życiem. Łacińskie stare powiada przysłowie: „Kto siedzi na ziemi nie spadnie.“ Kto raz wszedł na drogę duchowéj pracy, niechże jak zakonnik średnich wieków położy się w trumnie i *re-*

quiem nad sobą odśpiewa, bo reszta życia jego zejść musi w rozbracie ze światem i zaparciu się siebie dla idei. Nic on nie może i nic nie powinien dla siebie, cały należy do drugich! A! święte to i wielkie kapłaństwo! I jak z nieczystego naczynia krzepiący i zdrowy napój popłynąć nie może; tak on, ażeby istotnie zdrowém był źródłem dla braci, najprzód sam nad sobą, nad swoją własną poprawą i wzniesieniem się moralném pracować powinien. Nie ma tu co myśleć ani o sławie, ani o wiciu wieńców, ani o wyciąganiu korzyści z pracy, bo to zawód poświęcenia, i na niém stoi on cały. Każda inna praca wyżywi robotnika; ale najmozolniejsza, najcięższa, ta, w któréj nietylko siły ciała i zdrowia szafujemy, ale duszę naszą lejemy po cząstce, jak pelikan krwawemi wnętrznościami karmiąc ludzi—nie jest w stanie dać nawet chleba powszedniego. O żebranym okrajcu iść trzeba jak starzy pielgrzymi do Jerozolimy...

Jeżeli wśród tych cierni i utrapień, wśród lekceważenia, prześladowania i męczeństwa, jedną myślą zdrową przysłużysz się ogółowi, jeśli jedno rzucisz nasionko przyszłości, czyż ono nie warto ofiary całego życia? Piękna pieśń rozchodząca się z ust do ust po świecie, co budzi w sercach uczucie szlachetne, podnosi, rozrzewnia, porusza... któż wie, ilu rozbudzi tych, co na wieki snem ciała usnąć mieli? ilu się stać może czynów poczciwych nasieniem? Godzi się więc i piosnkę malutką pisać krwią i łzami...

Bywa, i najczęściéj się trafia, że dźwigając na barkach ciężary, że pracując od wschodu do zachodu, przejdzie wyrobnik cały obszar życia, odepchnięty, wzgardzony, niezrozumiany, odrzucony; że obok niego drugi, co palcem poruszył bryłkę z pod stop swoich,

na tarczach dźwignięty, ogłoszon zostanie wielkim... A! i na to skarżyć się nie wolno! Niech płacze łzami w duszy jeśli słaby, ale boleć nie ma czasu i prawa... Dzień jego zakupiony, policzone chwile... do siebie nie należy.

Takiemi to rozmowy karmił młodego Szarskiego, niewiele od niego starszy, ale dojrzały już nauczyciel, a żadna darmo nie przeszła, bo w tym wieku wszystko przylega do świeżego umysłu i niezgluzowane na nim zostawuje ślady.

Zresztą ciągnęło się życie jednostajnym trybem, całe zajęte pracą, lub poświęcone marzeniom i towarzystwu rówieśników. Często wśród niego powtarzały się tęsknice po domu, po Adeli, po tym cichym kątku litewskim, do którego mu powrócić nie było wolno, i płakał. Ale łzy pochłaniała poezya, ocierali je poczciwi towarzysze. Paweł Szczerba niemal po macierzyńsku czuwał nad ukochanym, nie spuszczając go z oka i ciesząc się, że słabe dziecię sił nabierało wśród boleści.

Godziny lekcyj u kupca szły codziennie nieprzerwane. Staś oswajał się z niemi i uczennicą, która codzień też zdawała się więcéj i łatwiéj z nauki korzystać. W oczach jego rozwijał się piękny ten kwiat, który nie potrzebując ani słońca, ani rosy, ani ożywczego powietrza, w sobie niemal samym czerpał siły do wzrostu. Stanisław zdumiewał się postępom, i nieraz zadumał się nad niemi.

Do czego jéj służyć miało to wykształcenie, o które się rodzice starali? na co się zdała nauka w świecie, w którym żyć miała? chyba żeby ją wiek cały karmić żalem i wstydem, a tych, z którymi była związana, ukazać w najniekorzystniejszém świetle. Często w go-

dzinach nauki, kupcowa, znudzona szmerem niezrozumiałych dla niéj wyrazów, uchodziła ziewając i zostawiała ich sam na sam. Naówczas oczy pięknéj Sary śmieléj jeszcze zwracały się na młodzieńca, a usta jéj odważniejszém otwierały się pytaniem. Ciekawość jéj nie miała granic; słowo wyrzeczone chwytała chciwie, i nagle w dalekie zdawała się przez nie sięgać horyzonty. Jak przez mały otwór wpadają wiązką jasne promienie słońca, tak do jéj duszy wchodziło światło przez jedno wyrzeczone słowo.

Stanisław chętnie zaspakajał jéj ciekawość i nieostrożnie dogadzając palącéj ją żądzy oświecenia, dawał książki, rozciągał godziny, i nie ograniczał się językiem samym, do którego zresztą piękna Żydóweczka szczególną okazywała zdolność.

Zaczęte po południu lekcye przedłużały się nieraz do wieczoru, i ciągnęły się dłużéj daleko niż były powinny, bo Sara nigdy ich nie miała dosyć, a Staś czuł w sobie rozkosz i dumę, karmiąc jéj świeżą, młodą i jak kwiat ku słońcu zwróconą ku sobie duszę.

Raz w wieczór, gdy się tak zapomnieli o mroku, a nauczyciel rozprawiał... naprzeciw niego we drzwiach od przyległéj izby zjawiła się nagle postać starego dziada Abrama. Stał on ze wzrokiem wlepionym we wnuczkę i goima, jak słup skamieniały, ale z wyrazem gniewu, rozdrażnienia, niemal wściekłości na ustach. Widać było, że wzgląd tylko na syna i synową wstrzymywał drżącą rękę starca, którzyby był nienawistnego nauczyciela pchnął na łeb ze wschodów... Modlił się czy przeklinał, ale usta jego drżały drobnemi ruchy, wargi się poruszały konwulsyjnie, a oko szkliste, zgasłe, rozświecone złością, jak sztylet tkwiło w Sarze i młodym goimie.

Sara go nie widziała; Staś zmieszał się, zarumienił, uczuł niepokój nieopisany, ale go nie okazał po sobie. Starzec stał tak długo z daleka, wreszcie wyciągnął ku niemu rękę stuloną i groźb pełną, plunął i zniknął.

Nazajutrz Abram podkradł się znowu, i znowu temi oczyma złości pełnemi pastwił się nad Szarskim, który odezwać się nie śmiał, żeby Sary nie strwożyć, a nie mógł spokojnie przenieść tego piekielnego wzroku z pod brwi siwéj, wprost wymierzonego w jego piersi.

Na wyrazie wejrzenia omylić się nie było podobna, bo buchało gniewem tajemnym. Stary, który z synem i synową walczyć nie chciał, usiłował w ten sposób odstraszyć młodzieńca i odpędzić, aby przytomnością swoją, tchem nieczystym, zbliżeniem, nie kalał wnuczki jego. Ale Stanisław męcząc się trwał na stanowisku.

Innego wieczoru, gdy odchodził po pożegnaniu z Sarą, w samych drzwiach uczuł się z przerażeniem schwyconym za barki i wypchniętym gwałtownie, a obróciwszy się, postrzegł nad sobą zwieszoną straszną głowę starca, która wnet znikła w cieniu.

I to go nie odstręczyło jeszcze; rozśmiał się i nie rzekł słowa... żyć musiał! Wszystko znieść było potrzeba, nawet razy szalonego starca, który nienawidził goima.

W kilka dni potém, późno w nocy siedział w swéj izdebce Stanisław zamyślony, gdy nagle na progu, w otwartych drzwiczkach, zjawił się przed nim wsparty na kiju Abram.

Snadź wybrał się niepostrzeżony od nikogo, boso, w pończochach tylko, by chodu jego nie słyszano,

w starym kubraku i czapce, nie zrzuciwszy nawet *zizim*, w którém się modlił.

Stanisław omal nie krzyknął, postrzegłszy tę postać nieruchomą, stojącą w progu, bladą jak mara i groźną. Abram długo tak milcząc przykuty stał we drzwiach, patrzał, jadem wzrok napoiwszy, aż ruszył się nareszcie, i postąpiwszy kilka kroków, stanął znów wsparty na kiju, poczynając drżącym i złamanym wołać głosem:

— Czego ty tu chcesz? co ty tu robisz pod dachem naszym?... Idź do swoich!... idź do swoich...

Staś nie umiał mu odpowiedzieć, tak silne uczuł wrażenie. Milczał chwilę i odezwał się nierychło:

— Pójdę jutro... pójdę... ale wszyscy w domu wiedzieć będą o twojéj napaści...

Starzec nie słuchał odpowiedzi, i mówił daléj przerywanemi słowy, targając siwą brodę:

— Czego ty uczysz Sarę? Nie *Chumisz*, nie *Tora*, nie *Tanach*, ale *a woda zara* (obcéj wiary), wiary *akumskiéj* (wiary gwiazdochwalców)... Chcą wstydu, chcą sromu, chcą z *chassidów* (pobożnych) w domu swoim porobić *mymerów*, *myszumetów* (przechrztów, potępieńców). Głupi, głupi, którym *dass* (wiara) nie wystarcza, którzy w nauce od *klippes* (dyabłów) zesłanéj, szukają dobra, jakiego w niéj nie było, i z ognia czerpią wodę! Czegoś ty tu przyszedł, synu *akumów* (gwiazdochwalców)? Dzień, któregoś ty stąpił na próg nasz, *jom et* (dzień nieszczęścia)... *jom et* dla ciebie i dla nas... Powiadam ci: weź kij i sandały twoje, a idź dopókiś żyw, i nie odwracaj głowy twojéj, ani oczu twoich, abyś nie powrócił i nie umarł.

Stary ze wzrastającym gniewem, mieszając wyrazy hebrajskie, któremi przesiąkł w ciągłém czytaniu

Talmudu, szarpiąc się i miotając, mówił i kończył niezrozumiałém bełkotaniem, którego szmer brzmiał przekleństwy tysiącznemi w uszach Stanisława. Stał nie wiedząc co począć, ani co odpowiedzieć, a Abram nie ustawał pytać i przeklinać.

— Nie przyszedłeś tu *szysgajer* (przejść na wiarę żydowską), ani poświęcić się w Zakonie; ale z trucizną i zepsuciem w sercu wszedłeś pod dach nasz, aby wywołać przekleństwo z ust starych na dni twoje, aby nakarmić piersi starca żółcią i gniewem. Azali myślisz, że którykolwiek głos człowieczy, idący z serca, próżen być może i nie dochodzi do tronu Tego, którego imienia nie godzi się wymówić ustom ludzkim? Azali myślisz, że nietknięty ręką, nie możesz być pożarty oczyma, i strawiony nienawiścią, i zabity na wieki klątwą?... Idź, mówię ci, uchodź w cichości, okrywszy głowę twoją, a zatrzéj za sobą końcem płaszcza ślady nóg, aby cię nie znalazły myśli moję, i posłańcy Tego, który się mści za dzieci Izraela... Idź, a nie kalaj nas... idź...

Daleki szmer dał się w téj chwili słyszeć na poddaszu, ale Abram był nań głuchy.

Szarski drżał cały, nie mogąc się wyrwać i nie pojmując końca téj sceny, gdy nagle Dawid stanął we drzwiach, i głosem silnym zawołał na ojca z wymówką:

— Abram! Abram!

Starzec odwrócił się widocznie przestraszony, jak zbrodniarz schwytany na uczynku, zatrząsł się i zawrócił ku synowi, który powolnie, ale śmiało począł mówić do niego niezrozumiałym językiem. Kilka słów odjęło Abramowi gniew jego na pozór przynajmniéj, uśmierzył rozdraźnienie, spuścił głowę, przymknął

oczy, i mrucząc tylko wywlókł się po cichu z izdebki. Syn nie poszedł za nim; zmieszany był widocznie, otarł pot występujący na czoło, i siadł na krześle, a wyciągając rękę do Stanisława, rzekł przymuszając się do smutnego uśmiechu:

— A! przepraszam pana za tę nieprzyjemność! Więcéj już tego nie będzie... Stary (wskazał na głowę) trochę ma osłabiony rozum, on i do nas czasem przywlecze się z czémś podobném. Cóż robić? musimy cierpieć, bo ojciec... Ale pan się nie gniewasz?

— Nie gniewam się, odpowiedział Stanisław; ale gorzéj, bo się obawiam.

— Czego? bezsilnego starca? zapytał Dawid z wymuszonym uśmiechem. Ja panu ręczę, że on tu więcéj nie przyjdzie.... a proszę tylko i bardzo proszę nikomu o tém nie mówić.

— Nie powiem nikomu, ale czy nie lepiéjby było, żebym się wyniósł i nie drażnił go więcéj przytomnością moją? zapytał z cicha młodzieniec.

Dawid potarł brodę.

— Ja i żona moja bardzośmy z pana kontenci, rzekł powolnie: stracić pana nie chcemy... Miałem nawet od dawna myśl czémś się panu odwdzięczyć... dopomódz... i będę się starał o to... Na cóż uciekać, wynosić się, kiedy ręczę, że się to już nie powtórzy?

To mówiąc, kupiec z grzeczniejszym niż kiedy ukłonem, ścisnąwszy rękę akademika, wysunął się co prędzéj z izdebki.

Scena ta byłaby może silniejsze na Szarskim uczyniła wrażenie, gdyby go drugie natychmiast nie zatarło... Szczerba wpadł do izdebki.

Twarz jego była rozpromieniona, wyjaśniona, i zwiastowała z daleka dobrą jakąś nowinę. Nócił już na

schodach piosnkę, w któréj dźwięku przebijała się radość, a w progu zaraz zawołał:

— Ciesz się! ciesz się!

— A! to coś nowego! rzekł Szarski. Z czegożbym się ja mógł cieszyć?

— Przynoszę ci wieść dobrą, schwytaną przypadkiem, która cię żywo obejść powinna.

— Na Boga! cóż to takiego?

— Krewny twój, Adam Szarski, z żoną i córką przyjechał do Wilna.

— Kiedy? zakrzyknął rzucając się Stanisław.

— Mówiono mi, że przed tygodniem...

— Jak to! tydzień tu już są i nie dowiedzieli się do mnie? nie przysłali? nie spytali co się ze mną dzieje? zasmucony zawołał Stanisław. Cóż to znaczy?

— To nic a nic nie znaczy, rzekł Szczerba spokojnie. Zwyczajnie w mieście, nie mieli czasu, znajomych, sposobności... Zresztą ty sam powinieneś pójść do nich, nie czekając, zaraz, jutro... Mieszkają w domu Podbipięty.

Dobra ta nowina nie taką jednak radość, jakiéj się Szczerba spodziewał, sprawiła Stanisławowi. Tydzień milczenia obojętnego ciężył biednemu, i przeczuwać kazał, że i tam zawód dla serca go czeka.

Nazajutrz rano, o rano! wstał Stanisław z pełną głową przypomnień, z piersią pełną uczucia, z zaschłą niezapominajką na sercu, i biegł zdyszany do tego domu, który teraz dla niego w całém mieście sam jeden był tylko. Gdyby go nie znał, byłby do niego trafił

tém jasnowidzeniem pierwszéj młodzieńczéj miłości, która zgaduje wszystko.

I na myśl mu nawet nie przyszło, że od ostatniego widzenia się z Adelą więcéj niż rok upłynął, że dziewczę wyrosło na panienkę, a zrzucając strój młodszy, mogło z nim i niezapominajkę odrzucić. On swoją tak wiernie i troskliwie piastował, tak codzień musiał się z nią zobaczyć, pomówić z nią! tak utrzymywał w niéj życie!

Gdy stanął u wskazanego progu, gdy dotknął klamki, gdy ujrzał ludzi znajomych, tak był pewien, że go pochwycą w objęcia, iż sam gotów był ściskąć wszystkich, począwszy od lokaja.

Długo bo uczyć się potrzeba serca ludzkiego, żeby uwierzyć, iż w niém uczucie błyskawicą przychodzi i gaśnie, a młodzi wierzą w stałość i opierają życie na najnietrwalszéj posadzie jaka jest pod słońcem.

Zdziwiło już trochę Stanisława, że mu nikt głową nie kiwnął, że dość zimno, a nawet kwaśno i z niegrzecznym poglądem na skromną odzież jego, drzwi pokoju pana Adama wskazano. Wbiegł jednak...

Pan Adam siedział w szlafroku, w szerokim fotelu, z gazetą w ręku, z fajką w ustach, i czytał. Podniósł głowę, przymrużył oczy, w początku nawet zdawał się nie poznawać Stanisława, a na żywe i wesołe przywitanie jego, odpowiedział niezmiernie grzeczném, ale nadzwyczaj zimném:

— A! pan Stanisław! jakże mi się masz? Siadaj, proszę... Jesteś tedy na naukach? Bardzom rad, że cię widzę...

Staś się stropił, i z tego tonu, do innego wcale będąc przygotowany, słowa z razu odpowiedzieć nie potrafił.

— Siadajże, powtórzył pan Adam, sam wracając do fotelu: zmężniałeś, wyrosłeś pan, choć zdaje mi się, że i schudłeś trochę...

— Nie dziw, pan wie com przebył...

— A! tak! rzekł zaambarasowany kuzynek spuszczając oczy: pisałeś o tém do mnie, przypominam sobie. Chciałem ci z serca służyć, ale ty znasz najlepiéj sędziego: jest to takiego charakteru człowiek, że skombinowawszy wszystko, obawiałem się, czyniąc krok jakiś, więcéj ci jeszcze zaszkodzić... nic więc nie mówiłem z nim o tém...

Staś aż zadrżał; znać było po zmienionéj twarzy, że się nie tego spodziewał, a pan Adam pomiarkować to musiał, bo zaraz dodał:

— Ale bądź pan spokojny... ojcowskie serce nie może długo wytrwać w takim gniewie... przyjedziesz, przeprosisz, i to się jakoś pokombinuje, załagodzi...

Pan Adam nie zdawał się nawet domyślać, że Stanisław opuszczony od rodziców, zostawiony sam sobie, z ostatniéj może mrzeć nędzy.

— Widziałem się z panem sędzią, dodał Szarski; ale z jego słów wyrozumiałem, że próżnobym się porywał go przekonywać. Powiedział mi tylko ponuro: „Miałem syna Stanisława, straciłem go.“

Staś zapłakał, ale kuzyn nie zważał na to.

— Jednakże mogę zaręczyć, że to tylko rzecz czasu... Przegniewa się, zatęskni i przebaczy.

I odwracając rozmowę dorzucił:

— Jakże idą nauki?

— Mozolnie, ale idą, odparł Staś po cichu.

— Słyszałem już coś tutaj. Słyszałem—przerwał pan Adam—mówiono mi o twoich poezyach, są nawet podobno drukowane... Źleś tylko zrobił, że się na

nich podpisałeś. Dla ludzi naszego urodzenia (przycisnął mowca na wyrazie) stosowniejszy jest pseudonim... Uchowaj Boże krytyk, które się bardzo trafić mogą, na co walać tak uczciwe imię, szargać je po gazetach, wystawiać na śmiechy!

Stanisławowi zdawało się, że nie dosłyszał.

— Ależ to imię jest moje, zawołał: a nigdy, zdaje mi się, nic takiego nie uczynię, obok czegobym imienia mego postawić nie mógł, bo się nie powstydzę czynności.

— Doskonałe to, śliczne *et très bien tourné!* dodał zimno kuzynek; ale zawsze to imię twoje i nasze, zważać na to potrzeba... a dla nas, przyznam ci się, być wystawionymi na literackie szermy wasze— rzecz i niestosowna, i niemiła. Imię Szarskich!

Gdy to mówili, weszła w rannym, ale nadzwyczaj świeżym i wykwintnym stroju pani Adamowa, a zobaczywszy akademika, którego przymrużonemi poznała oczyma, zagryzła kwaśno usteczka.

— A! to pan! jak się ma?

Chłód otaczający go, poczynał oddziaływać na studenta, który już skłonił się tylko w milczeniu.

— Poeta! poeta! śmiejąc się dodał pan Adam szydersko.

— A! słyszeliśmy! cicho wymówiła z ironią pani Adamowa. To tylko źle, że poeta dla jakichś tam poezyj tak sobie ojca naraził... Biedny pan sędzia!

— A ja pani? spytał urażony Stanisław.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że jeśli cierpisz, to sam temu winien jesteś.

— Jużeśmy tu o tém mówili, odezwał się pan Adam do żony. No! no! jakoś to się ułoży! Żywość młodzieńcza go uniosła!

— I jeszcze jedną mam panu zrobić wymówkę: dodała pani Adamowa nieco się rumieniąc: jakże to było można, wydając te poezye, nie wiem tam jakie, choćby najlepsze, kłaść na nich imię nasze?

— Zdaje mi się, żem mu krzywdy nie zrobił! zawołał obrażony Stanisław.

— Ale jednak pan mogłeś pojąć—wymówiła kuzynka—że to nam nie zrobi przyjemności. Zawsze pisanie książek jest coś nakształt rzemiosła... a ludzie naszego urodzenia nie piszą...

Nie było co odpowiedzieć na to. Zapomniawszy już o Adeli, o wszystkiém, Stanisław chwycił za czapkę, chciał zaraz żegnać i odejść, bo w nim krew wrzała,— gdy: „Ach!“ słyszeć się dało w progu, podniósł oczy i ujrzał... Adelę.

Tak, był to cień owéj młodéj Adelki wiejskiéj, którą znał dawniéj, która mu miłość i wiarę w prostocie ducha ślubowała; ale to już nie była owa Adelka, którą kochał. Kilkanaście miesięcy życia, pobyt w dwóch miastach stołecznych i poczynający się kręcić koło niéj wielbiciele, zmieniły ją do niepoznania. Piękność jéj zyskała na blasku, na rozkwicie, ale straciła na naturalności i wdzięku niewinnym. Była to panienka tylko co z pieszczonego wykluta dziecięcia, jedynaczka i dziedziczka milionów, a z oka jéj płynęło, że wie o tém.

Twarz jéj na widok Stanisława nie pokryła się nawet przelotnym rumieńcem; oko jéj ani na chwilę nie zaszło uczuciem, ani niepokojem; pierś żywszém tchnieniem się nie wzniosła. Tylko uśmieszek już do matczynego podobny, rozwinął jéj koralowe wargi, i po *ach!* dodała:

— Wszak to pan Stanisław!...

Spojrzał i on, chciał mówić—ale dość było na tę laleczkę rzucić okiem, by zgadnąć, że żadne głębsze, otwartsze uczucia mieszkać już w niéj nie mogą, że trochę młodego serca zgubiła gdzieś w drodze biedna, a na jego miejsce zebrała dość miłości własnéj i dumy.

Patrzała tak na niego, jakby mu wyraziście powiedzieć chciała: „Nie znamy się! nie znaliśmy się i znać nie powinniśmy! Nie zbliżaj się do mnie i bądźmy sobie obcy!"

Ażeby przenieść chłodno boleść tego spotkania, potrzeba było wielkiego męztwa, potężnéj siły nad sobą, i Stanisław dał ich dowód. Cierpienie bierzmowało go na rycerza; wytrwał ostatni policzek i nie zadrżał!

Adelka zakręciła się, przeglądając w lustrze.

— Gdzież pan bywa? co pan robi? spytała. A! słyszałam o poezyach! cha! cha! Jakież pan pisze wiersze? Bardzom doprawdy ciekawa...

— Nie śmiałbym ich pokazać pani, rzekł Stanisław smutnie: nie spodziewam się pobłażania, a potrzebuję go.

Adelka nic nie odpowiedziała, minkę tylko zrobiła niechętną.

— Bywa pan u hrabiów N..., u generała S..., u księcia B...?

— Nie, pani.

— U pani M...?

— Nie, pani; ja nigdzie nie bywam.

— Szkoda! takie miłe macie towarzystwo w Wilnie, tak tu się wesoło bawią...

Zamilkli.

— A gdzie pan mieszka?

— O! i daleko i ubogo! rzekł akademik z westchnieniem; ale mi i tam dobrze.

— Co za miłe przechadzki! jakie ładne nad Wilią bulwary! mówiła kręcąc się Adela, Papo! nie prawdaż? dziś z księciem... pojedziemy do Zakretu...

— Pojedziemy moje dziecko, jeśli zechcesz.

— Ale ty się nie ubierasz, dodała Szarska sama: a kareta na nas czeka... Mieliśmy być razem u hrabiny N....

— Natychmiast! miałem się właśnie ubierać.

— Ja nie przeszkadzam, zrywając się zawołał Stanisław. Najmocniéj przepraszam... może mimowoli opóźniłem.

— Ale nie! nie!... chociaż w istocie—ciszéj dodał Szarski—tyle w Wilnie mamy zajęcia! Do widzenia panie Stanisławie... Wolniejszym czasem możesz odwiedzić nas kiedy.

Skinieniem głowy wcale niezapraszającém pożegnała go kuzynka. Spojrzał raz jeszcze na Adelę, jakby o litość błagając; ale spotkał wzrok tak chłodny, dumny, obcy, wzrok, co tak wyraźnie zerwał z przeszłością, który mówił tak głośno, że go znać nie chce, iż nie wiedząc prawie co czyni, wybiegł jak szalony.

A o uszy jego obił się jeszcze śmieszek długi, szyderski, zimny, nielitościwy, szatański, który po za nim się rozlegając, dobił go do reszty.

Jak kula puścił się po schodach; przebiegł dziedziniec, w którym piękna karetka i ludzie w liberyi herbowéj czekali; poleciał, nie wiedząc dokąd idzie. Gniew, oburzenie, rozpacz, jakiéj jeszcze w życiu nie doznał, szarpały nim i rozrywały mu serce... Jak oszalały,

mówił do siebie, stawał, śmiał się, leciał znowu i zatrzymał się dopiero w tłumie, który mu zaparł drogę, bo się przezeń przecisnąć nie było można. Głos jakiś poważny odezwał się nad jego uchem:

— Człowiecze! opamiętaj się, odkryj głowę i uklęknićj.

Było to jakby rozkazem z nieba. Staś machinalnie zerwał czapkę z głowy, ugiął kolano, załamał ręce i począł się modlić,—a podniosłszy oczy, ujrzał w górze nad sobą cały jaśniejący obraz N. Panny Ostrobramskiéj.

Litościwy Anioł stróż przywiódł biednego aż tu na próg przybytku, jak spragnionego do źródła po kroplę pociechy. Potrzebowało jéj serce! Ale nierychło zaczęły drgać usta jękiem modlitwy—boleść tamowała mu mowę. W początku modlił się słowami tylko, myśl roztargniona była gdzieindziéj; nie mógł się oderwać od tego, co mu tak ciężki cios zadało.

Uchyliły się głowy, ucichł szmer, kapłan wzniósł hostyę, i razem z błogosławieństwem podniesionego na krzyżu Chrystusa, trochę spokoju spłynęło na biedne dziecię, rozpacz poczęła przechodzić w odrętwienie. Klęczał oparty o mur, oczy wlepiwszy w obraz,— i msza się skończyła, i lud się rozszedł, i rogatki pozdejmowano, i powozy krążyć zaczęły, a on jeszcze klęczał przed Najświętszą Panną. Nie wiem jakby tam długo tak pozostał, nie mając woli i siły począć coś z sobą, gdyby go silna dłoń nie chwyciła za ramię i nie wstrzęsła nim jak uśpionym.

— Na Boga! co ci jest Stanisławie? tyś chory!

Drugi to pewnie Anioł Stróż przyprowadził Szczerbę, który powracając od współucznia z za Ostréjbra-

my, zamiast pójść po za nią przez mniéj ludną część miasta, skierował się samym środkiem, choć dalszą drogą.

— Co ty tu robisz? co to jest? Msza się dawno skończyła!

I przelękły przyjaciel tulił go prawie do piersi, chcąc się słowa dopytać. Nareszcie wyrwało się westchnienie, a z niém narzekanie.

— Pawle! rzekł: dzisiejszy dzień mnie zabił! Czyż tacy wszyscy? czy na to Bóg im dał więcéj, ażeby mniéj czuli?... I ona! i ona!... a! to straszliwe!... Nie... to nie ona... to inna!

— Szalejesz, na Boga, mówże co się stało?

— O! nierychło potrafię! Prowadź mię do domu.

— Do domu! nie, chodź do mnie; nie chcę cię tak rzucać samego; wolę, byś poszedł ze mną. Daj mi rękę. Wyspowiadasz się, wypłaczemy i przebolejemy mój Stasiu... Byle razem!

— Tak, boś ty mi na całym świecie sam jeden pozostał, rzekł smutnie Szarski. A! ty mię nie zdradź i nie opuść przynajmniéj!

Poszli milczący... Stasiowi znowu się siły przebrało i ściął usta, a Szczerba nie chciał z niego gwałtem dobywać boleści, by mu serca nie rozkrwawiać.

Szczerba nie odstąpił przyjaciela, nie puścił go do domu, i pozostał z nim ciągle, słuchając jego użaleń, chociaż Stanisław więcéj milczeniem niż narzekaniem przechorowywał tę boleść.

Nazajutrz zaraz pomiarkowawszy się, pan Adam przysłał szukać kuzynka, zapraszając go do siebie; ale sam Stanisław tyle miał mocy nad sobą, że pod pozorem choroby, wstrzymał się od powtórzenia odwiedzin. Nieco uspokojony Szarski, powrócił do kamienicy Dawida Białostockiego, rozwiedziony z przeszłością, z rodziną, ze wszystkiém co mu było najdroższe, ale nie mogąc się pozbyć oblegających go wspomnień.

Tymczasem w literackiém jego życiu coraz się mnożyły wypadki, a wkrótce ukazująca się w piśmie peryodyczném, naówczas jedyném, recenzya Noworocznika, która wiele w Wilnie narobiła hałasu, była jedném z najważniejszych zdarzeń. Stanisław domyślił się łatwo autora po epigrafie: *Na bezrybiu i rak ryba*, który się professorowi Iglickiemu wyrwał z ust na wieczorze u państwa Ciemięgów, a tu został powtórzony nieostrożnie. Sprawozdanie to z nowéj książki pełne było dowcipu, złośliwe, szyderskie, czepiało się wszystkiego, czego uczepić się mogło, nawet okładek i litografii. Każdy tam coś znalazł dla siebie, i Szarskiego próby dość surowo osądzone zostały. Inaczéj być nie mogło. Talent, który zarazem w kilku objawiał się rodzajach, dawał wyborny pochop krytyce: tłómaczeniu z Goethego wyrzucano i wybór przedmiotu, i wykonanie, i że było tłómaczeniem; elegii, że była za płaczliwa, że mogła być naśladowaniem i t. p., i t. p. Sonety Bazylewicza szczególniéj zajadle wygwizdane zostały, a że autor recenzyi łatwo mógł po nich jeździć... pozwolił sobie do sytu i przesytu. Numer ten gazety przychodził z rąk do rąk przez dni kilka, i byłby może wielkie na Stasiu zrobił wrażenie, gdyby świeża boleść nie zdrętwiła go na wszystko.

Professor Hipolit, nazajutrz po wyjściu gazety, zjawił się z nią na poddaszu.

— A co? rzekł wesoło do Szarskiego: pobici jesteśmy na wszystkich punktach! Prozę i poezyę, piechotę i konnicę naszą spędzono z placu. Wydawcy i współpracownikom, wszystkim aż do niewinnych litografów się dostało. Przyszedłem cię pocieszyć młody żołnierzu, bo się lękam, żebyś po pierwszéj ranie ducha i odwagi nie stracił. Potrzeba się znać z krytyką—rzekł professor—a mniéj to boleć będzie. Gdyby ona była wyrazem przekonania, a pisała się w interesie sztuki, literatury, dążności jakiéjś, każde jéj słowo przyjęlibyśmy z uszanowaniem i w pokorze. Ale dość spojrzeć na źródło, z którego płynie, żeby się rozśmiać i ruszyć ramionami. Trzeba ci wiedzieć, żeśmy dosyć źle z professorem Iglickim, którego ja ani poję, ani mu się kłaniam... to pierwsze. Powtóre, jeden z księgarzy, spekulując na Noworocznik, chciał go nabyć u mnie za bezcen, a ja sprzedać za bibułę nie życzyłem sobie mojéj i cudzéj pracy. Iglicki jest z nim w przyjaźni, recenzya więc i jéj duch między nimi dwoma ułożone zostały. Wiem co ją zrodziło, i nie mogę mieć w niéj wiary: ukąsili i śmieją się. W istocie, jest-li co łatwiejszego, niż bez sumienia napisać najokrutniejszą recenzyę? Stawam w punkcie stosownym i dawaj mi *Iliadę* Homera, a z błotem ci ją zmieszać potrafię, i dowiodę, iż mniéj warta od epopei *Lubelskiego pożaru.* Iglicki jutro za kilka butelek wina lub kosz porteru, z inną literą lub pseudonimem, gotów ten sam Noworocznik wynosić pod niebiosa.

To mówiąc, professor rozśmiał się boleśnie, ruszając ramionami.

— Ale gdzież sumienie? zapytał Stanisław.

— W ogólności mało go jest na świecie, a najmniéj pomiędzy piszącymi. Najlżejsza okoliczność wywołuje ich gniew i zemstę: nie ukłoniłeś mu się na ulicy, nie posłałeś mu książki, jest przyjacielem twego nieprzyjaciela, wstał w złym humorze, świerzbią go palce, ma kilka gotowych par konceptów na sprzedaż, to dość, żeby zabijał i kaleczył. W całéj literaturze naszéj nie trafiło mi się jeszcze znaleźć człowieka, któryby tyle tylko miał sumienia, żeby pochwalić rzecz pochwały godną, gdy z jéj autorem jest na bakier. Krytyka zresztą w dziełach ludzkich jest najłatwiejszą z natury swojéj: utwór człowieka musi mieć strony słabe i niedoskonałe; wyszukać ich nietrudno, powiększyć i rozszerzyć, nauczy trochę wprawy. Jeśli myśl dobra, bijesz na wykonanie; jeśli wykonanie ma wdzięk, pomysł może być mniéj trafny; potém strona moralna przedmiotu, stanowisko autora w literaturze współczesnéj, jego dążności, charakter pism i t. p. dostarczają zarzutów bez końca. Święte to stare przysłowie, jeszcze z czasu dysput teologicznych: *Plus negare potest asinus, quam probare philosophus*; co grzeczniéj tłómaczyć możemy: łatwiéj napisać pięćdziesiąt krytyk, niż stworzyć jedno dziełko.

To mówiąc, wstał professor Hipolit, i począł Stanisława wyciągać z sobą na przechadzkę na bulwary, zwiędłą twarz jego przypisując zamkniętemu powietrzu, w którém zbytecznie się zasiedział.

— Chodźmy się przejść, rzekł wesoło; a krytycy niech z Bogiem odpoczywają...

Szarski dał się namówić. Wyszli długą ulicą ku zamkowi wiodącą, przez dawniéj Zamkową Bramę, posuwając się ku katedrze i bulwarom; a że dzień był

prześliczny, wmieszali się w tłumy różnobarwne, snujące się po nad brzegami Wilii. Gwar i ciżba ich otoczyła; ale Stanisław nie dawał się im rozerwać, poglądał obojętnie, słuchał jedném uchem wciąż żartującego professora, a pragnął co najrychléj uciec i skryć się w ciszy swojéj izdebki.

Drogą po nad bulwarami wciąż przesuwały się wytworne powozy idące ku Antokolowi, a Hipolit, który znał każdy pojazd i każdą twarz jak stary miasta mieszkaniec, pociesznemi kommentarzami, dowodzącemi jak łatwa także jest krytyka obyczajowa, przeprowadzał każdego. Wtém Staś pobladł, ujrzawszy pomalutku zbliżającą się, ściskiępm powozów wstrzymaną karetę, w któréj siedzieli pan Adam, jego żona, córka i jeszcze ktoś czwarty na przodzie. Czwartym był człowiek młody, bardzo przystojny, wystrojony, i jak poznać było łatwo, należący do wyższéj warstwy towarzystwa.

Siedział on naprzeciw Adeli, a piękne dziewczę z uśmiechem wiodło z nim żywą rozmowę, i tak sobą byli zajęci, tak zajęci, że nic prócz siebie nie widzieli, że świata dla nich nie było.

— A toż kto taki? zapytał professor. To coś być musi świeżo ze wsi przybyłego, bo ich nie znam, a blach herbowych trochę za suto na miasto.

Staś się zarumienił.

— Książę Jan siedzi na przedzie... A! jakaż to śliczna panienka! Doprawdy, warto się dowiedzieć kto to taki... to coś nowego w mieście. Jacyś ludzie bogaci i panna na wydaniu.

Wtém powóz przysunął się kołując do samego bulwaru, a że dla ścisku pośpieszyć nie mógł, jeszcze się naprzeciw nich nieco wstrzymał. Pan Adam i jego

żona ciekawém okiem rzucili w różnobarwny tłum pieszy; jedno z nich spotkało twarz kuzynka, i jejmość jak od węża szybko się w drugą stronę odwróciła, unikając jego ukłonu. Pan Adam zapatrzył się gdzieś daleko, Adela zajęta księciem ani się nawet obejrzała, i powóz po chwili uwolniony, poleciał daléj.

Zląkł się professor, obaczywszy Szarskiego bladym i nagle zmienionym, nie mogąc odgadnąć co mu się stało.

— Pozwól mi wrócić professorze, odezwał się młodzieniec tęsknym głosem. Czuję się jakoś niezdrów potrzebuję odpocząć.

Ścisnął rękę Hipolita, i wmieszawszy się w tłum, pośpieszył niepostrzeżony do domu.

Długo w noc chodził, chwytając się za piersi i głowę, sądząc, że go to odnowione uczucie boleści rozszarpie,—aż Anioł Stróż, ten sam, co wiódł kroki chłopięcia ku Ostréjbramie, natchnął go myślą pracy.

— Zabiję się pracą! rzekł w duchu. Jest to może jedyne samobójstwo, które Bóg cierpieniu przebaczyć powinien, bo w niém jest jakaś korzyść dla ludzi.

I szybko, po młodemu uchwycił myśl swoją, garnąc się do zapylonych tek i papierów, do najżmudniejszych poszukiwań, do najtrudniejszych studyów.

Ale mu nie szło. Myśl jak motyl odlatywała gdzieś, i łapać ją było potrzeba na widmach kwiatów siedzącą, gonić za nią coraz daléj a daléj w szerokie, zielone pola przeszłości... Ani skuć, ani spętać swobodnéj latawicy!

Po długiém wahaniu, po wielu nocach bezsennie strawionych na poprawkach i odczytywaniu, zasięgnąwszy rady przyjaciół, do któréj niestety! zastosować się nie było podobna, Stanisław z pierwszym rękopismem swoim, przepisanym na czysto, wziąwszy w pomoc Szczerbę, wyszedł szukać księgarza, coby go nabył.

Trzeba było dwóch tak młodych głów jak jego i przyjaciela, żeby nieznanemu zupełnie, bez pleców, bez przyjaciół, bez listów rekomendacyjnych, partyi i stosunków, tak po prostu wyjść z domu z papierem zagrezmolonym pod pachą, szukając nakładcy! Ale akademickie to czysto przysłowie: *Audaces fortuna juvat!*

Poszli spokojnie ulicą, jak gdyby szukali domu do najęcia, obaj z dobrą nadzieją i wcale nietrwożni; a Szczerba, który po przyjacielsku wierzył w Stanisława, dodawał mu otuchy.

Ab Jove principium, udali się najprzód pokłonić staremu Zawadzkiemu, którego księgarnia niegdyś uniwersytecka, pomimo współzawodnictwa drugiéj nowszéj, pierwsze w opinii wszystkich trzymała dotąd miejsce *). Ale zacny bibliopola nie bardzo chciał

---

*) Z powodu tego wspomnienia imienia znanego i powszechnie szacowanego Józefa Zawadzkiego, i fałszywych tłómaczeń jakieby ono spowodować mogło, autor czuje się obowiązanym zaprotestować wcześnie przeciw wszelkiéj intencyi szyderstwa lub niechęci, którąby nań wrzucić chciano. Imię zasłużonego typografa w piśmiennictwa naszego historyi, zajmuje miejsce znakomite, bo się do rozwoju literatury wszelkiemi siłami przyczyniał. Nie uwłacza mu bynajmniéj w przekonaniu naszém, że prac początkujących pisarzy, jak Szarski, przyjmować nie chciał, a raczéj nie mógł; miał bowiem ważniejsze zadania do spełnienia, i te wszystkiemi siłami rozwiązywał. Autor wystawił go takim, jakim był

spojrzeć na młode pisklę, które mu podawano, nie bez przyczyny może obawiając się wpuścić do księgarni jednego młokosa, bo za nimby drudzy hurmem się cisnęli. Oprócz tego było w charakterze zakładu, w jego zwyczajach, łożyć tylko na księgi uczone, poważne, powolnego, ale pewnego odbytu; a drukarnia wciąż była zajęta tłoczeniem dzieł, których wielka część wprawdzie poszła na makulaturę, lecz reszta jakożkolwiek się rozprzedała i korzyść przyniosła, większą literaturze i nauce niż wydawcy.

— Ale dajże mi waćpan pokój! rzekł starzec do Szczerby (bo Stanisław pozostał w ulicy z wielkiego strachu): to nie moja rzecz! Gdybym takie pisemka chciał drukować, papieruby mi wkrótce zabrakło! Może to być prześliczne, ale cóż mi z tego? Autor nie ma imienia, nie jest ani professorem, ani sławnym człowiekiem... Ruszaj z Bogiem do hazardowniejszych...

Ponieważ ówczesny księgarz Akademii był ostatnią brzytwą tonących, nie poszli do niego wprost dwaj młodzi pielgrzymi, ale po namyśle zwrócili się jeszcze szczęścia spróbować u Marcinowskiego, który wydawał *Kuryera Litewskiego*, *Dziennik Wileński*, a niekiedy ważył i na pomniejsze dziełka. Tu jednak do głowy domu przystąpić było trudno, a po długiém oczekiwaniu, gdy przypuszczono Szczerbę, pan Marcinowski śmiać mu się począł w oczy.

---

w chwili jednéj, w chwili danéj, nie kreślił żywota jego, nie mógł wspominać o zasługach; a czując, że ta jednostronność obrazka dać może powód zupełnie fałszywym wykładom, uroczyście oświadcza, że nie chciał bynajmniéj dotknąć zacnego naczelnika domu, który stał na czele księgarstwa krajowego.

— Alem ja nie księgarz, rzekł ruszając ramionami. Chcecie drukować własnym kosztem, dam wam bibuły za pieniądze, i każę wycisnąć tyle egzemplarzy ile się podoba... Żebym zaś miał rękopisma brać i jeszcze za nie płacić—a któż to co podobnego widział? kto to słyszał? Najznakomitsi pisarze i kollaboratorowie *Dziennika* robią jeszcze prezenciki redaktorowi, jeśli ich prace umieścić raczy i wydrukować... ale żeby mieli pretendować honoraryów—cha! cha! cha!

Pan Marcinowski mocno się począł śmiać, a Szczerba przepłoszony uciekł od niego. Nie było już sposobu, poszli oba, ale z coraz kwaśniejszą miną, do trzeciego nakładcy. Księgarnia jego mieściła się w gmachu uniwersyteckim na dole, w dosyć ciemnéj dziurze, w któréj zastali bibliopolę pracującego za kantorkiem... Powitał ich dosyć grzecznie.

— A! rękopism, rzekł, i rzucił nań okiem roztargnioném. Panowie chcą drukować?

— Tak jest, panie!

— Bardzo dobrze. Naprzód potrzeba go przedstawić do komitetu canzury, potém ułożymy się o koszta druku.

— Ale mybyśmy chcieli oddać ten rękopism panu.

— Jak to? na mój koszt?

— Tak jest.

— To niepodobna, rzekł zwracając papiery nakładca: prassy są zajęte... niezmiernie zajęte... massy ksiąg naukowych z nich wychodzą... Zresztą literatura piękna nie idzie....

Odwrócił się i począł pisać.

Ukłonili się i wyszli.

Stanąwszy na ulicy, spojrzeli na siebie, i Stanisław

nie mówiąc słowa, schował dziecię swe za mundur, nie myśląc już więcéj szczęścia próbować.

— Ale poczekaj-no, to nie koniec jeszcze; wstrzymał go Szczerba. Wiemy w Wilnie o dwóch znakomitych nakładcach... a Manes i Zymel?

Zymel drukował wówczas wszystko, co tylko mu się nawinęło, począwszy od senników i kalendarzy, do, Rolwesów i nauki o owocach, a rozprzedawał bibułę swoją pudami Żydkom, którzy wózkami po Litwie i Żmujdzi rozwozili i senniki jego, i kalendarze, i powieści tłómaczone z francuzkiego, z niemieckiego z rossyjskiego, zbiory wierszydeł, historyę Syndbada, Magiellonę, książki nabożne na wpół z romansami Lafontain'a i Kotzebuego, które składały zbiór popularnych edycyj, rozchodzących się za bezcen, ale w ogromnéj liczbie egzemplarzy. Wydawał na szaréj bibule, drukował ćwieczkami i szuwaksem, ale zarabiał na tém ogromnie. Sam nie znał się wcale na niczém, zecerów miał Żydków, korrektora Żyda; ale że towar jego był niezmiernie nizkiéj ceny, a konsumpcya z każdym dniem rosła, odbyt nie ustawał, a nawet się powiększał.

Do Zymela, wydawcy kalendarzy, nie tak się było łatwo dostać; bo drukarnia jego i składy, które zarazem polską i hebrajską literaturę w sobie zawierały, położone były wśród brudnych ulic izraelskich, a sam głowa domu, ulokowany na piętrze od tyłu, zajmował zaciszny kątek, do którego przez mnóztwo izdebek, rąk żydowskich i zapytań ciekawych, szturmować było potrzeba. Wszędzie kręciła się czynna ludność drukarni, która przed zaprowadzeniem sznellprassy, nadstarczała pośpiechem temperamentu za powolność narzędzi.

Zwijali się Żydki różnego wzrostu i kalibru, począwszy od odartego tragarza, do wymuskanego eleganta z piórem za uchem, udającego buchhaltera... ci z ogromnemi balami papieru, inni z pakami książek, z korrektą, z fakturami... Wózki wędrownych przekupniów naładowywały się w dziedzińcu, zajeżdżały i odjeżdżały, i anibyś ich mógł posądzić z powierzchowności, że wiozły oświatę w głąb Litwy i Polesia, na Żmujdź i Białoruś. Tu otwierano składy, tam rozwieszano mokry papier, owdzie zszywano druki, oprawiano je, wiązano.

Sam Zymel, niemłody Żyd, morejne, bo wysoko cenił głowę, która tym ogromnym zawiadując domem, umiała bibułę lichą przerabiać na pieniądz, poplamiwszy ją atramentem — siedział w ustronnéj izbie nad wielką księgą rachunkową, w któréj tajemnicach zatopiony był głęboko. Ubrany po żydowsku, z czapką na uszy wsuniętą, w szerokiém spoczywając krześle, rozmyślał podobno nad tém: czy do kalendarza dodać anegdoty, które o szeląg czyniły droższym każdy egzemplarz, ale wedle rady wielu miały i pokup powiększyć... lub zostawić go bez anegdot. Wahał się, wahał i już przechylał ku odrzuceniu, pomyślawszy, że i bez anegdot, które piętnasty raz światło dzienne ujrzeć miały, wyśmienicie się ta edycya obejdzie... gdy Stanisław i Szczerba weszli do jego pracowni.

Stary Żyd podniósł głowę, widocznie usiłując za wczasu zgadnąć, z czém do niego przybywają, aby być panem położenia. Zymel bowiem był polityk wielki, i mógł się pochwalić, że mało go kto podszedł w życiu, chociaż węchem więcéj robił niż umiejętnością i rozumem.

Skrzywił się trochę, żeby okazać, jak mało ceni

gości, i podrożyć się z sobą, bo wyrachował, że kiedy przyszli do niego, to go potrzebować muszą.

— Kłaniam! rzekł odpowiadając na przywitanie, i wstał powoli, obie ręce po bokach za pas założywszy, postępując do środka pokoju. A co panowie sobie życzą?

Szczerba wyjął rękopism.

— Rękopisma! machnął Żyd ręką: aj waj! na co mnie tego? na co mnie tego?

Potém pomyślawszy nieco, zapytał:

— Czy jégomość już co drukował?

— Drukował, przerwał Szczerba.

— Drukował! powtórzył Żyd kiwając głową: nu! a co to za rękopisma?

— Poezye!

— Kiepski interes! kiepski interes!... Pan nie ma jaki romans tłómaczony?... Tłómaczenie to dobra rzecz... może Waltra-Skota?

— Ale poezye...

— Nie... nie... poezye... nie... to nie chodzi! mam ja w magazynie dosyć. Niech pan mnie da co prozą, pogadamy...

— Ale panbyś to mógł nabyć tanio, rzekł Szczerba... a poezye piękne... Kto wie jaka przyszłość czeka autora? może to, czém dziś gardzicie, jutro się na wagę złota sprzedawać będzie?

— Na co ja mam grać na loteryę, kiedy mogę stawić na pewno i wyrachować co wygram? rzekł Żyd, trzęsąc głową. Nie! nie! Ot dobra robota... to kalendarz, a Morfeusz wyjawiacz snów... A! gdyby to kto nowy Sennik napisał! Pan nie zrobi jakiego Morfeusza? Jabym pięknie, bardzo pięknie zapłacił.

Stanisław widząc, że tu nie ma co robić, zawrócił się i pociągnął Szczerbę za sobą.

— To darmo — rzekł — nie traćmy czasu.

Żyd pozostał nieruchomy, popatrzał na odchodzących, plunął, kiwnął się i powrócił do swéj księgi rachunkowéj.

Smutni wracali z téj pielgrzymki nasi przyjaciele, kiedy ich naprzeciw Św. Jana, w niedalekim zaułku, uderzył napis: „Drukarnia Dworca.“

— A ot! może jeszcze wydawca! Przypominam sobie, żem widział podpis jego na nakładach, trochę nawet porządniejszych od Zymelowskich, rzekł Szczerba. Nie żałujmy nóg, wejdźmy i spróbujmy szczęścia.

Wdrapali się więc po brudnych schodkach i [illegible] ryjkach do wnętrza kamienicy, całej woniejącéj [illegible] kiem, papierem i książkami. Mniéj tu było ruchu, [illegible] u sławnego Zymela i Manesa Romma, wózków [illegible] garskich nie postrzegli, ale drukarnia była [illegible] Zapytali o Dworca — nikt im odpowiedzieć [illegible] Występowali naprzeciw nim Żydzi różnego [illegible] wieku, miny, ubioru, każdy niby jako ów [illegible] znać było, że go tylko zastępowali; sam [illegible] siębierca zdawał się niepochwyconym [illegible]

Trzech młodych [illegible] porwało [illegible] go przerzucać, cz[illegible] ować głowami [illegible] bie, udaj[illegible] że si[illegible] poznać [illegible] mrucz[illegible] zwr[illegible] zczerbie.

— [illegible]

— [illegible]

śm[illegible] ać.

Ż[illegible] w[illegible]

[illegible] n[illegible] S[illegible]

gło[illegible]

z nim dzieje... Machinalnie przywlókł się ze Szczerbą, ale już nie wierzył, żeby go ta żebranina do czego doprowadzić mogła.

— Sprzedać! rzekł jeden: nu! a co za to można dać?

— Jak myślicie?

— A najprzód do cenzury.

— No, a potém?

— Jeżeli rękopism będzie podpisany...

— Cóż dać możecie?

Żydzi zaczęli się naradzać bardzo żywo, zwłaszcza gdy Szczerba im oznajmił, że autor był już drukowany... Oba ruszyli ramionami, ale trącili się łokciami.

— Nu! co pan chce? co pan chce?... zapytali.

— Cóż... najmniéj... sto dukatów! zawołał przyjaciel. To poezye! i jakie poezye!

Na te słowa Żydzi jakby osłupieli, a starszy z nich począł się śmiać, że za boki się schwyciwszy latał po drukarni, a ledwie na chwilę uśmierzył śmiech, to znów zaczynał chychotać i zachodzić się w najlepsze.

— Chodźmy! chodźmy! zawołał z boleścią Stanisław.

— Czekaj! rzekł Szczerba. Ile dacie?

— Co mamy dać! — odparł starszy — jak można tak cenić!

— W targu gniewu nie ma.

— Ależ pan złoto sprzedaje, czy co?

— Czyste złoto!

— A gdyby to było i złoto! ruszając ramionami odparł Żyd.

— No, powiedzcie proszę, cóż dać możecie?

— Co? co? najwięcéj! najwięcéj... tu nie będzie i pięć arkuszy druku... dziesięć rubli.

Z kolei Szczerba oniemiał i uśmiechnął się boleśnie.

— Chodźmy! rzekł, ciągnąc Szarskiego.

Staś się zatrzymał.

— Oddam — rzekł — za dziesięć rubli, byle było drukowane porządnie, czysto, i dacie mi dwadzieścia egzemplarzy.

— Na miłość Boga! co robisz!... przerwał przyjaciel.

— Pozwól mi, wiem co robię.

Wtém Żydzi się znów zawahali, gdyż nagły spadek ceny i łatwość, z jaką kończono, zastraszyły ich. Poczęli się przechadzać po izbie i szwargotać.

— Niech pan pozwoli rękopism do jutra.

— I na to zgoda! zawołał Szarski.

Wzięli więc rękopism i znikli z nim w głębi drukarni, a akademicy, dosyć smutni, powarzeni i zmęczeni, pośpieszyli do domu.

Nigdy żaden stosunek ludzi z ludźmi, trwalszy, codzienny, przechodzący w przywyknienie, stający się obyczajem i nałogiem, nie może być w ich życiu obojętnym. Jak dwa czynniki chemiczne zbliżone do siebie, koniecznie wzajem modyfikować się muszą, tak dusze ludzkie nie mogą pozostać przeciw sobie bezczynne. Jest-li co wrażliwszego nad człowieka?

W tym stosunku, słabsza istota ulega silniejszéj, farbuje się jéj barwą, ale i w jéj słabości są strony n[illegible]pożyte, są tajemnicze cząstki, które oddziaływają n[illegible]jupartszą naturę. Nie ma więc dłuższego zbliż[illegible] się ludzi do siebie, któreby pozostało bez skutk[illegible] przyszłość, i nie wypiętnowało się na nich wy-

raziście. Śmiejmy się z tego, kto sądzi, że tak jest mocen w sobie, iż go nic pożyć, zmienić i wyszczerbić nie potrafi... Wszystko jest zaraźliwe: mądrość, głupstwo, słabość, siła, odwaga, męztwo i miłość. Wszyscy działamy i wszyscy oddziaływamy nawzajem, a w tém krzyżowaniu się strumieni woli, siła Opatrzności rozrządza każdym prądem, chwilą i czynem mimowolnym. Nie dziwujmy się, gdy ktoś z bojaźnią pogląda na zbliżanie się istoty skalanéj do czystéj, chociażby ust nie mogła otworzyć, ani się rozpościerać z zepsuciem: we wzroku, w głosie, w ruchu są jakieś niepojęte objawienia złego—a kto je nosi w sobie, ten niém tchnąć musi. Każda namiętność przebija skorupę człowieka i na wierzch wyrasta; każda myśl skryta i najskrytsza błyska w oku; każde uczucie się przebija przez usta milczące. Moralista, którzyby miał cierpliwość rachuby i obserwacyi potrzebną, ściśle wziąwszy, z dwóch danych charakterów i położeń mógłby wskazać z góry konieczną kombinacyi wynikłość.

W starości ta siła zmniejsza się, bo człowiek jak żółw zamyka się pod stwardniałym puklerzem swojéj przeszłości; tu już dłuższego potrzeba czasu na przyjęcie i sprawienie wpływu. Ale w dzieciństwie i młodości modyfikacye idą niezmiernie szybko i cudownie, tak, że niekiedy po latach zetknięcia, najsprzeczniejsze charaktery i fizyognomie wzajemnie coś od siebie zapożyczają. Fizyologowie uważali to dawno, że po długich latach małżeńskiego pożycia przekształcają się nawet twarze, dochodząc do jednego typu; jam nieraz się przekonał, że w dzieciach obcowanie z piastunkami tenże sam skutek wywiera.

Wybór więc towarzyszów i towarzystwa w młodości

jest niezmiernéj wagi. Zepsucie, poprawa, przekształcenie przychodzą nieznacznie, ale nieuchronnie.

Stanisław, w codzienném choć krótkiém obcowaniu z młodą Izraelitką, musiał wpłynąć potężnie na rozwinięcie tego umysłu chciwego nauki, oświecenia, pełnego ciekawości nienasyconéj i otwartego wrażeniom. Każde jego słowo, chwytane, rozwijane, było tematem dla dziewczęcia, pragnącego pojąć mistrza i podlatującego duchem ku niemu. Ale nie na tém ograniczał się wpływ poety, mimowolnie oddychającego poezyą przy najsuchszéj pracy. Jest to w naturze człowieka, że ku wyższemu i doskonalszemu się wspina, że się w niém musi rozmiłować nareszcie—i Sara, dla któréj Stanisław był ideałem, pokochała go najzapamiętalszą młodą namiętnością. Wiedziała ona dobrze, że tysiące zapór nieprzebytych, niezwyciężonych dzielą ją od niego; czuła, że Szarski litością chyba wypłacić się jéj może: ale nie była panią uczucia i kochać musiała. Ten człowiek był tak dalece wyższy od wszystkich, których spotykała, tak się jéj wydawał wielkim i pięknym, że dusza jéj, jak księżyc za planetą pociągnięty, musiała biedz za swym panem. Nic jednak nie wydawało tego uczucia, chyba wejrzenie długie, powłóczyste, pełne spokojnego, głębokiego jakiegoś ognia, na które Stanisław nie zwracał uwagi. Nieraz on zapatrzywszy się w śliczną twarz Izraelitki, zadumał się nad przeznaczeniem i zabolał nad jéj losem; ale prócz uroczéj piękności twarzy, nic go jeszcze nie pociągało ku niéj. Sara wstydziła się mówić, dla myśli, które wyrzec mogła, i dla języka, którego wdzięk pojmując, obawiała się go skaleczyć. Oczy więc tylko i gra rysów twarzy mówiły cicho Szarskiemu to, czego on ani się domyślać, ani zrozumieć nie mógł.

W kobietach, dla których życie gwarne, jedno wrażenie nieustannie drugiém zaciera, miłość nawet nie może być tém, czém jest dla osamotnionych; kwiat to, który potrzebuje ciszy i ustroni, ażeby się w całym swym przepychu rozwinął. Na świecie, który pojął życie jako nieprzerwaną wrzawę i ocieranie się o tłumy, rzadko lub nigdy nie trafiają się gwałtowne namiętności, a całkiem nieznana jest stałość; każdy pączek nie mając czasu rozkwitnąć, opada wichrem starty. Ale w długiéj ciszy i spokoju, w ustroniu z myślą i sercem zostawiony człowiek, egzaltuje się łatwo, i wszystko czém żyje, do niezwykłéj podnosi potęgi. Ludzie, których spotyka, większe na nim czynią wrażenie; uczucie, którego doznaje, głębiéj mu w serce wsiąka; myśl dzielniéj się w nim rozsnuwa. Święci, prorocy, asceci, musieli żyć w eremach, na pustyniach, w klasztorach, bo świat nie dałby im podnieść się do wysokości, jakiéj doścignęli z Bogiem tylko pozostawszy i z sobą. I miłość ludzka, ziemska, na tychże się niezmiennych prawach rozwija; i ona potrzebuje do wzrostu zamknięcia, odosobnienia, eremu zbudowanego dla siebie z ciszy i rozmyślania. Pojąć więc łatwo, jak Sara zupełnie sama, w téj ciemnéj kamienicy ojcowskiéj, w téj pustce wśród wrzawy miasta, z młodością uczucia i ognistém sercem zamknięta, rozmarzyć się musiała, całe dni, noce całe marząc tylko i kochając.

Drżała, gdy wchodził Stanisław, czuła krok jego wśród ulicznéj wrzawy, tętniał dla niéj po całym domu, zdawała się przeczuwać przyjście jego, a gdy główkę swą czarnym uwieńczoną warkoczem zbliżała do szyby okna, pewna była, że go przechodzącego zobaczy, tak ją już uczucie związało z każdym krokiem

ulubieńca. Ale w Stanisławie zimną tylko spotykała obojętność, łagodną, uprzejmą, sympatyczną, ale tak chłodną, tak chłodną! że się zdawało, jakby już nigdy serce jego dla niéj poruszyć się nie mogło. Trochę ją uważał za dziecię, a bardzo, bardzo jeszcze pamiętał, że była Żydówką!

Od owego prześladowania Abramowego, starzec nie ukazał się już więcéj, a kupiec i kupcowa byli podwójnie grzeczni dla Stanisława. Umieli oni przecię ocenić młodego człowieka nietylko z owoców nauki, bardzo zresztą widocznych, bo pojętna Sara niezmiernie korzystała z jego lekcyj, ale z obejścia, skromności i szlachetnego charakteru. W początkach byli niemal pogardliwi i dumni; powoli zaczęli go szanować i uważać na niego. Inaczéj być nie mogło: bo dzieciom Izraela, wygnańcom rozproszonym po świecie, Bóg dał osobliwszą znajomość ludzi, o których się nieustannie w swéj pielgrzymce ocierają; a Dawid, jako handlarz ruchliwy, ciągle mając do czynienia z coraz nowemi postaciami, niepospolitym był obserwatorem charakterów. Poznał więc zaraz i ocenił wyższość Stanisława, szlachetność jego, i mimowolnie jakoś przed tym, któremu płacił, którego najlepiéj znał nędzę, skłonił głowę. Natury wyższe, ludzie wybrani, każą się szanować i przymuszają nawet niechętnych do uznania swojéj wyższości.

Położenie Szarskiego w tym domu zmieniło się więc powoli, może trochę wpływem Sary, która się nie taiła z uwielbieniem dla nauczyciela, a więcéj koniecznym trybem rzeczy ludzkich. Coraz mu tu lepiéj jakoś, coraz było swobodniéj; a kupiec nawet pomimo skąpstwa, które go za kieszeń trzymało, warunki umowy zmieniał na coraz korzystniejsze w obawie, by

nauczyciela nie stracił. Przydał się nawet Dawid i w literackim względzie Szarskiemu, bo drukarze, którzy wzięli rękopism jego do przejrzenia, dowiedziawszy się gdzie mieszka, pobiegli rozpytywać gospodarza o lokatora. Kupiec dał o nim, jako o preceptorze swéj córki, najpochlebniejsze świadectwo; a z kolei wybadawszy ich dla czego przyszli się dopytywać, gdy się dowiedział o rękopiśmie, mocno im zaczął doradzać jego nabycie. Wieczorem Dawid powiedział o tém przed żoną i Sarą; a nazajutrz przy lekcyi, piękna Żydóweczka nie mogła wytrzymać, żeby nie spytała Stasia, czy prawdą było co o nim słyszała?

Zdziwił się w początku, zkąd o tém wiedzieć mogła, ale śmiejąc się przyznał do grzechu ochotnie.

Sara bardzo nieśmiało spytała go potém, czyby jéj nie mógł dać książek polskich? czyby nie doradził jéj co ma czytać? Szarski zdziwiony jeszcze bardziéj żądaniem, spojrzał w jéj czarne oczy nieruchomie spoczywające na nim, a tak błagać się go zdające, że odmówić im było niepodobna. Przyrzekł więc nietylko książki, ale pomoc w czytaniu.

Sara zapłoniła się z radości, uśmiechnęła, ale nie śmiała mu podziękować, tylko wzrokiem, który po raz pierwszy może zaniepokoił młodego człowieka, bo ten uczuł jego władzę.

— Dziecko jestem—rzekł do siebie siadłszy w swojéj izdebce i nie mogąc się pozbyć tego wzroku goniącego za nim wszędzie... Dla czegoż czarne jéj oczy tak we mnie dziwnie utkwiły? Jestże to dusza, coby mnie zrozumieć mogła? jest-li to serce, coby potrafiło ukochać! I to kobieta! i to dziewczę, co w życiu sto razy musi zdradzić, ani razu wytrwać nie mogąc! O dziwne, dziwne też ze mnie dziecko! Tak łatwo lgnę

i przyrastam do wszystkich... Kto wie, możebym już, gdyby się przyszło rozstać z tém brudném domowstwem, z tą żydowską rodziną, uczuł żal po niém i po Sarze!

Roześmiał się sam z siebie; ale napróżno przypominał Adelę, odbiegał myślą, prół do głębi przeszłość... wzrok Sary cichy, głęboki, wymowny, tkwił w nim, przypominając poezyę starożytnych, porównywających wejrzenie kobiety do pocisku. Ale nie wierzył jeszcze, przypuścić nie mógł, ażeby to, co czuł, mogło być ziarnkiem, z którego wyrośnie uczucie. Tłómaczył to sobie wrażliwością chorobliwą poety, przypadkiem, dziwactwem.

I siadł pod wpływem rozdrażnienia, z którego sobie nie zdawał rachunku, wyśpiewać jedną z tych pieśni tęsknych, jakich już tyle wylał na papier, mimowolnie mieszcząc w niéj czarne oczy, wejrzenie, tęsknicę, milczącą i zagadkową postać Izraelitki, która mu się snuła przed oczyma.

Usnął, rzucając pióro zadumany głęboko... a zamrużywszy powieki, ujrzał się w ogrodzie w Mruczyńcach, i szedł z Adelą głęboko w cienisty ogród... Ale o dziwo! ile razy obejrzał się na nią, znajdował w jéj sukienkach uśmiechającą mu się Sarę. Napróżno czując sen we śnie, silił się gniewny odpędzić marę natrętną, przywołać całkowity obraz przeszłości... w miejscu Adeli stawała ciągle u boku jego piękna Izraelitka, topiąc w nim czarne swe ogniste oczy.

Życie Stanisława szło tym trybem jednostajnym, którym posuwają się igiełki zegara, na pozór nieruchome,

w istocie wciąż nieprzerwanemi i niedojrzanemi krokami idące daléj a daléj. Poezye jego sprzedane za wielką ową summę, o któréj wspomnieliśmy, poczynały się nareszcie drukować, w znakomitéj oficynie współzawodników Manesa Romma, u mitycznego Dworca. Codziennie przychodziła na strych Dawidowéj kamienicy korrekta najdziwaczniéj przekształcająca myśli i słowa poety, którą niecierpliwiąc się, musiał Stanisław brać niepierwsze już lekcye wytrwania, nie mogąc podołać omyłek tysiącom, które jedne z drugich rodziły się bez ustanku.

Rosła też powoli maluczka sława pisarza w kole jeszcze ciasném, od towarzyszów jego rozchodząc się daléj po mieście i już nawet poczynając ludziom zawadzać. Najprzód poezye drukowane w Noworoczniku, teraz mające wyjść osobno w większym zbiorku, już go znajomym czyniły; zbliżano się do niego ciekawie, patrzano mu w oczy z owém zdumieniem, z jakiém przyglądają się dziwnemu zwierzątku lub fenomenalnie monstrualnéj roślinie.

Nieraz pod takiém wejrzeniem rumienił się młody człowiek i cierpiał, czując w niém więcéj ciekawości, zdziwienia, niż współczucia. Po większéj części spotykano go szyderskim pół-uśmiechem, jak kogoś naprzykład, coby cierpiał lekkie pomieszanie lub chorował na jakie dziwactwo. Nikt nie oceniał téj odwagi, z jaką się rzucał na drogę pełną cierni, za całą nagrodę przedstawiającą w końcu trochę rozgłosu dla imienia, wiele ofiar nieustannych i obojętność powszechną i lekceważenie zasługi. Każdy, jak na ból zębów lekarstwo, miał jakąś radę w kieszeni dla przyszłego literata: ten gotowy temat do poematu, ów ideę do powieści, trzeci plan potężnego dzieła, które

samo tylko było potrzebne i jedno wsławić go mogło... tamten wskazywał coś koniecznie do naśladowania, drugi zastrzegał czego powinien unikać, a każdemu się zdawało, że on tylko na prawą drogę naprowadzić potrafi.

Jednego poranku Szczerba zdyszany wpadł do stancyjki przyjaciela, i kazał mu się co najrychléj ubierać; miał twarz rozpromienioną, zacierał dłonie.

— Ale czegoż chcesz odemnie Pawle? zapytał zrywając się niespokojny Stanisław.

— Przynoszę ci wielce zagadkowe, ale mogące być korzystném żądanie księcia Jana...

Szarski się mocno zarumienił, przypomniawszy to imię, które mu rzucił Hipolit, na widok młodego mężczyzny siedzącego w powozie z Adelą.

— Czegoż on chce odemnie? rzekł Stanisław dość niechętnie.

— Ot... nie wiem doprawdy... odparł Szczerba po namyśle. Wczoraj tylko przysyłał kogoś, sądząc, że jeszcze stoisz z nami, i żąda się widzieć z tobą... Naznaczył ci godzinę ranną, ubieraj się więc i idź do niego.

Szarski głęboko namyślać się począł, ale w końcu postanowił pójść, i dowiedziawszy się o mieszkaniu księcia Jana, posunął się śpiesznie ulicą Zamkową, pożegnawszy u bramy poczciwego Pawła, który już roił sobie, że to spotkanie jakieś szczęśliwe skutki dla młodego Szarskiego pociągnąć za sobą może.

Książę Jan mieszkał w ładnéj kamieniczce, którą sam całą zajmował; należał bowiem do kwiatu arys[illegible]vi i najlepszego towarzystwa i żył stosownie d[illegible]cznego swego stanowiska. Sierota, wychowany [illegible]ekunów, ale ze staraniem największém, bo

i w kraju mu nie szczędzono nauczycieli, i za granicę wyprawiono po dokończeniu domowego wychowania,— nie był on ani gorszy, ani lepszy od sobie równych. Serce nawet miał dość dobre, chęci dość poczciwe, ale głowę niewielką; a że wzrósł wśród świata, który jeśli nie zabije talentu, to z trudnością mierne zdolności rozwinąć może, stał się podobny do tysiąca swoich rówienników, na jedną uprzywilejowaną formę odlanych. Wielki zwolennik konwenansów i prawideł życia towarzyskiego, skrupulatny zachowywacz wszelkiéj przyjętéj formy, urządził sobie życie wedle wzoru pospolitego i wiódł je trybem wszystkich bogatych, nie pragnąc nic więcéj, nie czując żadnéj potrzeby, żadnego w niém braku i próżni. Gwałtownych namiętności nie miał, lubił się bawić, śmiać, próżnować, stroić, umizgać, dobrze jeść, czasem sobie trochę podchmielić, zagrać w karty, a nadewszystko niczém się nie kłopotać i nie pracować!

Domek jego mógł służyć za wzór dobrego smaku i elegancyi, tak jak ekwipaż i ubranie, które zawsze najświeższą było modą i najpokaźniejsze w mieście. Żył po kawalersku, ale wieczorki jego, herbatki, wist, kolacyjki niezmiernie bywały tłumne. Zresztą, jak się domyślić można z tych kilku słów charakterystyki, książę Jan niczém się szczególniéj nie odznaczał, owszem zdawał ubiegać się o to, żeby utonąć i zniknąć w eleganckim tłumie, a oczu na siebie nie zwracać.

Ciężko było Szarskiemu przechodzić przez ręce, wzroki i szepty przedpokojów, których służba daleko bardziéj pańską miała minę od niego... a chwila oczekiwania w antykamerze, w saloniku, zdała mu się całym wiekiem. Nareszcie lokaj drzwi otworzył, i Stanisław wpuszczony został do pokoików lśniących naj-

wytworniejszemi sprzęty. Musiał je przejść wszystkie aż do sypialni księcia, w któréj go zastał w szlafroku jeszcze, w złocistéj jakiéjś wschodniéj czapeczce, z cygarem w ustach i francuzką jakąś książką, otoczonego mnóztwem piesków, cacek, fraszek, fotelików, kozetek, elegancyj, wśród których biedny student ledwie obrócić się umiał. Książę grzecznie wcale powstał na jego przyjęcie, przysunął mu fotel, ale zdawał się nieco zakłopotany, od czego ma zacząć rozmowę.

— Przepraszam — rzekł nareszcie — żem pana dobrodzieja trudził. Potrzebowałem uprosić kogoś o pracę pół-literacką, na wpół-historyczną; a że mi bardzo wiele o panu mówiono dobrego, a imię jego mnie uderzyło, bo mi nie jest obce... ośmieliłem się wezwać go...

Stanisław się skłonił.

— Prawdziwie, nie wiem jak mam się panu wytłómaczyć z tego, czegobym po nim żądał... Chciałbym mieć historyę familii mojéj — dodał ciszéj.

Szarski cały zarumieniony, podniósł oczy.

— Rodzina ta — mówił coraz żywiéj, ale tonem bardzo łagodnym książę Jan — jak się o tém z kronik, herbarzy i familijnych archiwów przekonać można, zajmowała dosyć ważne w dziejach krajowych stanowisko... mieliśmy wielu znakomitych ludzi. Czybyś pan się nie podjął mi napisać krótkiego rysu historyczno-genealogicznego... a stratę czasu, jakąby to spowodować mogło dla niego, starałbym się o ile możności mojéj wynagrodzić.

— Mości książę—odparł po chwili namysłu ośmielając się Stanisław—dotąd nie byłem nigdy najemnikiem piszącym za pieniądze co kto rozkaże, i nie pojmuję, żeby tak pióro swoje sprzedawać było można. Jestem

ubogi, nie taję się, że uczę za lichą zapłatę, ale co innego zdaje mi się jest sprzedać godzinę swego czasu, a co innego pióro najmować.

Książę niezmiernie się zmieszał.

— Co większa —kończył Szarski — przedsięwzięcie tego rodzaju jedną jeszcze dla mnie nieprzełamaną przedstawia trudność. Podjąwszy się tego historycznego rysu dla familii, musiałbym go uczynić panegirykiem, wyrzec się prawdy i przekonania mojego, myśląc tylko jak w najpowabniejszém świetle wystawić przeszłość, która nie zawsze może była piękna i godna pochwały, choć wyjątkowo bohaterską być mogła.

Odpowiedź ta może była zbyt ostra, to też książę Jan uczuł się nią żywo dotkniętym, i mimo nałogowéj łagodności swojéj, zarumieniony cały, zaciął usta, okazując się widocznie obrażonym.

— Przepraszam pana — rzekł — nie zdało mi się to ani dziwném, ani uwłaczającém dla niego... Łatwo pojąć, że ja przeszłość rodziny mojéj widzę właśnie w tém świetle, w którém, jak pan powiadasz, malowaćbyś ją musiał, dla mnie się ona inną wydawać nie może. Zresztą napisać historyę rodziny można i bez panegiryku; ale widzę, żebyśmy się o to porozumieć nie potrafili.

Wstał z krzesła, Szarski pośpiesznie opuścił miejsce swoje, i tak się rozstali szybko; ale książę pożegnał niespokojny akademika, bojąc się, by ta próba spełzła na niczém, rozgłoszona, nie naraziła go na śmieszność. Stanisław jednak słowa o tém nie rzekł nikomu, czując się obowiązanym do milczenia, jak się czuł w konieczności nieprzyjęcia propozycyi, któréj podjąć się nie dawało sumienie.

W parę dni potém koło Kardynalii spotyka Bazy-

lewicza, który leci z ogromną furą ksiąg pod pachą, niezmiernie niby zajęty i roztargniony wedle zwyczaju, z głową zadartą, ustami wydętemi, oczyma do góry. Raczył jakoś zobaczyć Szarskiego i zatrzymać się, mimo pośpiechu, z jakim leciał.

— A! to ty mój przetkliwy poeto! rzekł. Cóż? słyszę, że już drukujesz sam jeden?

— Powoli, po trosze...

— A ja! cha! cha!... nie wiesz awantury! — zawołał poczynają śmiać się sucho i dziwnie przymuszonym głosem.—Wystaw sobie, jaka mi się doskonała trafiła gratka. Książę Jan... zażądał mieć rys genealogiczno-historyczno-apologetyczny swéj godnéj rodziny... wezwał więc mnie i pióro moje, abyśmy mu wypracowali panegiryk, który książę kosztem swoim drukować będzie... A! a! cóż mi to szkodzi, że głupi! Biorę za to tysiąc złotych, a takich mu nafunduję panegiryków, że się niemi nakarmi na całe życie i stanie ich nawet dla potomków jego.

— Ale mój drogi — rzekł Stanisław — będziesz więc pisał przeciwko prawdzie, przeciw przekonaniu twojemu, przeciw dziejom, a pozwól sobie szczerzéj powiedzieć, przeciw sumieniu.

— Dzieciń每stwo! odparł Bazylewicz. Któż nie wie, że książę sam dyktuje mi co mam pisać?... Zresztą, korzystam z jego próżności, i sam się pierwszy z dudka śmieję.

— Ale czyż się to godzi? czy się godzi? wykrzyknął Szarski.

— Och! purytaninie! a jakżebym inaczéj potrafił wyciągnąć z jego kieszeni te błogosławione tysiąc złotych?

— Ale gdyby nie tysiąc, gdyby sto tysięcy — obu-

rzył się akademik— przeciębym się na sprzedajnego chwalcę nie najął.

— A najmujesz gębę, dając lekcye! sprzedajesz czas swój Żydom! niby to co innego?

— Czystsze to — rzekł Stanisław — praca, czas, nauka moja sprzedana za chleba kawałek, ale nie przekonanie i prawda! Wiesz, że cię w tém nie poznaję! dodał smutnie.

— A ja ci przypowiadam fanatyku, że będziesz chodził bez bótów—odparł Bazylewicz ruszając ramionami.— Cha! cha! Żebyś był wiedział jeszcze, jak mu podbijałem bębenka, jakem go przedziwnie wywodził w pole, aż mi się... wyspowiadał ze wszystkich arystokratycznych swych pojęć, i dał poznać ducha, w jakim mam mu napisać historyę jego domu. Komedya to była! powiadam ci, najprzedziwniejsza scena do dramatu lub romansu... Kiedyś to umieszczę w pamiętnikach moich.

— Na Boga! zawołał Staś: ale ty to bierzesz tak lekko, tak jakoś dziwnie, że ja tego pojąć nie mogę.

— I nigdy nie pojmiesz, rzekł dumnie Bazylewicz. Tyś jeden z tych ludzi, którym pozostaje tylko chyba osiąść w klasztorze, bo na świecie, gdzie nie tyle potrzeba talentu, co umiejętności rządzenia się, nie potrafisz sobie dać rady. Bywaj zdrów! Idę do biblioteki oddać Niesieckiego, a wziąć w zamian Stryjkowskiego i Bielskiego. Trafiłem też szczęśliwie na kilka starych kazań pogrzebowych, któremi moich książąt maluję jak chcę; za tydzień robota będzie gotowa... i tysiąc złotych w kieszeni!! To coś warto!... Nic nie zrobi kto z głupstw ludzkich korzystać nie umie!

To mówiąc, świsnął, rozśmiał się i odszedł.

Ukazały się nareszcie i poezye Stanisława, na których wielkie pokładał nadzieje, dopóki nie przeczytał ich jednym tchem po wydrukowaniu, pojąc się tém dziwném wrażeniem, jakie czyni na każdym początkującym widok własnéj myśli w téj nowéj szacie. Czy to, że się znużył poprawianiem nieznośnéj korrekty, czy że w istocie ideałowi poety nigdy to, co stwarza, wystarczyć i zrównać nie potrafi—dość, że Stanisław dopiero teraz z rozpaczą poczuł, iż te młodzieńcze kwiatki nie miały owéj woni, barwy i mocy, jaką w nich niegdyś upatrywał. Spuścił głowę smutnie, i oczekiwał wyroku.

Gdzie się pokazał, mówiono mu o jego poezyach, bo w tym czasie Wilno nietylko czytało wiele, ale się zajmowało silnie każdém nowo wychodzącém dziełem... Młodzi i starzy rozbierali, kommentowali, krytykowali, trawestowali, szydzili, ale w tém wszystkiém, nawet w gwałtownéj oppozycyi, były dowody życia.

Powtarzano co chwila biednemu poecie, co ktoś o nim gdzieś powiedział, co znaleziono w tym wierszu, czego zdawało się braknąć w drugim; ale niestety! te krytyki, zebrane w jedno, zupełnie przypominały bajkę Lafontain'a o młynarzu, synu jego i ośle. Nie podobało się jednemu co wychwalał drugi, krytykował ktoś ustęp, za najlepszy uważany przez innych. Stanowisko każdego sędziego odbijało doskonale jego usposobienie, wiek, wykształcenie, i służyło raczéj do poznawania indywiduów, niżeli do objaśnienia o wartości utworu... Kobiety chwaliły co płakało, wzdychało i przemawiało do serca rzewnością, lub dźwięczało muzyką słowa, któréj często dosyć, by poezya chwyciła za serce przez uszy; ale jeśli z piersi rozdartéj dobył się sarkazm, szyderstwo, boleść, co

zapomina, że jéj słuchać mogą... silnie, potężnie, gorąco... odwracały się główki z przestrachem, i zdawały się nie pojmować stanu duszy, który ten wykrzyk straszliwy malował. Dla jednych z nich brakło poezyom tym formy potężniejszéj i przystępnéj, dla drugich, co lubiły tylko to czego nie rozumiały, śpiewy były za jasne jeszcze i płynęły zbyt poziomo.

Młodzież powtarzała ułamki, dobierając je każdy do barwy swéj duszy... wesela, smutku, zadumy. W ogólności, jako tłómacz uczuć właściwych tęmu wiekowi, Stanisław silniéj przemawiał do niéj niż do innych. Starzy niecierpliwili się nieustannie w tych pieśniach powracającą miłością, rozczuleniem, rozpaczą, wreszcie formą swobodną, do któréj ich dawny klassycyzm nie przyzwyczaił.

Szaleni znowu ekscentrycy, którzy przylgnęli do szkoły romantyczną jeszcze zwanéj naówczas, dla których charakter stanowiła dopiero przesada, a karykatura była siłą, mieli to za mdłe, co było prawdziwe, bo niewyszukane i proste. Olbrzymy tych ludzi musiały występować na szczudłach; nie pojmowali wielkiéj myśli w maluczkiém słowie.

Bazylewicz raz, wsiadłszy na Goethego pogadankę o poezyi „szpitalnéj,“ wciąż jeździł na niéj i wywijał gdzie mógł swoim konceptem, zarzucając Szarskiemu płaczliwy egotyzm i byronowstwo. Wedle niego winien był, że rana jego tak czerwoną, tak rumianą krwią płynęła, jak inne rany; czemu nie zieloną?

Nie mowię już o Iglickim, któremu książka nowa, nieprotegowana przez nikogo, bezbronna, młoda, była najsmaczniejszym kąskiem. Ostrzył na nią zęby od dawna, i jeszcze mokrą przerzuciwszy zaledwie, złapawszy w niéj kilka urywkowych myśli, które wy-

szarpnięte z całości dziwnie się w istocie wydawały,— zabójczą rozpoczął recenzyę, w któréj szyderstwa, konceptu i pogardy nie szczędził. Zawsze skryty nieprzyjaciel nowéj szkoły, która mu wydarła nadzieję laurów obfitszych i osadziła na kulawym stołku krytyki, mścił się na téj biednéj książeczce za wszystko co ucierpiał od tych, których ona głosu była odbiciem lub przedłużeniem.

A że mu się Stanisław nie przyszedł pokłonić, że nie szukał jego protekcyi, więc tém nielitościwiéj postanowił się znęcać nad biedakiem, którego pewien był, że się nikt bronić nie ośmieli.

Obok tych krytyk stawały jeszcze inne czysto osobistemi powodami wywołane: jednym nie podobały się poezye dla tego, że autor ich był zbyt młodym; drugim dla tego, że się im nie kłaniał; innym, że u nich nie bywał; innym jeszcze, że się im zdało, jakoby był zarozumiałym, bo się przed cudzém zdaniem nigdy nie kłaniał, nie spojrzawszy wprzód, czy ono pokłonu było warte.

Ale niczém to jeszcze było obok pochwał! Kiedy nie pojmując go wcale, ale uczuwszy głęboko obraz, myśl, bicie serca w téj poezyi młodzieńczéj, chwaliła go kobieta szczerze i serdecznie, pochwała taka brzmiała najdroższą dla niego nagrodą, choć często wysłowić się nie umiała, zdać sobie sprawy nie mogła; ale gdy ten i ów na wiatr przekręciwszy myśl, schwyciwszy coś najmniéj uderzającego, poczynał się unosić, dodając do swych uwielbień kommentaryusze dowodzące, że na niczém nie były oparte... gdy ktoś tak chwalił, z takiéj strony szukał piękna, z któréj dopatrzyć go było niepodobna, o! srogie to były bicze takie pochwały i oklaski!

Komuż się nie zdarzyło być tak chwalonym, że wolałby pewnie najzjadliwsze ukąszenie wycierpieć, niż taki policzek uwielbienia? Staś znosił to wszystko milczący, ale mu się w głowie mieszało, i najpierwszym skutkiem sprzecznych zdań było wyrobione przekonanie, że głos wywnętrzny i własny kierunek najlepiéj poprowadzić go może, a po nim, raczéj krytyka uprzedzona, zjadliwa, chłoszcząca, niżeli apologie i panegiryki, które nic nauczyć nie mogą.

Ukazanie się artykułu krytyki w gazecie dowiodło znów młodemu pisarzowi, jak potężny wpływ drukowane głupstwo wywiera na słabe umysły. Wszyscy wiedzieli o pochodzeniu recenzyi z butelki porteru wyczerpniętéj, a żółcią starego pedagoga zaprawnéj—nikt go nie szanował,—przecięż gdy z dowcipem wystąpił, gdy nałajał czarno na białém, a głośno i odważnie, zrobiło to widocznie potężną zmianę nawet w najprzyjaźniejszych dla Stanisława. Po cichu najprzywiązańsi Szarskiego szeptali sobie, że Iglicki ma wiele dowcipu, a może nawet niekiedy trochę słuszności w swém zdaniu! Nie mówię już o niechętnych, dla których recenzya była naturalnie najmilszym przysmakiem.

Szarski zgryzł się tém niezmiernie, przebolał, zwłaszcza że doskonale pojmował, iż krytyka ostrzejszą może, ale daleko sprawiedliwszą być mogła, bijąc sumiennie a poważnie w usterki istotne, a nie czepiając się dzieciństwa, słówek, i nie igrając jak poliszynel z łopatką.

Zmartwiły go także twarze ludzi, z których każdy spotykając, kłół go tą głupią recenzyą, choć niby oburzał się na nią. W każdych ona była ustach, w każdém oku, rozminąć się z nią nie mógł nigdzie. Jedni

doradzali mu odpisać, drudzy życzyli milczeć, i byłby się ostatniego chwycił poeta, gdyby nie tok cały krytyki pełnéj przykrych osobistości. Zdawało się młodemu, że choć młody, nie w swojéj tylko sprawie, ale w interesie powszechnym powinien się był ująć o godność i kapłaństwo powołania krytyków, że obowiązany był wskazać jaką krytyka być powinna, aby dościgła swojego celu. Siadł więc pisać, a że z gorącém uczuciem schwycił za pióro i żywa boleść dostarczała mu wyrazów, łatwo napisał wielce wymowny, wzniosły i piękny artykuł, który nie namyślając się, posłał do gazety.

Ani się domyślał biedny, że i tu sumienie niewielką grało rolę, a główną własny interes, bo redaktor szacując pomoc starego Iglickiego, który mu nadsyłał swe recenzye interesujące, bo żółci i szyderstwa pełne i klassę jakąś czytelników zajmujące, nie mógł umieścić odpowiedzi, aby nie obrazić krytyka! Nie przeczuwał także, iż ton jego rozprawki wyższy był o tyle od pospolitych w tym rodzaju wyrobów, iżby je wszystkie zabił swojém niebezpieczném sąsiedztwem.

Wyrzuty dotykały w ostatku nietylko Iglickiego, ale mnóztwo kollaboratorów gazety i samego jéj wydawcę; wyprowadzały na scenę sumienie, osobę zupełnie dotąd nieznaną i prawa obywatelstwa w literaturze nie mającą; słowem, był to wybuch młodzieńczy, który wywoławszy uśmiech, musiał pójść pod stół do kosza kopert i śmieci.

Napróżno Szarski wyglądał druku, chwytał przychodzące numera, szukał w nich swéj odpowiedzi. Długo milczał redaktor, aż nareszcie w kilku zimnych słowach oznajmić raczył, że dla przyczyn od redakcyi

niezawisłych, artykuł z podpisem S. S. drukowanym być nie może.

Potrzeba się było poddać, zamilczeć, i zwiesiwszy głowę, uledz chłoście, przeciw któréj nie było ratunku, nie wolno było podnieść nawet głosu. Walczył z sobą zniechęcony Szarski, myśląc z razu nie tknąć pióra; ale biada temu! biada! kto raz zwalał się atramentem i napił się z tego naczyńka słodkiéj trucizny! Staje się on jak owi nałogowi pijacy opium, niewolnikiem czarnego płynu, i kąpać się w nim będzie całe życie. Myśl mu się nie przestanie napierać wyjść tą drogą, którą już chodzić przywykła; tłómaczyć się potrafi przed sobą, że pisze *sobie gwoli*, ale potém skorci przecię z drugimi się tą strawą przełamać.

Recenzya, narobiwszy wiele hałasu i wiele zaszkodziwszy poecie, który uczuł na swéj skroni pierwsze kolce cierniowego wieńca, poleciała z ulotną kartką w morze zapomnienia, a poezye tymczasem krążyły, rozchodziły się i zyskiwały coraz więcéj czytelników. Z poczatkowych wrażeń trochę zmieszanych, niewyraźnych, tłumnych, poczęła się tworzyć opinia jakaś jednostajniejsza, pośrednia; a ci, co się zawsze żywią tylko cudzém i gotowém, roznosili ją po świecie. Nie była ona zbyt surową, owszem przyznawano talent poecie i uczucia wiele; ale że najłatwiéj czémś osłabić pochwałę, dodawano, że młody, że to jeszcze śpiew pisklęcia, że to pieśń, jaką nóci każdy zakochany jeśli nie usty to sercem, że potrzeba czekać drugiéj pracy, by osądzić, czy się czegoś po nim spodziewać można.

— Mój drogi, rzekł mu przeczytawszy ów tomik poezyj professor Hipolit: mogę ci zaręczyć, że kilka razy wśród czytania łzy mi się zakręciły w oczach, żem uczuł żywsze serca bicie i powrócił do książki

z przyjemnością. Po tych znakach mogę ci śmiało prorokować powodzenie i powitać talent w tobie! Ale pamiętaj, że dopiero praca, życie, cierpienie, doświadczenie uskrzydla i do dojrzałości prowadzi talent, który Bóg daje ziarnkiem małém,—a kto ziarno wypielęgnuje, temu tylko ono zakwita! A zatém daléj, mój młody bracie, daléj, a śmiało! Nie oglądaj się na sroki, co krzyczą siedząc na płocie, gdy idziesz z pługiem w pole; cóżby sroki robiły, gdyby nie krzyczały?

Wśród pracy naukowéj i téj, którą sam jeszcze narzucał sobie Stanisław, żył on z troską nieustanną o chleb powszedni, a ta ciężkiém była mu brzemieniem. Lekcye jego zaledwie z największą oszczędnością wystarczyć mogły na najuboższe życie, a innych potrzeb zaspakajać nie myślał nawet, boby im nie podołał. Stary mundurzyna służył mu jeszcze, z najtroskliwszą pielęgnowany bacznością na łokcie i poły, zdejmowany zaraz po powrocie do domu, a pomimo tego co dzień wyglądający groźniéj. Musiał sam sobie posługiwać i szczędzić niezmiernie, co nużyło go, wymagając nieustannéj o każdy krok baczności. Pomimo tego jednak, codzień było ciężéj, codzień trudniéj, w miarę jak ubywało tego, co jeszcze z dawnych zachował był zapasów. Szczerba wprawdzie nie spuszczał go z oka i dzielił się z nim wszystkiém, ale niełatwą to było rzeczą wymódz na Szarskim, żeby co przyjął od kogo. Nieraz wstrzymywał się od odwiedzania towarzyszów dla tego, że u nich obiad, herbata lub wieczerza w téj porze przypaść mogła.

Życie szło w ten sposób niewidocznemi wciąż okupowane ofiarami. Z rana obchodził się samą bułką na śniadanie, na obiad najczęściéj pił tylko kawy szklankę, lub gdy był bardzo głodny, szedł do jednéj z najnędzniejszych akademickich traktyerni nie na cały obiad, ale tylko kawałek mięsa kupując dla zagłuszenia nieznośnego już głodu; wieczorem pił czasem gdzie herbatę u towarzyszów w gościnie lub obchodził się bez niéj, jeżeli siedział w domu. Mrokiem sam ze dzbankiem wychodził po wodę, bo w domu niktby mu darmo posłużyć nie chciał, a płacić nie było z czego. Okryty płaszczykiem, zapięty, zręcznie przemykał się ulicą i powracał, tak się już wyuczywszy ekwilibrycznego trzymania dzbanka pełnego, że kropli wody nie rozlał. Ale przy tak nędzném utrzymaniu w końcu i sił już braknąć poczynało; czuł się coraz słabszym, chudnął, kaszlał, częsty ból głowy całe dni trzymał go w izdebće, i niktby już dziś w nim nie poznał owego rumianego chłopca, którego w szkołach zwano *Piwonią*. W milczeniu, bez słowa skargi, znosił i brak zdrowia, i ucisk w pierwszych potrzebach życia, a gdy troskliwy Szczerba dopytywał go lub litował się nad nim, przybierał minę wesołą i nadrabiał żarcikami w niedostatku.

Innym, najuboższym nawet, jakoś lepiéj się wiodło i lżéj im szło życie; przyjaciele, staranie własne, dawały lekki zarobek, znajdowały się pomoce i posiłki niespodziane: Stanisław nadto był poetą, zbyt hardym, nieśmiałym, a w końcu niedbającym o siebie, żeby na coś podobnego polował i potrafił pochwycić. Ubiegał go kto chciał. Nigdy nie przywykł był do zbytku, domowy niedostatek i skąpstwo ojca przygotowały go do znoszenia téj nędzy; niekiedy uśmiechał się z niéj

jakoś smutnie, a obiecując trochę polepszenia w przyszłości, dni upływające uważając za zbyt krótkie, zbyt zajęte, o ich upiększenie nie chciał się troskać zbytecznie.

W jego pustéj izdebce dziwne tymczasem poczęły się dziać rzeczy. Jakaś niewidzialna ręka zdawała się bojaźliwie, ale ciągle przychodzić w pomoc jego niedostatkowi. Wyręczano go w pracy, znajdował powracając po kilkogodzinnéj niebytności w domu, umiecioną podłogę, dzbanek swój wodą napełniony, poskładane nieco, niezbyt wyraźnie, ale z pewném staraniem ubogie rzeczy swoje. Zdziwiło go to i nastraszyło, gdyż na klucz zamykał pokoik gdy odchodził, i nie dopatrzył dotąd, by kto na strych zaglądał, a jednak widoczna była w tém wszystkiém ręka ludzka wiedziona uczuciem litości. Czyniono to ostrożnie, z myślą, żeby się nie dać wyszpiegować, tak, żeby Stanisław mógł z razu nie postrzedz nawet otaczającéj go troskliwości, choć codzień stawała się ona śmielszą i widoczniejszą. W początku znajdując wodę w dzbanie, roztargniony sądził, że ją sam musiał przynieść, pomawiał się o nieuwagę i niepamięć, a przekonawszy się, że tak być nie mogło, przestraszył się i zaniepokoił. Wśród porozrzucanych książek, tu i owdzie, jakby przez zapomnienie, pokładzione drobne pieniądze, i to go najbardziéj przeraziło, gdyż nie mógł ani na chwilę powątpiewać, że je tam ktoś podrzucał umyślnie.

To wmieszanie się w jego życie nieznajoméj choć przyjaznéj ręki opatrznéj, napełniło go trwogą, niepokojem, zamyśleniem; nie wiedział co począć, radzić się nie chciał nikogo, wydać z tém wstydził, a przyj-

mować darów tych nie mógł i czuł, że nie był powinien.

Jedna Sara mogła być sprawczynią tego tajemniczego a nieustannego opiekuństwa, i Stanisław zgadywał w tém ją lub któregoś z towarzyszów; próbował nawet szpiegować, ale mu się to nie wiodło. Zasiadał na strychu, zaczajał się na schodach, i nie dopatrzył nikogo. W końcu zaczynało go to już niecierpliwić. Któż mógł w tym żydowskim domu zajmować się tak jego losem i litować nad położeniem: potrzeba było dośledzić, musiał się nareszcie przekonać.

Cały więc jeden dzień, prócz na lekcyę do Sary, na krok nie wychodził z domu, wrócił do siebie o zmroku, stukając i kaszląc umyślnie wysunął się przez bramę na ulicę, a gdy się zupełnie ściemniło, powrócił potajemnie, przekradając się ku swéj izdebce, i u wnijścia jéj się zakradł, oczekując kto nadejdzie. Serce mu biło trochę wdzięcznością, trochę gniewem jakimś, ale długo, długo stał nie doczekawszy się nikogo. Nareszcie szelest sukni kobiecéj na schodach szybki chód dał się słyszeć; biała postać prześliznęła się ku drzwiczkom poddasza, otworzyła je. W blasku światła, które padło na wchodzącą z wnętrza izdebki, Stanisław poznał łatwo Sarę, która dźwigała dzban wody; ale nim się namyślił co miał począć, Izraelitka wyszła z jego izdebki, unosząc z sobą dzbanek próżny, i przebiegłszy mimo zdumionego studenta, spuściła się śpiesznie po ciasnych schodkach wiodących na strychy.

Wszystko więc co znajdował w izdebce, niewątpliwie jéj było dziełem. Łzy puściły mu się z oczu, serce zabiło, schwycił twarz w dłonie, i długo, długo

tak pozostawał nieruchomy. Ten cichy uczynek miłosierdzia w nowym blasku ukazał mu dziewczę, które dotąd widział tylko jako piękną, ale prawie bezduszną istotę. Pod tą chłodną powierzchownością powolnego i rozpieszczonego dziecięcia biło więc serce dziewicy żywemi ruchy, uczuciem tém droższém, że tajoném i wystarczającém sobie, bo unikającém oczu ludzkich. Staś zadrżał na myśl, że te wycieczki Śary mogą być łatwo wyszpiegowane, wytłómaczone najfałszywiéj i zrzucone na niego. Krew oblała mu twarz.

Nie było sposobu: musiał więc z tego domu, z cichéj izdebki, od kątka, do którego już przywykł uciekać,—i żal mu się zrobiło wszystkiego, co miał porzucić; a choć w tém niewidoczną była Sara, stała jednak na przedzie ze swemi czarnemi oczyma.

Szarski poruszony, wybiegł z kryjówki swojéj i puścił się ulicami, chcąc obmyślić co miał począć; potrzebował zwierzyć się komuś, a obawiał, czując i konieczność tego kroku i wstręt do obnażania uczuć, których dotknięcie chłodném okiem najprzyjaźniejszego nawet człowieka, bolesném być musiało dla niego. Szyderstwo, ta plaga wieku, która mało w jakiéj duszy kątku się nie gnieździ, mogło go zadrasnąć nielitościwie; nie był pewien, żeby nawet Szczerba nie uśmiechnął się z téj cichéj, niewinnéj izraelskiego dziewczęcia miłości, ktorą on w tak poetyczném i idealném widział świetle.

Co było począć? co począć z sobą?

W pierwszéj chwili chciał uciec, wynosić się, usunąć; ale jak potém zaradzić niedostatkowi, który go ścigał? i gdzie się podziać?

Zresztą godziłoż się zasmucać poczciwe, niewinne serce, które nad nim miało trochę litości ?

Z temi myślami błąkając się długo po ulicach, Staś nareszcie machinalnie powrócił na Niemiecką, i wszedł do swéj izdebki, która nie wiem czemu wydała mu się teraz jaśniejszą, weselszą, wygodniejszą niż kiedy. U progu stał ów pełny dzbanek, tak szybko zamieniony przez Sarę, a obok niego leżało trochę owoców, jakby przypadkiem rozsypanych na podłodze.

— Biedna Sara! rzekł Stanisław w duchu: zkąd na nią spłynął ten promień boży uczucia litości, tak skąpo udzielony innym jéj braciom? w co się obróci jéj życie, w którém nie znajdzie w koło siebie nikogo, coby ją pojąć potrafił? nikogo coby ją ocenił? Biedna Sara! biedna Sara!

I te słowa powtarzając, Staś usnął w najdziwaczniejszych marzeniach.

Nazajutrz rano, kiedy przypominając sobie wczorajsze wypadki i myśli swoje, wstawał Staś spoglądając na ten dzbanek, ku któremu teraz nieustannie oczy się jego zwracały, powoli otworzyły się drzwi izdebki, i niespodzianie wcale krzywa i nieforemna postać Falszewicza, z czerwonym nosem, pokazała się w wązkim otworze.

Z przestrachem jakimś i podziwieniem poglądał w milczeniu pedagog na nędzne sędzica mieszkanie, na dobrowolne to zakopanie się na strychu u Żyda, i nie mogąc pojąć ani powodów takiego poświęcenia, ani wytrwałości młodego człowieka, cały zmieszany, szukał napróżno, jakby to sobie wytłómaczyć?

— A! Falszewicz! zakrzyknął rzucając się ku nie-

mu Szarski. Jak mi się pan miewasz? Jakżem rad, że widzę pana!

Falszewicz wszedł powoli, wciąż się oglądając zdumiony; zaledwie mógł przemówić, tak go wszystko co widział dziwiło; ruszał tylko ramionami i krążył w koło oczyma.

— Panie! panie! i pan się tu nie boisz żyć pomiędzy tymi nieprzyjaciołmi krwi chrześciańskiéj? Wszak pana na Wielkanoc zarznąć mogą! A! czy to ja tak spodziewałem się znaleźć pana!

I padł na krzesło, ocierając pot z czoła.

Staś się roześmiał.

— Widzisz—rzekł—że żyję zdrów i cały...

— Aleś zmizerniał!

— Mój panie, odparł Szarski; może to i z głodu, bo ci się przyznam, że czasami... czasami nie miewam do zbytku.

I uśmiechnął się boleśnie.

Falszewicz usta otworzył przestraszony.

— Możeż to być? nie mieć co jeść ani pić! wyrzekł z westchnieniem wieśniaka, który nie pojmuje do tego stopnia posuniętego niedostatku.

— O! pić zawsze jest co! odparł Szarski z uśmiechem: na to woda, a pod Św. Janem jéj nie zabraknie... Widzisz mnie pan nawet w tak smutném położeniu, że nie mogę cię przyjąć jakbym chciał, bo grosza przy duszy nie mam.

— Proszę! proszę! zawołał preceptor: to dziwna rzecz... a u nas mówili, że pan za jakieś dzieło swoje ogromne wziąć miałeś pieniądze!

— Prawda! ogromne! zaśmiał się Szarski. A! nie mówmy o tém lepiéj. Powiedz mi raczéj, kochany panie, powiedz co się tam dzieje z ojcem i matką, brać-

mi moimi i siostrami? Ja tak spragniony jestem wiadomości o nich wszystkich!

— Nic się tam nie zmieniło, rzekł powoli a wciąż opatrując izdebkę Falszewicz. Ale jak tu pan żyć możesz?

— Mówże mi o domu.

— Sędzia od listu pańskiego ponury, smutny, zgryźliwy, kiedy mnie nawet, co mam niby u niego łaskę, dwa razy na starkę nie poprosił.

— A o mnie?

— Ani wzmianki! Jejmość oczy wypłakuje po kątach, ale także odezwać się nie śmie; a z dzieci jak które przypadkiem imię pańskie wymówi, spojrzy tylko sędzia po swojemu, toby się pod ziemię schowało ze strachu! i cicho! Jednakże kiedym wyjeżdżał do Wilna...

— Wspomniał o mnie! z uniesieniem zawołał Stanisław: mów! mów! drogi Falszewicz!

— Nie po imieniu, nie; odprowadził mnie sędzia aż do ogrodu, żeby nas nikt nie posłyszał, i w uliczce grabowéj powiedział po cichu:

„Jeżelibyś *go* zobaczył (nie chciał wymówić imienia), jeśliby się spytał o nas, powtórz mu co ci powiadam, że jeszcze przebaczyć mogę, ale nie inaczéj, chyba się podda władzy mojéj, przeciw któréj powstał, niech wróci na medycynę lub przyjedzie tu i ukorzy się.“

— A lata życia stracone! zawołał Stanisław; a ofiary! a cierpienie!

— Właśnie, i ja te lata odważyłem się sędziemu przypomieć... nie pierwszy już rok pan chodzisz.

„To nic, odparł sędzia: trzeba czémś opłacić nie-

posłuszeństwo; wolę, żeby lat kilka stracił, a nie odstąpię od swego.

Staś westchnął.

— Winienem—rzekł—i srodze mnie Bóg już za nieposłuszeństwo pokarał. Spełniłbym wolę ojca i teraz, ale wiesz panie Falszewicz, to niepodobna! niepodobna! Im więcéj myślę o tém, tém bardziéj mi się to wydaje niemożliwém... Nauka to nie dla mnie, co na widok trupa klękam i modlę się, a za świętokradztwo miałbym sobie krajać szczątki nieszczęśliwego, biednego, zmarłego gdzieś na łożu boleści, w szpitalu, sieroty! Nie, na to mi Bóg nie dał siły; ale mnie za to obdarzył cierpliwością i rezygnacyą, z którą zniosę niedostatek i gorsze od niego stokroć dla mnie osamotnienie.

— Jak mi Bóg miły, tak ja pana zrozumieć nie mogę! szepnął preceptor po cichu—to darmo!

— Więc przestańmy o tém, a powiedz mi o moich... A matka?

— Pan wiesz, jak sędzina się obawia, rzekł Falszewicz. Pomimo tego, jak się dowiedziała, że jadę do Wilna, szukała także chwili, żeby się widzieć ze mną sam na sam, i nic nie mówiąc, bo drżała jak listek, oddała mi do pana ten oto węzełek.

To mówiąc pijaczyna dobył z bocznéj kieszeni rulonik opieczętowany, i ścigając go łakomemi oczyma, położył na stole. Staś pochwycił skwapliwie posyłkę, nie pieniędzy w niéj szukając, chciał znaleźć ślad ręki macierzyńskiéj, ale go tam napróżno wyglądał! Pieniądze obwinięte były w starą kopertę, na któréj pani sędzina bała się położyć znaku nawet, tak truchlała na myśl, że mąż tę jéj pobożną zdradę odkryć może.

— A pan wie, dołożył nauczyciel: że jejmość tych kilku rubli pożyczyła u Berka arendarza pod największym sekretem! Bóg wie jak to oddać będzie mogła, bo sędzia dobre ma oko... ale Berko przyrzekł czekać cierpliwie i bez procentu, chociażby rok cały!

— Droga matko! rzekł Staś ze łzami w oczach: nie, nie chcę ja téj ofiary tak wielkim okupionéj strachem. Powiesz jéj, żem ucałował miejsce, którego dotknęły jéj ręce, i oddasz napowrot... Mnie wystarczy moja praca...

— O! że nie odwiozę nazad, to nie! odsuwając się zawołał Falszewicz: bo mi uroczyście przykazano, żebym tego robić nie śmiał... musisz pan przyjąć, to darmo!

— Biedna matka! biedna matka! ze łzami w oczach rzekł Stanisław: cóż ona pocznie!

— Jakoś to się lnem i nabiałem nieznacznie Berkowi odda, po cichu szepnął Falszewicz; a panu, jak widzę, nie zawadzi.

Falszewicz jeszcze niezaspokojony oglądem, wciąż przypatrywał się sprzętom, posłaniu, okienku, szczupłości tego kątka, i mruczał po cichu, nie tając swojego zdumienia.

Stanisław przerywał mu nieustannie, żądając szerokiego opowiadania o domu, siostrach i braciach; ale zimne to stworzenie nie umiało nic powiedzieć o nich, tak mało czuło samo, tak mu się w głowie pomieścić nie mogło, że Szarski nie bolejąc nad swą nędzą, zamiast się dopominać pomocy, prosił tylko o nowiny z Krasnobrodu.

— Co to pan chcesz, żebym ja mu mówił o Krasnobrodzie? a co tam ma być? Ot, żyją! po staremu jegomość gderze, jejmość słucha, a dzieci, żebym!

ich tęgo nie trzymał, toby dom do góry nogami wywróciły!

Chciwy szczegółów, Stanisław dobyć ich nie mógł z Falszewicza; a ten tak był znowu zajęty nędzą otaczającą Szarskiego, że ciągle do niéj powracał.

— To pan i sługi nie ma! wołał: a któż panu bóty czyści? a któż wodę nosi?

— Najlepszy sługa, ja sam!

— Tfu! toć to ja już mam chłopaka! Ot na co to pan zszedłeś!

— Mój kochany panie Falszewicz, a czémże bym chłopca żywił, kiedy ja sam często bardzo się namyślać muszę, czy się bez obiadu obejść, czy pójść na jedną, jedną tylko i to jaką jeszcze potrawę!

— Ja na miejscu pana—dodał preceptor—wolałbym być doktorem i ojca przeprosić; wolałbym u niego ekonomować... A co panu przyjdzie z tego grezmolenia po papierze? tylko się ludzie śmieją, rodzice gniewają, a pan z nędzy giniesz.

Falszewicz jednak jak do opowiadania tak i do przekonywania stworzony nie był. Męczyli się ze Stanisławem długą godzinę napróżno, i rozeszli obaj ruszając ramionami na siebie; ale w duszy Szarskiego to widzenie się zasiało nową tęsknotę, bo mu przypomniało dom żywiéj znowu i wzbudziło żal po swoich.

Spełniwszy polecenie sędziego i sędziny, Falszewicz resztę czasu spędził widać w Wilnie, próbując wódek po cukierniach, póki stawało grosza, bo go Staś kilka razy spotykał wychodzącego czerwono z coraz innego szyneczku. Lecz nie pokazał się już więcéj na Niemieckiéj ulicy, i wkońcu znikł, nie pożegnawszy się nawet wyjeżdżając z miasta.

Państwo Adamowstwo Szarscy bawili przez całą zimę w Wilnie, ale od owego pamiętnego poranku nie miał już Stanisław ochoty widzieć się z nimi; a choć oni przysyłali parę razy do niego, nie śpieszył się ich odwiedzić wcale. Stosunki nowe i chętka samego pana, który tak gorąco pragnął wnijść koniecznie w najwyższe strefy towarzyskie, wciągnęły ich w świat, do którego biednemu akademikowi wstęp był zupełnie wzbroniony. Kilka razy spotykał ich w powozie przelatujących ulicą, widział zajeżdżających na bale, do teatru, ale się do nich nie zbliżał. Pan Adam też po próbach w kilka dni od pierwszego widzenia się czynionych, już więcéj nie przysyłał do kuzynka; stosunki ich zerwały się zupełnie. Myślą tylko tęskną wracał Staś do chwil kilku spędzonych w Mruczyńcach.

W saméj kruchcie kościoła Św. Jana, jednego z tych dni, po długiém niewidzeniu, zetknęli się nareszcie z panem Adamem, ale tak, że się wzajem uniknąć nie mogli... Staś usiłował się wymknąć co najśpieszniéj, gdy kuzyn za rękę go wstrzymał, i z surową twarzą odezwał się do niego:

— Za pozwoleniem, słówko tylko.

To powiedziawszy, z zasępioną miną odprowadził go na bok nieco, i wsparłszy się na pysznéj lasce z rękojeścią z kości słoniowéj, rzekł po cichu, źle tłumiąc nieukontentowanie swoje:

— Panie Stanisławie, na Boga! co waćpan najlepszego robisz?

— Ja? zawołał student: chciéj mi pan objaśnić co to zapytanie ma znaczyć?

— Ale czyż potrzebuję tłómaczyć się wyraźniéj? Waćpan hańbę robisz imieniu naszemu!

— Ja! zakrzyknął Szarski: a toż czém?

— Waćpan słyszę służysz u Żyda! mieszkasz z Żydami! Żaden Szarski nigdy nie poniżył się do tego stopnia!

— Bo żaden Szarski jak ja może nie potrzebował na chleb pracować, nie mając innego do życia sposobu.

— Dla czegoż ten upór przeciw władzy ojcowskiéj?

— Te wymówki są mi tém boleśniejsze—przerwał żywo Stanisław—że je słyszę z ust pana, któryś mi sam przecię odradzał medycynę. Nie mogłem być posłusznym ojcu, bo to przechodziło siły moje.

Pan Adam gwałtownie rzucił ramionami i poruszył się cały.

— W ostatku, rzekł, pojmuję i poniekąd tłómaczę ten waćpana wstręt do medycyny; ale czyż innego nie było już sposobu, tylko się zaprzedać Żydom i zwalać gdzieś u nich na strychu?

— Panie, zawołał Szarski zaczerwieniony: ten się tylko wala kto próżnuje i je chleb nieskropiony pracą własną; żadna praca nie kala!

— A potém, ciągnął pan Adam rozgrzewając się: godziłoż się poczciwe nasze imię szlacheckie rzucać na pastwę gryzipiórków, szyderstwa, drwinkowania... włóczyć je po gazetach i okrywać śmiesznością?

— Imię moje należy do mnie, rzekł Stanisław: ja za nie odpowiadam; a że go zwalać nie dam i nie zwalam, to pewna! Przestańmy téj rozmowy proszę, bośmy tak daleko od siebie że się zrozumieć nie potrafimy.

Te słowa wyrzekł tak jakoś dumnie i stanowczo, że pan Adam spojrzawszy mu w oczy, spuścił nieco z tonu.

— Dla czegoż wreszcie —rzekł już łagodniéj—nie było się w potrzebie udać do mnie? Pan wiesz, że lekka pomoc pieniężna, jakiejbyś mógł żądać odemnie, nie zrobiłaby mi różnicy.

— Dla tego, odparł Stanisław grzecznie skłaniając głowę: że długów wdzięczności gromadzić nie chcę, że sobie samemu tylko pragnę być winien wszystko, a tam gdzie mnie nawet nie rozumieją...

— Stasiu kochany, coraz czuléj przerwał pan Adam: z waćpana widzę gorączka szalona! Gniewasz się, burzysz! nie bywasz u nas! najmniejszą uwagę bierzesz tak ostro! to się nie godzi! Mój dom byłby ci się mógł przecię zdać na coś, zrobiłbym ci w świecie stosunki; dobrowolnie zaparłeś się tych korzyści, i powtarzam, najniepotrzebniéj przyszłość nawet swoją skompromitowałeś.

Słysząc to Stanisław, ruszył mimowolnie ramionami, ukłonił się raz jeszcze, ale nic nie odpowiedział.

— Źle idziesz i źle wyjdziesz—rzekł pan Adam—jeżeli mojéj życzliwéj nie posłuchasz rady!

— Pozwólże mi pan wprzódy, z zapałem unosząc się odparł Staś: pozwól mi pan, żebym z serca dziękując mu za życzenia i za rady jego, zaczął od wyznania wiary, które mnie w oczach jego tłómaczyć powinno. Jesteśmy, czy nie, jacyś sobie krewni, to mniejsza; ja się przyznaję do wszystkich, pan może nie zawsze mógłbyś i rad to uczynić... ale stoimy na dwóch przeciwległych krańcach społeczeństwa. Zważ pan jak dziś jesteśmy od siebie daleko, i czybyśmy pogodzić się mogli? Ja pracuję, wierzę i idę z odwagą w świat, dobijać się nie sławy, nie chleba, nie dostatku i gnuśnego próżniactwa, ale wykształcenia własnego, pożytku bliźnich, ofiary dla nich i kapłań-

stwa poety i pisarza. To co pan zowiesz walaniem poczciwego imienia, ja nazywam najpiękniejszém jego użyciem; co panu zdaje się nieprzyzwoitością, ja mam za święty obowiązek; co dla niego nieszczęściem, dla mnie koniecznością tylko, często sprawującą mi pociechę wewnętrzną. Jestem ubogi, to prawda, tak ubogi jak najnędzniejszy z poddanych pańskich, bo mało który z nich nie ma chleba kawałka, a ja, ja go często nie miewam!... ale w duszy mojéj jestem spokojny i nikomu z was nie zazdroszczę. Jakże pan chcesz, byśmy się rozumieli, bym wdział suknię cichego, pokornego dworaka i człowieka salonowego, kradnącego wiecznie myśli swoje przed językiem, ażeby ich nie wygadał?

— Prawda, rzekł z zimnym ukłonem wysłuchawszy cierpliwie wykrzykniku pan Adam: prawda, że na tym stopniu szału jakiegoś, na którym pana w téj chwili znajduję, ciężkoby się nam było porozumieć. Waćpan jesteś do zbytku zarozumiałym, ufasz tylko w siebie, a fałszywe masz o świecie pojęcia.

— Fałszywe? Jeśli mi pan Ewangelią tego Boga, z którego kościoła wychodzimy obà, dowiedziesz fałszu moich pojęć, uznam się chętnie za zwyciężonego.

Pan Adam nieukontentowany, coraz się bardziéj plątał i rad był już wywikłać.

— Ależ, na wszystko zaklinam cię, rzekł: choć tych twoich Żydów porzuć! Poezye twoje, jakie one są to są, zwróciły na ciebie oczy; ten i ów powtarza, żeś na służbie u Żyda! To nieznośne, ja się waćpana wypierać muszę.

Rozśmiał się Szarski.

— Kuzynku, rzekł ze złośliwym przyciskiem: bądź

pewien, że moja służba od wielu jest szlachetniejsza, a niczyjéj, niczyjéj nigdy nie potrzebując łaski, sprzedając tylko czas mój i pracę, śmiało w oczy każdemu spojrzeć mogę.

Chciał odejść, ale go jeszcze wstrzymał pan Adam.

— Stasiu, rzekł czuléj: co robisz? godziż się to? Dam ci ile potrzeba na skończenie nauk w uniwersytecie, bylebyś mnie słowem szlacheckiém uręczył, że się wyniesiesz z téj przeklętéj kamienicy, i więcéj tych... poezyj imieniem swojém podpisywać nie będziesz! Godziż się przez upór i zarozumiałość umrzeć z głodu i poniewierki?

— Godziż się sprzedawać litość i pomoc braterską? spytał do ostatka wyegzasperowany chłopak. Pan mi dajesz warunki, a ja ich przyjąć nie mogę.

— Jak to? Żyda nie porzucisz dla mnie?

— Panie! rzekł ze łzą z oka wytryskującą akademik: w chwili kiedy na całym świecie nie miałem nikogo, coby mi podał kroplę wody, tam znalazłem litość, serce, współczucie... i jak w przypowieści ewangelicznéj, Samarytanin rany moje opatrzył. Dozwólcie mi, proszę, iść drogą własną i pracą.

— A! szalona pałka! ruszając ramionami za oddalającym się rzekł do siebie pan Adam. Charakteru ma wiele; co za szkoda, że taki waryat!

Tegoż dnia, gdy w saloniku domu najętego na Wielkiéj ulicy siedzieli tylko we troje, on żona i córka, pan Adam, którego ranna rozmowa prześladowała wspomnieniem swojém dzień cały, nie mógł wytrzymać i opowiedział ją, skarżąc się przed swoimi. Jakkolwiek słowa Stasia w ustach pana Adama całkiem się

inaczéj wydawać musiały i straciły wiele siły, bo kuzynek rolę swoją naturalnie chciał uczynić piękniejszą, a na to osłabić musiał przeciwną, sama pani i Adelka uczuły obie, ile szlachetności, ile było poczciwéj dumy w tym biednym chłopcu, hardym, ale pełnym serca. Obu jednak zwyczaje świata i ta nieszczęsna przyzwoitość, co gębę zamyka, nie dozwoliły się z myślą ukrytą wygadać. Pani nawet poczęła póty w sobie przekręcać wrażenia doznane, aż z kobiety, jaką była w pierwszéj chwili opowiadania, stała się tylko pogardliwą wielką panią, i z tego stanowiska potępiła Szarskiego. Adela, młodsza jeszcze, nie potrafiła ukryć się z tém co czuła, westchnęła po cichu, zmieszała się, pożałowała biedaka! Zdało się jéj po tém westchnieniu, po kropelce litości, że już dla niego tak wiele, tak wiele zrobiła! Teraz stał od niéj tak daleko, tak nizko, że z danéj mu niegdyś niezapominajki śmiała się serdecznie, ani wiedząc co się z drugą jéj połówką zrobiło.

— Wychudł, wymizerniał, kaszle, zdaje mi się, że ma już suchot początki, rzekł pan Adam. Serdecznie mi go żal, ale poradzić niepodobna: szatan poezyi go opętał. Zdumniał, ani przystąpić do niego, i z pokornego dziecięcia stał się nieznośnym młokosem.

— Przyznaj jednak mój ojcze, odparła po cichu Adela: że wiele jest szlachetności w jego postępowaniu... mnie się to podoba!

— Bo wam kobietom, nawet najzimniejszym, podobają się zawsze trochę szaleńcy, śmiejąc się rzekł pan Adam. A przytém posądzam Adelkę, że dzieckiem podobno czule spoglądała na kuzynka.

— Już mnie prześladujesz mój ojcze, śmiejąc się

trochę zarumieniona odpowiedziała Adela: któryż to już mój ulubiony wedle twego obrachunku?

— Może najpierwszy z porządku, rzekł wesoło pan Adam. Ale bądź mi spokojna, tego księciu Janowi nie powiem!

Adela odwróciła się, ruszyła białemi ramionami, i zaczęła poprawiać na kominku.

— Jakkolwiek bądź, szepnęła niedosłyszanym głosem: radabym go zobaczyć wyrosłego na poetę; nigdym jeszcze nie widziała poety!

Matka się rozśmiała.

— Bądź spokojna, moja droga: w Paryżu zobaczymy Wiktora Hugona, Lamartin'a, Musset'a, Alfreda de Vigny... a cóż nasi parafianie przy nich!

— Jaka to szkoda, że przynajmniéj nie pisze po francuzku! zawołał pan Adam. Bo powiedzcie mi proszę, jaka przyszłość dla pisarza i poety w naszym kraju i języku? Myśli i uczucia swoje pięknemi ubierać słowy dla przedpokojów, lokajów, ekonomów i posessorów!.. bo któż czyta po polsku? Dziwna rzecz, żeby się tak zaślepić i w taką dziurę dobrowolnie wpaść można!

To mówiąc, westchnął pan Adam, a drugie westchnienie jakieś wtórowało mu od kominka.

Staraniem Pawła Szczerby dało się coś nareszcie wynaleźć dla Stanisława, którego położeniu ulżyć to mogło. Wyszukano mu jakąś ubogą rodzinę, która ofiarowała mieszkanie i stół za pomoc naukową dla syna,

a oprócz tego godzinę lekcyi w mieście, mającą na resztę potrzeb dostarczyć mu trochę grosza. Poczciwy przyjaciel, który wespół z professorem Hipolitem dobrze sobie głowy i mózgu nałamał, nim znalazł to miejsce korrepetytora na Łotoczku, zapewniwszy się razem o ową lekcyę płatną, obiecaną na drugim końcu miasta, uradowany, że miał w kieszeni trochę swobody dla Stasia, trochę dostatku, przybiegł do kamienicy Dawida Białostockiego. Stanisław poprawiał coś w papierach swoich, gdy Szczerba schwyciwszy go za ręce obie, rzekł z wesołym uśmiechem:

— Nareszcie opuścisz już raz to twoje nieznośne poddasze, na które drapiąc się nogi sobie popodrywałem. Masz doskonałą *kondycyę*, choć w ubogim domku. Znalazłem ją dla ciebie, ale ją zaraz chwytać potrzeba, żeby nam jéj kto z przed nosa nie porwał. Professor Hipolit daje ci inną płatną lekcyę... Z tych dwojga będziesz mógł sobie zlepić życie wcale znośne...

Jakże się zdziwił Szczerba, gdy zamiast radości ujrzał na twarzy towarzysza rozlewający się smutek!.. Staś padł na łóżko i tak milczący chwilę pozostał.

— A! mój drogi, rzekł po przestanku namysłu gdybyś zajrzał w serce moje, zobaczyłbyś w niém ile ono ma wdzięczności dla ciebie... bratabym więcéj nie kochał pewnie... Ale na Boga, nie każ mi tak nagle ztąd się wynosić... już ja do téj skorupki przyrosłem. Na samą myśl opuszczenia tego lichego poddasza, mróz mnie przejmuje... mnie tu już było tak dobrze!

— Tobie tu dobrze! zdumiony przerwał Szczerba: a! przyznam ci się, że to nowina jest dla mnie. I ta nędza! i ten szałas! i ten chłód!

— Jak to? ty nie pojmujesz, że się przywiązać można do miejsca, w którém się cierpiało?

— I owszem, pojmuję doskonale, że przechodząc ulicą Niemiecką, możesz i powinieneś podnieść oczy, westchnąć i pozdrowić to mieszkanie; ale żebyś w niém chciał dłużéj pozostać!... tego nie rozumiem.

— Otoż takie to jest biedne serce moje! zawołał Stánisław: jak polny rozchodnik nawet murów się czepia i na nich rozkwita. Daj mi czasu do namysłu, do nabrania odwagi...

— Ani chwili, rzekł stanowczo Szczerba. Żydzi, gdy im przestaniesz być potrzebny, bez żadnéj poezyi wytrącą cię za drzwi. Nie potrzebujemy czekać tego, i póki się coś trafia, korzystać należy; bierzesz czapkę i idziesz ze mną.

— Na Boga! na Boga! nie mogę! zawołał łamiąc ręce Stanisław, którego oczy oparły się mimowolnie na dzbanku przypominającym mu Sarę.

— W tém więc coś jest! rzekł z kolei Szczerba: ty mi nie chcesz powiedzieć całéj myśli swojéj, a ja się poczynam lękać.

— Nic nie ma, prócz żem ja zbyt miękki i do nałogu skłonny, trochę się rumieniąc odparł Szarski. Przywykłem, przyrosłem, jestem gnuśny i obawiam się wszelkiéj zmiany. Któż wie czy się z tamtymi ludźmi pogodzić potrafię?

— Ależ to są ludzie jednéj z tobą wiary, języka i świata! Łatwiéj zdaje mi się będzie ci tam niż tu przyrosnąć.

— Wprzód się ztąd trzeba oderwać, boleśnie rzekł Stanisław.

— To dziecińDstwo! przerwał Szczerba. Chodźże

ze mną; zrobi się co czy nie, musisz spróbować. Pójdziemy, zobaczymy...

Nie mógł się dłużéj oprzeć naleganiom Szarski niepodając się w podejrzenie,—i posłuszny, choć niechętnie, wziąwszy płaszcz, dowlókł się ze Szczerbą na Łotoczek.

Uliczka ta wąziutka, spadzista i oryginalna, oprócz bardzo porządnych domów, ma kilka starszych niepozornych, dziwnie się dziś wydających wpośród nowych budowli, ze swą fizyognomią napiętnowaną charakterem innego wieku. W mieście jak na świecie, co przeżyje zakres bytu swego, już się nie łączy z otaczającém, już odbija od niego i razi oko, jak w pośród żywych umarły.

Domek, do którego prowadził Szczerba Stanisława, należący do biednéj wdowy mieszczanina, niegdyś bogatego, ale podupadłego bankructwem banków, na których oparł najczystsze kapitały swoje — stał z dwóch stron ściśnięty wysokiemi kamieniczkami, a sam ledwie miał sutereny i jedno piąterko nad niemi. Pozór jego wskazywał zaraz, że tam nie było czém i komu podtrzymać staréj budowy, bo choć porządnie wzniesiona i przez posłuszeństwo policyjnym przepisom bielona bywała, tak to jakoś robiło się niestarannie, że tynki jéj, dachy, ona, wejście, brama, nie były już w harmonii z sąsiedniemi. Tu i owdzie coś się wykrzywiło, pękło i zamazano niedbale pęknięcie, załatano tylko skrzywienie; bruk przed domem był stary i dziurawy, brama rozeschła i bez zawiasy. Wdowa sama nie mieszkała nawet w tych niepozornych kilku pokoikach od ulicy, które jakiś lokator zajmował, ale ścisnęła się w oficynce przylepionéj do domu od dziedzińca—i tam za Szczerbą poszedł Stanisław.

Cicho było w ciemnéj sionce, pusto w pierwszym pokoiku, do którego weszli nieoznajmieni przez nikogo; wszystko to skrzętne, ale wielkie zapowiadało ubóztwo... Obok niego błąkały się pozostałości dawnego dostatku, których zbyć nie było można, bo kupione niegdyś drogo, cenione dziś wysoko, nawet za tanie pieniądze nie znajdowały nabywcy. Między dwoma okienkami stał fortepianik z drzewa różowego wykwintnéj roboty, wysadzony bronzami, na cieniuchnych nóżkach staruszek, któremu już i głosu brakło i siły, by się na wykrzywionych podstawkach utrzymać bez pochylenia.

Na ścianach wisiało kilka pięknych obrazów w starych ramach rzeźbionych i złoconych, opstrzonych od much, pyłu i zaciągnionych pajęczynami, tak, że na nich nic prawie rozeznać nie było można.

Na kolumience falsz-marmurowéj był i wazon alabastrowy, ale upadkiem tak potłuczony w kawałki, że jak sieć krzyżowały się nad nim rysy zlepionych starannie cząstek. Obok tych szczątków reszta sprzętu, z innéj już życia pochodząca epoki, była uboga i prosta: krzesła karczemne, stolik podparty oklepaną lirą czarną z żółtemi strunami, kanapka w perkalikowym pokrowcu. Pozór całości ponury był i smutny.

Nierychło po zakaszlaniu Szczerby, kobieta słusznego wzrostu, z głową chustką zawiązaną, w ciemnego koloru szlafroczku, wyszła powoli z drugiego pokoju. Na jéj twarzy malowało się takie znużenie życiem, taka jakaś tęsknota i długie cierpienie, w rysach jéj przytém tyle było szlachetności, że wejrzenie na nią wzbudzać musiało poszanowanie i litość. Nie młoda już, pomimo ubogiego stroju, ruchem, obejściem, wejrzeniem zdradzała lata przeżyte w lepszym bycie,

o którym dotąd przyciśniona niedolą zapomnieć nie mogła.

— Przedstawiam pani Dormundowéj mojego towarzysza Stanisława Szarskiego—rzekł Szczerba—o którym mówiliśmy... najlepszego chłopca w świecie, chorującego tylko trochę na poezyę.

— O! jest to tak piękna choroba—ze smutnym uśmiechem odpowiedziała Dormundowa—że jéj powinszować można. Niechże panowie siadają, i bez ceremonii mówmy o moim skarbie, o moim synu...

— Tak jest, odparł Szczerba: od razu ułożmy się o warunki wszystkie, otwarcie i szczerze.

— Nie ma tu co mówić długo, z westchnieniem dodała kobieta: syn mój potrzebuje nie tak dozorcy i pomocnika do nauki, jak raczéj poczciwego towarzysza, przyjaciela i doradcy. Mieliśmy się niegdyś lepiéj, byłabym nie żałowała najdroższych nauczycieli... ale dziś... potoczyła się łza z oczu — ledwie drobinka pozostała po nieszczęściach naszych... mogę tylko podzielić się biednym stołem wdowim i dać izdebkę pod dachem moim. Jeżeli przyjaciel pański przyjmie te warunki, dajmy sobie rękę i połączmy dwie biedy nasze, żeby nam lżéj było; bo ten, co za chleba kawałek i kątek podejmuje się takiéj pracy, nie bardzo także musi być dostatnim.

— Mój towarzysz—przerwał Szczerba śpiesznie—zgodzi się na warunki; bo i ja i on pewni jesteśmy, że mu tu będzie dobrze.

Szarski milczał, wdowa podniosła oczy na niego, i zdawała się pilnie w fizyognomię wpatrywać..

— No, dajże nam Boże—rzekła po chwili—żebyśmy wzajemnie z siebie byli radzi.

— Za pozwoleniem, po cichu odezwał się Szarski:

ale jabym prosił choć o dni kilka, dopóki się z dawnego mieszkania nie wybiorę i zobowiązań poprzednich nie dopełnię... wszak to pani różnicy nie zrobi?

— Co najprędzéj to najlepiéj, odpowiedziała wdowa; jam tu samiuteńka jedna, mój Karolek się męczy samotnością, boję się jéj dla niego, chciałabym, żebyś pan przybycie, przyśpieszył... Ale pójdę-no go tu przyprowadzę...

To mówiąc, wyszła i po chwili wróciła z wyrostkiem, który przy młodszych rysach dziwnie matkę przypominał, ale miał minę schorowaną, cierpiącą, niemal już suchotniczą. Oczy jego zbyt żywe na dziecię, wychudzenie, rumieniec, przykre robiły wrażenie. Zdawał się być łagodnym, uśmiechniętym, śmiałym i wesołym mimo cierpienia; z ciekawością jakąś serdeczną przybliżył się do Stasia, którego rękę ścisnął.

Matka pocałowała go w głowę, rada ze zręczności, i znowu popłakała trochę.

— Poczciwe, dobre, kochane dziecko! odezwała się; gdyby nie ono i obowiązki względem niego, dawnoby już i mnie nie było na świecie... a cóżbym ja na nim bez niego robiła? Widzi nieborak, że mu losu nie dam, sam nań pracuje... pracuje z całych sił, i mam nadzieję, że z jego łaski ujrzę kiedyś lepsze chwile... spocznę szczęśliwsza trochę.

— A teraz—dodała—chodźmy zobaczyć pańskie mieszkanie. Macie z Karolkiem dwie izdebki; młodemu powinnoby to wystarczyć.

To mówiąc, przeprowadziła ich przez sień do nizkich i małych, ale czystych pokoików, z których pierwszy przeznaczony był dla Stasia, drugi zajmował Karolek. Całą pieczę matki widać było w przystrojeniu tego kątka, w usłaniu łóżeczka, w pozbieraniu wszyst-

kiego co dom miał najlepszego, dla ukochanego, jedynego dziecka. To też pokój Karolka zadziwiał prawie wytwornością, wygódkami, i pełno w nim było ślicznostek, kosztowności nawet, pamiątek, jakoś zaciszno, wygodnie i miło. Może tego wszystkiego aż za nadto było dla ubogiego chłopięcia, które los przeznaczał do walki, ale matce i to się jeszcze zdawało za mało.

— Mam tylko jedną sługę, rzekła powracając pani Dormundowa: wszystko wszystkiém, szafarka, kucharka, lokaj i garderobiana... zresztą sami sobie służymy.

— Ja do tego przywykłem, rzekł Stanisław; a młodemu nigdy nie zaszkodzi, jeśli się uczy sam wystarczać sobie.

— Jakieś poczciwe zdaje się dziecko, szepnęła jejmość do ucha Szczerbie; dobrze mu z twarzy patrzy.

— A z serca jeszcze lepiéj, rzekł Paweł.

To mówiąc pożegnali wdowę rozweseloną nieco, i Karolka, który odprowadzając ich, zapraszał Stanisława, aby jak najprędzéj do niego powracał... Szarski zamyślony pociągnął do domu.

Gdy przyszło Sarze i jéj rodzicom powiedzieć, że się z nimi rozstać musi, i pożegnać izdebkę, z którą się poprzyjaźnił, gdy przyszło rozerwać dziwne stosunki łączące go z żydowską rodziną, Stanisław długo się musiał zbierać na siłę potrzebną. Wychodził z postanowieniem najmocniejszém oznajmienia o tém i ust jakoś nie mógł otworzyć. Oko Sary zaglądające mu

w głębię duszy, w którém czytał przeczucie i obawę rozstania, zamykało mu wargi, tamowało słowa. Dzień za dniem upływał, pani Dormundowa dowiadywała się, przysyłała, Szczerba przynaglał, Staś zwlekał. Nareszcie jednego wieczoru wszedł na górę z mocniejszém postanowieniem, i nie śmiejąc spojrzeć na Sarę, rzekł siadając do stolika:

— Chciałbym się widzieć z panem Dawidem; mam mu kilka słów powiedzieć...

Sara nic na to nie odpowiedziała, nie ruszyła się nawet, książka tylko zaszeleściała w jéj ręku, i była długa chwila milczenia, bo Stanisław drżąc także przewracał karty jakiegoś zeszytu.

— Przyjaciele moi—rzekł po chwili młody człowiek—wynaleźli mi jakieś mieszkanie, zajęcie, i z żalem... z żalem, dom wasz opuścić będę musiał.

Wypowiedział to szybko, a nie odbierając odpowiedzi, podniósł wreszcie oczy na uczennicę. Siedziała nieruchoma, ze spuszczonemi na kartę książki oczyma, ale z pod długich rzęs jéj czarnych dwie łzy, dwa strumienie srebrzyste, pędziły po zbladłéj twarzy... Staś zadrżał: żal mu się zrobiło własnego okrucieństwa, egoizmu, rad był już cofnąć słowo i nie wiedział jak sobie począć. Czekał na odpowiedź, ale Sara wciąż milczała; a po chwili, gdy oczy podniosła na niego... spojrzenie jéj długie, głębokie, niezapomniane utkwiło w młodym chłopcu... Wstała szybko i uciekła. Czas jakiś upłynął, nim się na miejscu jéj ukazała matka.

— Cóż to? zawołała szybko od progu: pan nas chcesz porzucić?

— Muszę, odpowiedział Szarski. Towarzysze moi żądają tego po mnie; znaleziono mi inne zajęcie.

— Ale to nie może być! odparła kupcowa. Proszę się zatrzymać chwilę, zaraz poszlę po mojego Dawida.

Stanisław został sam jeden, przechadzając się niespokojnie po pustéj salce.

Na schodach wprędce dał się słyszeć chód Dawida, który jednak nie wszedł wprost, ale się czas jakiś zatrzymał u żony i córki. Ukradkiem spojrzał z progu na Stanisława, i z miną grzecznie poufałą zbliżył się do swego lokatora,

— Co to ja słyszę! odezwał się: pan nas chce opuścić?

— Tak jest, muszę, muszę...

— No, mieszkanie niewygodne, jak się panu podoba, rzekł kupiec powoli; ale lekcyj tak rozerwać nie godzi się. Mogło panu tu być źle, choć młodemu wszędzie jakoś i ze wszystkiém po godzić się można..

— Nie skarżyłem się, było mi dobrze.

— Ale lekcye naszéj córki? lekcye naszéj córki?

— Ja mieszkać będę tak daleko...

— Nie możesz pan porzucić zupełnie starych swoich znajomych...

Staś się zawahał, ale wtém przyszła kupcowi w pomoc żona i Sara ukazała się na progu, tak go prosząc wzrokiem, tak błagająco nań spoglądając, że Szarski oprzeć się już nie mógł.

Dawid śmiejąc się wyciągnął do niego rękę.

— No! słowo, rzekł: nie odmawiaj pan, a co się tycze umowy, choć to z Żydami sprawa, proszę się spuścić na nas... Dawid Białostocki nie zawiedzie...

Sara znikła ze drzwi, a Stanisław pobiegł na schody cały wzruszony, wyrzucając sobie słabość, i zrozumieć nie mogąc, co go z tym domem wiązało. Na

widok izdebki jeszcze nieporuszonéj, w któréj wszystko stało na miejscach zwyczajnych, i dzban pełen wody u drzwi, i książki w nieładzie na stoliku pod okienkiem, i łóżeczko rozrzucone, na którém tyle nocy bezsennych, pełnych gorączkowych marzeń, przepędził... stanął, zadumał się...

Nie śmiał dotknąć nic, aby nie zburzyć tego, co dla niego już miało wartość pamiątki... Żal, ciężki żal ściskał serce... Załamał ręce.

— Mój Boże, rzekł w duchu: o! biedne serce ludzkie, na ile się to przedmiotów, miejsc, istot rozdzierać ono musi! Zostawia go człowiek wszędzie jak owca runo swoje, dopóki całkiem nie rozda. I tu część mojego zostanie! Nie! jeszcze dziś, tę noc ostatnią przepędzę pod dachem, do którego przywykłem, a jutro dzień dostarczy mi siły.

Wśród ciszy wziął się do składania papierów i rzeczy, dawno nietykanych... a ten przegląd wspomnień napełnił go większym smutkiem jeszcze. Były tam i szkolne wiersze, i pamiątki towarzyszów, których już nigdy ujrzeć nie miał, i okruchy życia w Krasnobrodzie, i owa z Mruczyniec niezapominajka, i próby, i listy, i poezye, i notaty, i po szczątku każda chwila życia już zabrana falą w przeszłość... a na świstku jeszcze tak żywa i przytomna.

Późno w noc przysłał po niego Szczerba, i Stanisław oderwać się musiał od tego zajęcia, ażeby pobiedz do niego. Zamknąwszy więc izdebkę, ruszył na Trocką ulicę.

Paweł był sam jeden, czekał go z wymówkami i twarzą surową.

— Słuchaj, rzekł: taisz się przedemną. Nie darmo przylgnąłeś do tego domu: wiem od dawna, że dajesz lek-

cye córce Dawida; widziałem ją raz w oknie, jest to niepospolicie piękne dziewczątko. Oszalałeś! chyba się w niéj kochasz?

Staś rozpłomieniał cały.

— Znasz mnie, rzekł Paweł: nie jestem tak młody, żebym pochwalał zdradę dla chwilki przyjemności; do czego cię to doprowadzi? do podłości lub cierpienia! Twoją być nigdy nie może; na cóż grzęznąć coraz głębiéj w to błoto? Przyznam ci się, żem dla tego właśnie znalazł ci Dormundową i naglił o przyjęcie miejsca, bom się już wszystkiego domyślał.

— Aleś się źle domyślał, odparł Staś powolnie. Sara jest w istocie tak piękną, tak piękną jak owa Ester, dla któréj Ahasverus oszalał... jak druga Ester Ahasvera polskiego nie była; ale ja znam obowiązki moje, i nie dam się sercu pociągnąć, gdzie sumienie nie pozwala.

— Kochasz Sarę?

— Nie, rzekł Stanisław; ale w téj chwili zawahał się i umilkł.

— Ty się mylisz; dla czegoż ci tak trudno oderwać się od niéj?

— Nie wiem, z wylaniem zupełném dodał Szarski, padając na kanapę. Jest to jeszcze uczucie, którego nazwać nie umiem i nie śmiem. Trochę w niém litości, trochę zachwytu, rozczulenia i wdzięczności...

— Za co? wdzięczności? za co? podchwycił Szczerba.

— A! ty nic nie wiesz, odparł Szarski ze łzami w oczach; ty nic nie wiesz. To nie jest istota, jakąbyś sobie z ojca, matki i nazwiska mógł wyobrażać; idealne to serce, jak twarz, którą widziałeś.

Paweł się uśmiechnął.

— Ideały—rzekł—schowaj do poezyi... w życiu ich nie spotykamy! Są ideały pięciominutowe, kwadransowe, półgodzinne, tygodniowe, półroczne, ale nie znam, którychby uroku nie rozbiło, nie rozwiało bliższe poznanie i zetknięcie codzienne. Na każdym jest ziemska plamka! Cóż my, jeśli nie blade odciski prototypów nieśmiertelnych, które tak cudnie odgadł stary Plato! W ręku natury odlewającéj nas z błota, bozka forma w niwecz idzie: są lepsze i gorsze egzemplarze, ale nie ma niestety! doskonałych; nie ma ideałów, tylko w nas, co marzymy świat, jakiśmy z niebios i rąk Stworzyciela wynieśli.

— Okrutny jesteś—odpowiedział Stanisław — ze swoją matematyczno-medyczną prozą, w któréj wszystko widzisz w jakimś półcieniu jednostajnym. Ale posłuchaj! posłuchaj! Jam nigdy trzech słów nie przemówił o żadném uczuciu do Sary, nigdym z jéj ust odpowiedzi na inne niż na suche pytanie naukowe nie słyszał... a dziś... widziałem łzy w jéj oczach.

— Klękam przed łzami, bo wszelka łza święta; ale cóż na nich zbudować można? zapytał Szczerba. Na Boga! to już aż do łez przyszło! Stanisławie! zaklinam cię, ratuj się od podłości ucieczką!

— Jeszcze słowo tylko, odpowiedział Stanisław spokojnie. Znasz życie moje... wiesz, w jakiéj je nędzy spędzać muszę, choć się nie skarżę... a raczéj nie wiesz i nie znasz nawet połowy tego, com ja wycierpiał, bom się z tém tail umyślnie. Dawno już temu, zacząłem postrzegać w mojéj izdebce jakby ślady obcéj, pracującéj dla mnie ręki; w początku zdało mi się to przywidzeniem. Znajdowałem dzban, z którym chodzę po

wodę, pełnym co wieczór, niby przypadkiem rozrzucone owoce, to pieniądz jakiś między książkami. Widocznie ktoś chciał mi ulżyć ciężaru, a pragnął, bym tego nawet nie postrzegł. Dzban szczególniéj zwrócił uwagę moją; zaczaiłem się, śledziłem, i ze łzą w oku dopatrzyłem, że wypieszczone to dziecko, gdy sądziło, że mnie nie ma, samo mi dźwigało na strych tę jałmużnę kropli wody! A teraz, powiedz, uderzywszy się w piersi, czyby ci nie żal było tak poczciwe serce zasmucić?

Szczerba umilkł, i męzka twarz jego powlokła się zamyśleniem, którém pokrywał uczucie, chcąc się z niém utaić.

— Dziś, kończył Staś: gdym zapowiedział, że dom ich opuszczam, nie rzekła mi słowa, ale na twarzy jéj dojrzałem tylko płynące dwa łez strumienie, z którémi przedemną uciekła.

— A! to źle! to źle! to najgorzéj właśnie! odezwał się wreszcie przyjaciel. Potrzeba ci uciekać... bo na czém się to skończy?

— Przyrzekłem im, choć się wynoszę, nie przerywać lekcyj.

— Tak! i latać z Łotoczka na Niemiecką ulicę codzień!... szalony! Zawsze to jednak lepiéj już niżeli tam mieszkać... Jutro, jutro się musisz przenieść do Dormundowéj; tęskno ci będzie, i ona tam po tobie zapłacze... ale czas! o! czas!

— Zapomni! dokończył smutnie Stanisław. Zapomni! powtórzył i wyszedł powoli.

Gdy wróciwszy do swojéj izdebki zapalił świecę, chcąc resztę pakunku dokończyć, zdumiał się postrzegłszy na stoliku, na tomiku poezyj, który był

znikł od dni kilku i którego szukał właśnie, mały złoty zegareczek. Pod nim na ćwiartce ładnego papieru, napisane były te tylko słowa:

Od Sary.

Nazajutrz, gdy najęty wózek żydowski trochę biednych sprzętów Stanisława i powiązane w paczki książki jego na Łoteczek przewoził, a akademik wychodził za nim w ulicę, na schodkach w bramie ujrzał raz jeszcze Sarę, która stała przytulona do muru, żeby jéj kto nie postrzegł, i zdawała się czekać go z pożegnaniem. Staś zbliżył się do niéj, trzymając w ręku jéj podarek, ale nic nie umiał przemówić; ona także słowa w ustach nie znalazła, tylko nań oczy zwróciła tak silne, tak przejmujące wyrazem, jakby w nie wlać chciała całą potęgę serca, usiłując go pociągnąć ku sobie. Z tych oczu płynęły jak wczoraj dwie łzy młode, dwa strumienie żywota!

Ale w chwili ich spotkania, z dolnych mieszkań wybiegł, długo ze swą nienawiścią dla goima przymuszony się taić stary Abram, bez pantofli, bez odzieży, w kaftanie tylko, z rozczochraną siwą brodą, a na widok jego wnuczka krzyknęła tylko i znikła.

Abram w początku nic także nie mówił, ale jego ściśnięte usta, pałające oczy i pięść podniesiona, zionęły przeklęctwami, których domyślić się było łatwo.

— Idź na stracenie psi synu! mruczał: idź z domu Izraela, a niech ci *Klippes* towarzyszą w drodze. Zamieciemy śmiecia po tobie, i zatrzemy ślady nieczystych nóg twoich...

Dawid pokazał się w bramie idący do sklepu, a stary Abram, który syna szanował i trochę się go lękał, wpadł zaraz do izdebki. Stanisław posunął się za wózkiem swoim na Łotoczek.

Nim nowy człowiek przyrosnąć potrafi do rodziny, którą mu los narzuca, kosztuje to wiele; potrzeba pracować nad sobą, patrzeć, poznawać się, przywykać, zrozumieć, pokochać... a przy tém wszystkiém zapomnieć. Stanisławowi jednak nie było to tak trudno, bo znalazł u Dormundowéj coś więcéj niżeli miał w pustce na strychu. A przecię i tamtéj serdecznie mu żal było: tam miał nieograniczoną swobodę, spokój; tu wszystkie niemal jego chwile zabierał Karol lub jego matka.

Karolek był dzieckiem pieszczoném, ale poczciwie i macierzyńsko; rozwinęło to w nim wprawdzie uczucie do zbytku, ale obok tego surowe miał pojęcie obowiązków życia i szanował matkę, która go najszaleniéj kochała. Wszystkie jéj godziny poświęcone były jedynemu dziecięciu; a jeśli z niém być nie mogła, to o niém tylko myślała, z niém się uczyła, nie odstępowała go wieczorem, nie okrywszy i nie otuliwszy w łóżeczku i nie pobłogosławiwszy na sen nocy. Pierwsza zjawiała się z rana, gdy otworzył oczy; a ledwie ze szkół powrócił, już go chwytała w ganku, oglądając, witając jak z dalekiéj podróży. Niechże zabawił dłużéj trochę—co tam niepokoju i tęsknicy! co przeczuć najokropniejszych!

Karolek odpłacał miłość matki przywiązaniem najczulszém, a widząc, że na nim pokładała jedyne nadzieje, choć nieustannie wstrzymywany, pracował niemal nad siły, żeby zdobyć przyszłość więcéj dla niéj niż dla siebie. Nieraz gdy mu zgasiła świecę i przy-

musiła, żeby spoczął, wstawał po cichu w nocy i uczył się w łóżku, tak, by obok w drugim pokoiku śpiącéj matki nie obudzić.

Ten obraz pełny smutnego wdzięku ujął i Stanisława, choć w początku trudno mu było odpowiedzieć wszystkim wymaganiom pani Dormundowéj, w nieustannym zachwycie dla syna pragnącéj, żeby wszyscy klękali przed jéj bożyszczem. Dom składał się, jakeśmy powiedzieli, z nich dwojga i ze staréj Marty, sługi domu, przywykłéj do swéj pani, nieustannie gderającéj na wszystkich, ale pracującéj za cztery. Podzielała ona uwielbienie matki dla panicza, ale i Karolkowi czasem dostawało się od niéj przy nadarzonéj zręczności. Musiał znosić bury, uwagi, przestrogi i nieskończone monologi staréj Marty, która, gdy raz poczęła naukę moralną, nic jéj już od wywnętrzenia się zupełnego powstrzymać nie mogło. Nie wiem czy sama pani Dormundowa tak bacznie, tak pilném okiem obejrzała przybysza jak ona. Przyglądała mu się z drugiéj izby przez szparę, stawała przyniosłszy co do pokoju, bez ceremonii badając twarz jego, minę i wyzywając powoli do rozmowy.

Zdobyła się nawet w interesie ogółu na chytrość, udawała spokojną i łagodną, nie napadając z góry na lokatora, aby go nie onieśmielać. Ale po kilku dniach, gdy wyczytała niezwikłany wcale charakter Szarskiego, wzięła go z innymi pod panowanie swoje i zaprzęgła do słuchania gderalstwa. Staś uśmiechał się, nie niecierpliwił wcale, i tém sobie zaraz łaskę staréj sługi pozyskał.

Łatwo mu też przyszło przywiązać się do pani Dormundowéj, gdy ją bliżéj poznał. Miłość macierzyńska, stanowiąca jéj życie, dobroć, pobożność, i wieczna,

nieschodząca z czoła tęsknica, bo nigdy tam na jéj twarzy od lat wielu nie postało wesele, podbiły go zupełnie. Karolek, który nie miał przyjaciela, a przeczuwał go w Stanisławie, rzucił się ku niemu z całym zapałem młodéj duszy.

I tak poszło daléj, choć zaprawdę i tu nie otaczały go róże! Na domku lichym i podrujnowanym wdowa miała długi, dochód z wynajęcia szedł w większéj części na opłacanie procentów i wydatków grunto wych, grosza było szczupło, a często, bardzo często i chleb i mięso i mleko brało się na kredyt w sklepikach. Winni byli Żydom, lichwiarzom, nielitości wym przekupniom, tak, że często jaki sprzęcik sprzedawał się za bezcen, by zaspokoić ich nieznośne nalegania. Gdyby nie Marta, która gorąco stawała w obronie pani i gotowa była nawet wziąć się do miotły, częstoby pani Dormundowa z domu przed wierzycielami uciekać musiała. Biedne kobiecisko wzdychało, modliło się, płakało, chodziło do swoich krewnych daremnie, i tak dzień za dniem żyło się nadzieją, że gdy Karolek szkoły skończy, gdy zostanie doktorem, zaczną się jaśniejsze lata i trochę przyjdzie spokoju... choć na siwe włosy.

Ileż to żywotów ludzkich, podsycanych tylko nadziejami, które się nigdy nie ziszczą, wlecze się tak do końca, do mogiły, otoczonych ciemnością... Ale Bóg policzy tam kiedyś cierpienia nasze, na które płacze ciało, na których zyskuje dusza.

Jednego popołudnia, gdy Staś korzystając z chwili wolniejszéj pracował dla siebie, w dziedzińcu, usłyszał głos obcy i Marty, razem prawie wymawiające imię jego. Zdziwiło go to, bo rzadko kto do niego przychodził. Wyjrzał oknem i spotkał zupełnie nieznajomą postać. Był to jakiś jegomość, niby Żydek elegant, niby komisant sklepowy, w ubraniu modném, w jasnéj chustce na szyi, z laską o gałce bronzowéj, którego snadź z początku Marta wzięła za natrętnego jakiegoś wierzyciela, sztuką chcącego się podkraść do domu, i silnie broniła mu do niego przystępu.

— Czego wasan tu chcesz? mówiła zajmując sobą całe schodki. A jak tu i jest Szarski, to co?

— Potrzebuję się z nim widzieć.

— A czegoż się wasan potrzebujesz z nim widzieć?

— No! a tobie co do tego?

— Jak to, co do tego? Patrzaj-no go! a przecięż to ja tu trzymam porządek, i wiedzieć muszę kto do mego lokatora przychodzi!

— A mieszka tu u pani Dormundowéj jaki Szarski?

— Patrz! już wie i o Dormundowéj!

Zniecierpliwiony elegant już się odwracał, i plunąwszy chciał nazad odchodzić, gdy Szarski spostrzegłszy go i słysząc nazwisko swoje, sam wyszedł w ganek. Przybyły jakby się domyślał go, ukłonił się żywo i zapytał:

— Pan Szarski?

— Ja jestem.

— Patrzcie! a to się nawet nie znają! Ki kaduk! odsuwając się już zawołała Marta do siebie. Byle nie do jejmości, niech sobie idzie, choć *rybeńka* niegrzeczny.

Marta miała przysłowie *rybeńka*, które zbyt często powtarzała.

— Mam słówko do pana, odezwał się przybyły, i wszedł do pokoju.

— Kogoż mam honor?

— To wcale do interesu nam niepotrzebne, rzekł rozsiadając się przybyły. Jesteśmy sami?

— Zupełnie sami, niespokojny nieco odpowiedział Szarski.

Niaznajomy zakręcił się na krześle, widocznie nie wiedział od czego począć, wziął laskę w gębę, zamyślił się i spytał znowu po chwili:

— Wszak to pańskie czytaliśmy poezye?

— Nie wiem, o jakich mowa, ale i ja wydałem poezye.

— Piękny talent! piękny talent!

Ukłon był odpowiedzią, a nieznajomy znowu umilkł potarł włosów, zagryzł laski, spojrzał z ukosa na młodego człowieka, i jakoś mu ciężko widać było wypowiedzieć z czém przyszedł, choć z oczu jego mówiła zręczność i przebiegłość.

— Piękny talent, powtórzył: co za szkoda, że w takich czasach żyjemy, kiedy go ocenić nie umieją!...

— Nie skarżę się na to, rzekł Stanisław.

— Świat nie wart poetów, ale poeta wielkie ma obowiązki względem niego; pierwszym zdaje mi się karcić go i prostować.—Na tym wyrazie przycisnął umyślnie i dobitnie.—Wylać swe oburzenie przeciwko złemu i szkaradzie plugawiącéj społeczność, to święty obowiązek... dodał po chwili.

— Czasy satyry minęły, odparł Stanisław; a ja szczególniéj nigdy się nie czułem w usposobieniu do niéj.

— To dziwna rzecz! zawołał przybyły: mnie się zdaje, że każdy prawy poeta musi, na widok zepsu-

cia, powstawać przeciwko niemu, nietylko w sercu swojém, ale usty, ale piórem. Ja to mam za obowiązek.

Stanisław popatrzał na nieznajomego, który pod tym wzrokiem śmiałym a pogodnym, spuścił biegające a pełne sprytu, ale też i chytréj przebiegłości oczy.

— Sądź pan sobie o mnie jak chcesz, dodał po chwili śmieléj: ale powiem mu otwarcie, że w missyi nakłonienia go do satyry przyszedłem tu właśnie.

— Jaśniéj, panie, bo dotąd zrozumieć nie mogę o co chodzi.

— Powiem mu więc jasno, że chcę pana namówić na wiersz satyryczny, do którego podam mu przedmiot... a który być powinien ostry, chłoszczący, nielitościwy...

— Pan siebie lub mnie oszukujesz, odezwał się z coraz większém oburzeniem Szarski. To, co pan zowiesz satyrą, od wieków nazywa się paszkwilem; a zdaje mi się, żem jeszcze nie zszedł tak nizko, żeby mnie kto do tego dzieła nieprawości śmiał użyć...

Trochę zmieszany gość, wszakże pokrył śmiechem przykrość, któréj doznał.

— Nadto pan jesteś surowy, rzekł wykrętnie. Godzi się więc w oczach świata broić i gorszyć ludzi, a nie będzie się godziło skarcić występku, wyśmiać śmieszności, oburzyć się na niepoczciwość?

— Tak, odparł Stanisław: wszystko się to godzi, byle nie tykać osób.

— Dla czegoż szanować tych, co się nie szanują sami? co nie umieją i nie chcą poszanować społeczeństwa?

— Jest to nowa wcale teorya, odparł z uśmiechem niemal pogardliwym akademik; ja się jéj nie wyuczyłem jeszcze.

— Świat jéj pana wyuczy. Każdy mści się jak może.

— Ja mścić się nie mam powodu... a nigdym nie pragnął, nawet w osobistéj sprawie, nauczyć się tego.

— Cha! cha! rozśmiał się nie wstając i nie okazując obrazy przybyły, choć Szarski słów i postawy mu nie szczędził. Ale cóżbyś pan powiedział na taką naprzykład historyę...

— Nie wiem czy potrzeba, żebym się o niéj dowiadywał?

— Prędzéj czy późniéj posłuży ona panu do czegoś i odezwie się w nim pewnie... Zresztą nie jest to tajemnica, wszyscy o tém wiedzą w Wilnie... Widziałeś pan zapewne lub słyszeć przynajmniéj musiałeś o księciu Janie.

Staś mimowolnie zarumienił się i odwrócił z podbudzoną ciekawością.

— O nim to mowa, podchwycił gość, który z twarzy zmiarkował, że obudził zajęcie. Nie ma co mówić, miły chłopak, gładki, w towarzystwie słodki jak cukierek, ale język jaszczurki, ale serce żmii. Książę ten i ktoś drugi, uboższy od niego, ale mu nieustępujący pewnie, starali się o względy młodéj, ze wsi przybyłéj panienki. Ba! może to jaka krewna pańska?

— Nie! nie! zawołał żywo zbierając papiery, by ukryć wzrastające pomieszanie Szarski.

— Dotąd nic zdrożnego... Książę się podobał zalotnicy, potém niemniéj podobał się kto inny, a że księciem Janem i jego słodyczą rychło się przejeść można, panna Adela poczęła zwracać oczka na drugiego, którego wymieniać nie chcę... Książątko uczuło ten cios, a że mu gwałtem ożenienia z posagiem potrzeba dla powiększenia blasku mitry nieco odar-

téj z gronostajów, nuż w intrygi. Poszedł tedy do głowy po rozum, i opuściwszy pannę, wziął się wprost do rodziców: przed nim oczernił przeciwnika oszczerczo, niegodnie, potwarczo... Naturalnie wyzwany zosta.ł.. i...

— No! i strzelali się, odpowiedział Stanisław.

— I nie wyszedł! nie wyszedł! gorzko się śmiejąc zawołał gość: tak! dodając do oszczerstwa obelgę! Ten, co go wyzwał, ma dziś zupełne prawo stłuc go kijem na ulicy; ale to nie dosyć, chciałby, żeby i świat wiedział jakim jest książę...

Stanisław zmarszczył się i sposępniał; podparł na ręku, zamilkł, a w duszy powtarzał tylko:

— *Noli me tentare!* i oparł się łatwo pokusie podłéj zemsty, którą na chwilę serce jego uderzyło po ludzku.

— Ha! ha! nie doskonałyż to przedmiot do satyry, to życie sybaryty-próżniaka, ten typ młokosa, co więcéj dba o swe białe paznogcie niżeli o honor, który spotwarza po cichu, a nie śmie piersi nastawić?

— Wszystko to być może oryginalne, wyborne, odparł Szarski; ale nie do poezyi, a przynajmniéj nie do takiéj, jak ja ją pojmuję... Zresztą miłość własna zaślepia. Przyznam się panu, że radbym tę samą historyę z ust księcia Jana posłyszeć; ręczę, że inaczejby wcale wyglądała.

Surowo spojrzał nieznajomy, wdziewając rękawiczki, które darł z zajadłością, z jakąby był szarpał nieprzyjaciela.

— Tak! rzekł: w każdych ustach inaczéj wygląda najprostsza czynność człowieka; ale są rzeczy, których zatrzeć, wykręcić, zmienić niepodobna: podłość jest zawsze podłością... A więc nie napiszesz mi pan

historyi księcia Jana?... Nie chcę darmo usługi... wiem, żeś pan ubogi jak poeta... zrób mi pan co zabijającego jak trucizna, a zapłacę na wagę dyamentu!

Staś skoczył z krzesła jak oparzony, drżącą ręką ukazując przestraszonemu gościowi drzwi, które z trzaskiem otworzył.

— Mości panie! zawołał trzęsąc się z gniewu: wynoś się a szybko, bo nie ręczę za siebie. Trucizny! trucizny chcesz od poety! Czynisz mnie zbirem płatnym! to obelga, za którą nie pojedynek, ale kij tylko pomścić się może!... Precz! precz!...

Nim tych słów w gorączce wymówionych dokończył, nieznajomy znikł mu z oczu, i nie ręczę, czy ciekawa Marta, pełna bojowniczego ducha, dosłyszawszy ostatnich słów, nie pomogła nieznajomemu miotłą do spuszczenia się ze schodków.

— A! świat! świat! zawołał z boleścią, tuląc twarz w dłonie poeta: świat! co za stekowisko brudów! jaka kałuża błota! I w pośród niéj, wśród tego rozlanego powodzią zepsucia, hańby, podłości, wszyscy, wszyscy tak upadliśmy duchem, że nikt nie śmie wstać, podnieść się i zaryczeć głośno na całą ziemię proroctwem zniszczenia, potężném wołaniem o pokutę i modlitwę!

Wleczemy się, żyjemy, ocieramy o zbrodnie, a od dzieciństwa takeśmy przywykli do zgnilizny, takeśmy przesyceni temi wyziewami zatrutemi, tak nas spętała miłość gnusnego spokoju, że w niczyjéj piersi nie ozwie się braterstwem, poświęceniem głos, coby może obudził uśpione w zdrętwieniu tłumy.

W dawnych wiekach widzimy w wielkich grodach, które opanował szał szkaradny, wspaniałe postacie mężów, co głowę posypawszy popiołem, usiadają wśród rynków i placów, chłoszcząc pomstą bożą, wołając o poprawę. Każdą plagę z mściwéj prawicy wypaść mającą poprzedza pieśń proroka-kapłana, który ginie ukamienowany, ale po sobie zostawia myśl żyjącą wiecznie.

Ten wielki Babilon europejski, strupieszały moralnie, zabity na sercu, zgniły przez połowę, ruszający się tylko jak zwierz siłą zwierzęcą, nie ma nawet poety-wieszcza, coby mu grobową pieśń zniszczenia zanócił.

Za młodu wzdryga się człowiek, staje, patrzy, a gdy odezwie się z podziwem czystéj duszy, śmiech wywołuje tylko... Śmiech ten jak wiatr pustyni wysusza jego serce... i codzień mniéj poczyna się dziwić zepsuciu, codzień słabiéj odzywa się przeciwko niemu, obojętnieje, kamienieje, zamiera. I on nareszcie wrasta w tę potworną społeczność, z wierzchu świecącą od ogłady, wewnątrz spróchniałą i zgniłą.

Gdzie się dotknąć, rany jak na ciele Hjoba, wrzody jak na Łazarzu, choć na nich suknie wytworne. Zawszeż tak było? Nie! nie! na Boga! ludzie byli ludźmi, ale w pośród nich żyło coś, co im przypominało, że lepszymi być powinni. Wieszcze byli ludów sumieniem, odzywającém się wśród biesiad Baltazara. Dziś kto ośmieli się stanąć i w oczy zimnemu, zamarzłemu tłumowi powiedzieć, że krzyż, który kładnie na piersiach, jest urągowiskiem i szyderstwem, jest świętokradzko nadużytém znamieniem w domu nieprawości?

Cisza, jak przed wielką burzą, jak na ogromném

cmentarzysku, a w miejscu pieśni Jeremiasza odzywa się śpiewka rozpustnicy, pijany szałem głos jéj kochanka, śmiech suchy liczącego grosze handlarza i turkot warsztatu przędącego zbytek rękami nędzy.

Cała ta społeczność w barwach chrześciańskich, w odzieży dzieci Zbawiciela, znów manowcami wróciła do starego pogaństwa. Świątynie Plutusa, gody Wenery, i pryapeje szkaradne i uczty Baccha, wszystko to znajdziesz, choć pod inném nazwiskiem, zmieszane ohydnie z najświętszemi słowy i znakami. W najczystszą z dusz, w najniewinniejszy z uśmiechów, w najskromniejszą postać, w najszlachetniejszą mowę uwierzyć niepodobna; dziś, jutro wychodzi z pod nich na jaw zakalec wieku i szkarada, któréj zaród wyssało dziecko z cudzołożniczéj piersi...

I śmieją się, ucztują, radują, lecą na zgubę tłumami; a głosy proroków, kapłanów, starców milczą, bo już może świat ten nie wart ich słyszeć.

I nie ma przemówić do kogo, bo starzy zgłuchli a młodzi zestarzeli, nim dorośli.

Któżby pojął wezwanie na nową krucyatę przeciwko poganom zalewającym ziemię świętą odkupioną krwią Zbawiciela? któżby porzucił dom, nałożnice, stół, worek, łoże i spokój, aby wdziać twardą włosiennicę żołnierza Chrystusowego i pójść daleko od domu zepsucia?

Nie! tak trwać nie może!... Bóg czeka, ale ludzkość musi się odrodzić lub zginąć własnemi zabita rękami, własnemi ukamienowana grzechami... Zepsucie dojdzie do kresu i pożre się zdychając. Lepsze jutro zaświecić musi...

W stosunkach Szarskiego z piękną Izraelitką nic się nie zmieniło; żywiéj go tylko powitano, gdy raz pierwszy przyszedł z Łotoczka. Oko jéj kilkakroć zajrzało mu w źrenice, szukając w nich może iskry pociechy; ale Stanisław zamknął się w sobie, i prawie chłodno rozpoczął z nią codzienną pracę.

Zarumieniła się Sara, widząc w ręku jego zegarek, który był od niéj podarkiem; ale gdy jéj chciał dziękować, zakręciła się i uciekła.

Szarski przychodził tak codzień, ale nigdy nie przemówili do siebie czuléj, poufaléj, serdeczniéj. Rozmowa toczyła się wzrokiem tylko, wyzywającym z jednéj, spokojnym choć rozczulonym często, z drugiéj strony.

Staś pierwszych dni mylił się często, i zamyślony wracając z lekcyi, szedł do swéj dawnéj izdebki na strychu; raz nawet otworzył drzwiczki, w których zamku klucz znalazł, i zapomniawszy się stanął w progu.

Nic się po nim nie zmieniło, nie wyniesiono i nie tknięto sprzętu; tylko kilka książek rozłożonych na stoliczku świadczyło, że ktoś tu przychodził myśleć, czytać i tęsknić może. Staś spojrzał i znalazł tam tomik swoich poezyj, na pożegnaniu z domem otwarty, Goethego Dywan, i pieśni, i jakąś powieść Jana Pawła.

Zdumiał go ten dziwny wybór książek, których słowa nie mógłby pojąć ten, czyja dusza już się wprzód nie otworzyła szerszemu światła promieniowi. Aby się w nich rozmiłować, aby je ocenić, potrzeba było żyć już w zaklętym poezyi świecie. Kto ją do niego wprowadził? Sama-li weszła, wprost od bajek niańki przeskakując do najwznioślejszych pieśni i najdziwniejszych marzeń, jakie człowiek kiedy wyśpiewał

i wydumał? Zamyślony stał długo nad temi książkami, nad stołem pracy. Ale wyobraźnia poczynała zbyt żywo malować mu Sarę, a może i spotkanie z nią w tym ustronnym kątku, opromienionym nadziejami młodemi; więc uciekł szybko, nie oglądając się za siebie, nie widząc nawet dzbanka, który stał u drzwi na pół wyschły, może na pamiątkę po nim rzucony w tym kątku, zkąd go tyle razy brał do ust spragniony...

Uciekł, ale w myśli jego pozostał wyryty obraz Sary, zwieszonéj nad książką w izdebce poddasza, na skrzydłach fantazyi goniącéj po eterach za widziadłami oczom otaczających ją niewidzialnemi; i śnił o niéj, choć odpychał od siebie ten obrazek coraz cudowniéj rozrastający się w wyobraźni i sercu.

Następnego dnia Sara rumieńszą go powitała twarzą, jakby wiedziała, że zajrzał w jéj życie i tajemnice jego pochwycił, ale znowu nic z sobą nie mówili! Odchodząc, obejrzał się i zobaczył ją w oknie wspartą na ręku, śmieléj ścigającą go wzrokiem, długo, długo, dopóki nie znikł jéj z oczu. Sto razy pociągany siłą tego wejrzenia, chciał się zwrócić, zatrzymywał, wahał, głowa mu się kręciła, burzyło serce, ale zawsze surowe słowo obowiązku popychało go naprzód żelazną swą ręką.

Powrócił do smutnego dworku Dormundowéj słuchać gderania staréj Marty, narzekań biednéj matki, marzeń chorego chłopięcia, którego dalekie nadzieje przy coraz słabszém zdrowiu dziwnie smutno brzmiały. Karol choć się trzymał wolą i młodością, wyglądał jak podjedzona przez robaczka roślina, zbladły, kaszlący, z wypieczonym rumieńcem, a każda chwila zapału przybierała w nim jakiś charakter gorączkowy, i opłacała się upadkiem, prostracyą późniejszą.

Stanisław, który się do nich codzień bardziéj przywiązywał, postrzegł to pierwszy, ale nic powiedzieć nie śmiał matce, aby jéj nie przerażać, a dla własnego uspokojenia pobiegł do doktora Branta, przyjaciela wdowy, z zapytaniem o Karola.

Doktor Brant, poczciwe człeczysko, otyły, spokojny, flegmatyczny Niemiec niegdyś, dziś przez pół Polak długiém w kraju zamieszkaniem, stoik i systematyczny optymista, choć miał serce najlepsze, za punkt honoru lekarski uważał nigdy go nie pokazywać. W najgorszych razach, gdy miał wybuchnąć z czułością, zażywał tabakę dla pokrycia uczucia, które twarz jego chwilowo zmienić mogło, a w potrzebie kichał i nosa ucierał, póki znów siebie nie opanował i nie wdział codziennéj maski. Choroba, śmierć, ruina, zimnym go zawsze znajdowały; ale co ten chłód wyrobiony pracy i boju kosztował!

Doktor miał zawsze mnóztwo pacyentów, bo od większéj części z nich nic nie brał, a bardzo wielu jeszcze na lekarstwa dawać musiał, trudno bywało przystąpić do niego, ale mundur akademicki znajdował zawsze drzwi otwarte. Puszczono więc zaraz Szarskiego, choć to była godzina spoczynku, w któréj poczciwy stary z książką w ręku, nazywało się, że czytał, ale w istocie drzemał, kłamiąc sam sobie trzymanym przed sobą drukiem. Sen poobiedni uważał on za szkodliwy i zakazywał go wszystkim, sam złego przykładu dawać nie chciał, i nie przyznając się nigdy do poobiedniéj drzemki, na książkę ją składał. Gdy Szarski wchodził, książka upadła, doktor ją podniósł żywo i poskoczył naprzeciw przybyłemu.

— No, a co tam powie pan akademik?

— Pan konsyliarz nie przypomina mnie sobie?

— Tak, tak! trochę, rzekł przypatrując się stary; ale nie zupełnie... A co? chory jesteś?

— Miałem przyjemność poznać konsyliarza u pani Dormundowéj, u któréj mieszkam.

— A! a! to to! ja też myślę! przypominam sobie! przypominam! No, no! nie tracąc czasu i bez ceregielów, co ci jest?

— Mnie nic, bom zdrów; zresztą gdybym był i chory, nie zabierałbym tém czasu konsyliarzowi... ale z wielką nieśmiałością o kogoś innego chciałbym się zapytać pana...

— A no, to pokażże mi tego kogoś innego.

— Jestem od niedawna u pani Dormundowéj, ale mnie syn jéj niepokoi.

Doktor machnął ręką jakoś dziwnie i silnie zażył tabaki.

— On mi się zdaje niezdrów, ale przed matką nic mówić nie śmiem... ona go tak kocha! Dziecko słabowite, a pracą się dobija... kaszle, sen ma niespokojny...

— Tak jest! tak jest! zamruczał Brant: no! ale na to nie ma rady... Straszyć matki nie można, a powiem ci szczerze, mój poczciwy chłopcze... z tego biednego Karolka nic nie będzie.

— Jak to? zawołał Szarski: on w istocie jest już tak źle!

— Patrzę ja na niego od dawna, rzekł z zupełną na pozór obojętnością lekarz. Ojciec jego umarł z suchot, dwie siostry z téj słabości życie skończyły... i on ma suchoty...

— Ale przecię na to możeby się znalazła jaka rada, sposób, środek?

Doktor pokiwał głową.

— Darmo—rzekł—darmo: to choroba zabójcza; nie przepuszcza ona wcześnie wyznaczonym dla siebie ofiarom. Chłopiec ten umrzeć musi, czy się będzie uczył czy nie, czy go zalejemy lekarstwami lub zostawimy naturze.

— A! panie! panie! i pan to tak mówisz zimno!

— Cha! cha! smutnie i sucho roześmiał się stary, uciekając do tabaki i kichając głośno z wykrzywieniem twarzy karykaturalném:—dawnom ja łzy wypłakał moje! Napatrzyłem się ja tych kwiatków, co świetnie wykwitały przed porą i zwiędłe padały bez owocu... Świat pełen tych niedojrzałych nadziei, a nauka...

— Na cóż się zdała nauka?

— Na to, żebyśmy wcześnie znali bezsilność naszą, odparł spokojnie doktor.

— Ale tak młody?

— Tém gorzéj.

— I nic jeszcze nie zagraża mu tak bardzo.

— A jednak poznałeś się na niebezpieczeństwie waćpan, co nie jesteś lekarzem.

— A! nieszczęśliwa matka! przerwał Stanisław, łamiąc ręce: co ona pocznie?

— Pójdzie za nim! rzekł Brant; taka koléj rzeczy ludzkich.

— Ale nie możnażby przerwać biegu choroby? powstrzymać go od pracy?

— O! są sposoby tysiączne, gorzko się śmiejąc zawołał stary: naprzykład zawieźć go do Hyères, do Nicei, do Sycylii, w południowe kraje, usunąć od nauki, wstrzymać bieg życia, by opóźnić rozwój choroby... Ale powiedzże mi, czy godzi się o tych sposobach wspo-

minać komuś, co nie ma prawie chleba kawałka? Godziż się téj nieszczęśliwéj matce zatruć ostatek jéj chwil swobodnych, rzucając w jéj duszę nasienie zwątpienia? O! myślałem ja o tém nieraz... gdybym mógł jeszcze się rozpłakać, płakałbym może; ale do czego się to zdało? Napisano, spełnić się musi.

Szarski stał osłupiały i przygnębiony.

Doktor spojrzał nań, ruszył ramiomani, i niezrozumiale, na pozór gniewnie, coś do siebie mruczeć począł.

— Siadaj, panie akademiku, rzekł. A nie zrób mi jakiego głupstwa: choć pod wąsem, widzę, żeś dziecko jeszcze; nie wydaj mi się z sekrteem, nie zatrwóż ich, nie okazuj, że wiesz o wyroku, bądź wesół, spełnisz dobry uczynek.

— Ale cóż mam począć z biednym wychowańcem moim?

— Prawdziwie nie wiem, rzekł stary. Trochę go odciągniéj od nauki; uważaj, żeby nic nie przyśpieszało biegu krwi jego, żadne żywsze uczucie, żadna gorączka pragnienia, żadne wybujanie myśli... a! bo i myśl zabija!

— A lekarstwa? nie dasz pan żadnego lekarstwa?

— Lekarstwa! roześmiał się doktor: nie, nie! nie leczmy go, nie trujmy, to darmo! Byłem przy śmierci ojca, przy łożu dwóch siostr jego, i wiem, że nic mu nie pomoże. Na co na nim czynić próby, które się na nic nie zdały?

Pomilczał doktor spuściwszy głowę, a Szarski przerażony, skostniały, zabierał się wychodzić, gdy stary widząc go tak pomieszanym i strwożonym, chwycił go za ręce, popatrzał mu w twarz, zamyślił się.

— Słuchaj, poczciwy chłopcze, jak ty mi się zowiesz?

— Szarski.

— Szarski? Szarski? A! będę już pamiętał! Nie bądźże mi babą! Potrzeba męztwa... Uważaj i na siebie: wynoś się, gdy będziesz mógł, z tego domu; nie dobrze ci tam być może, jesteś młody i spracowany... ot co ci poradzę.

— Ale na Boga, mógłżebym, śmiałżebym ich tak w chwili niebezpieczeństwa samych porzucić!

— A gdyby tobie także to mieszkanie, pobyt w téj atmosferze choroby, obcowanie z tém dzieckiem szkodzić miały? zapytał doktor.

— Moje życie nie tak mi drogie, ani tak szczęśliwe, żebym go dla obowiązku nie poświęcił; nie jest to żadną ofiarą.

W starych, zagasłych źrenicach lekarza łzy niedostrzeżone zakręciły się na chwilę, i na rozkaz pana wróciły gdzieś nazad do serca, wzruszenie tylko objawiło się lekkiém głosu drżeniem.

— Niech cię uściskam, kochany Szarski! zawołał. Walnyś chłopak i Bóg ci pobłogosławi. A słuchaj... gdy ci będzie czego potrzeba, gdybym kiedy mógł ci się przydać na co, daj mi słowo, że przyjdziesz do mnie.

Staś w milczeniu się ukłonił. I tak się rozeszli.

Smutny powrócił nazad na Łotoczek akademik, a świat ten, który bliżéj poznawać zaczynał, coraz mu się stawał niezrozumialszym. Z jednéj strony nieubłagane jakieś losy dościgające na pozór niewinne ofiary, z drugiéj zepsucie i szkarady; tam nieszczęście niezasłużone, tu powodzenie niepojęte; zwikłanie najdziwaczniejsze wypadków, osób i przeznaczeń, jak czarny kłębek splątanych nici snuły się w nieporządku po jego głowie. Wprawdzie wiara, którą w sercu zachował nienaruszoną z dzieciństwa, któréj nawet nauki

wykładane sceptycznie zachwiać nie mogły, okazywała mu w tém wszystkiém potężną prawicę bożą, i sprawiedliwość opatrzną a niezbadaną w swych wyrokach; był przekonany, że wszystko dzieje się jak się dziać powinno, ale co chwila wątpliwość ściskała mu serce zranione. Za mało żył jeszcze, by mógł dojrzeć odwrotnéj strony tego medalu, która tłómaczy zagadkę życia,—i smutek osiadł w jego duszy, smutek poetyczny, tęsknica, która gdy raz zaleje głębię serca, już się z niéj ono nigdy nie obmyje. Wstępując na próg domowstwa na Łotoczku, ujrzał oczyma przeczucia, jak widmo straszliwe, karawan w tych wrotach pustych, matkę bez duszy leżącą na schodkach, grobową ciszę w izdebce, która się śmiała kradzionêm weselem.

Tak trzeci już rok dobiegał od wyjazdu Stanisława z Krasnobrodu, a nic nie zwiastowało poprawy losu i zmiękczenia rodzicielskiego serca.

Nieraz zamyślał się on nad przyszłością swoją, i nie widział dotąd, jak z tego zawikłanego zadania wynijść potrafi. Uczył się, kształcił, podrastał w siły, ale jak użyć ich było? Tu i owdzie na drodze przesuwały się przed nim postacie dziwne, począwszy od pijanego i wpół obłąkanego Krysztalewicza, który był pośmiewiskiem całego miasta, do Iglickiego, co na starość bezimiennemi krytykami i lichą żył pensyjką; lecz żadna nie dała mu miary tego, czém jego przyszłość być mogła.

Co począć z sobą, skończywszy nauki? pytał się drugich i siebie... Odpowiedzi brzmiały sprzecznie, nie-

zrozumiale i ciemno! Jedyną drogą, jaką mu ukazywali wszyscy, było nauczycielstwo, powołanie wielkie, piękne, ale nie dla każdego otwarte, bo kto sam chce się uczyć całe życie, ten nie potrafi dopomódz dzieciom w pierwszych krokach na téj ciernistéj ścieżynce. Stanisław od razu wymazał ze swych widoków chleb ten powszedni jemu podobnych wyznawców, którego suchy kawałek pożywać trzeba często we łzach utrapień i upokorzeniach, zawsze w tęsknocie ducha i znużeniu.

Gdzież się było udać? co robić, aby żyć?

Z piórem w ręku, mówił sobie, nie umrę z głodu. Nie pragnę wiele, pozostanę sam jak jestem, a pół życia poświęcę, by drugą połową poglądać w niebo swobodnie i snuć złote pasma poezyi.

Marzył tak, marzył... bo niestety! nie znał życia, nie pojmował jak ciężko duchem pracować na potrzeby ciała, jak stokroć lepiéj wypłaca się rzemiosło, bezmyślne zajęcie ręki, lub proste wykrętarstwo i łowy na grosz cudzy. Czasami jeszcze przysłuchywał się, czy głos jaki przebaczenia, czy wezwanie rodzicielskie nie przerwie téj ciszy, która go tak trapiła? myślał, że ojciec, że matka zawoła... ale oboje milczeli.

Po bytności Falszewicza upływały miesiące za miesiącami, lecz ani list, ani wieść żadna nie przyszła. Zostawiony sam sobie, dni całe rozpaczał, to znowu się odżywiał, przewidując najpomyślniejsze w świecie rozwiązanie. Szczerba i inni towarzysze podtrzymywali go w tych nadziejach, choć prawdą a Bogiem, gdy się tylko oddalił, w cichych rozmowach wieczornych smutnie nieraz kłopotali się i troskali, co pocznie z sobą ten nieopatrzny sierotka, który na jutro w tło-

moczku podróżnym nic nie miał prócz wielkiéj odwagi i wielkiéj niezręczności? Ale przy największéj o niego troskliwości, cóż mogli ci przyjaciele, sami jeszcze zawiśli od tysiąca wypadków i niemający powszedniego chleba tyle, by się z nim rozłamać? Pytali się jedni drugich, szukali sposobów, i wiele się nadumawszy, postrzegali się zawsze, iż nic nie znaleźli pewnego, iż serce im dyktowało nie głowa.

W domu państwa Ciemięgów, których niekiedy odwiedzał Szarski, parę razy spotkał się ze starym Iglickim, a ten widząc, że młody chłopak, acz bardzo dla niego grzeczny, ani się do niego przysuwał, ani go zaczepiał, ani wiedząc o jego pierwszéj krytyce zdawał się o nią dbać i myśleć o zapobieżeniu jakiéj drugiéj, sam przysiadać się począł do niego ze swoją szyderską miną, któréj ostrości i akcentu wolterowskiego dodawał jeszcze kieliszek.

Nieraz tak zostawali się w kątku prawie sam na sam, gdyż poczciwego pana Ciemięgi liczyć nie było można, nie mieszał się bowiem do rozmowy, chyba serdecznym potakując jéj śmiechem.

— Co waćpan myślisz daléj, mości poeto? zapytał go raz Iglicki. Ciekawym, co tam za przyszłość budujesz sobie asindziéj?

— Dotąd żadnéj, odparł Szarski; robię co mogę i com powinien, a Bogu poruczam resztę...

— Dobrego waćpan wybrałeś sobie plenipotenta; szkoda tylko—uśmiechnął się Iglicki—że dużo ma spraw i bardzo zajęty... trzeba trochę i samemu o sobie pomyśleć... No! wydałeś waćpan poezye, młoda trawka, zieleninka, a daléj co będzie?

— Wydam drugie, panie professorze.., a już gdyby

i pokrzywą były, na zieleninę się nie zdadzą, bo będą za stare...

— Cha! cha! roześmiał się krytyk: i to dobrze. A co daléj?

— Wydam jeszcze i coś trzeciego! rzekł spokojnie akademik.

— Dobrze to tak waćpanu mówić: wydam, wydam! jakby to można trząść z rękawa jedno po drugiém to, co się wydaje, i jakby to się człowiek nie wyczerpywał. Léj, léj z naczynia, po czystym napoju przyjdą lagry i fusy, wreszcie ostatnia kropelka.

— Życie do tego naczynia dolewa.

— Albo z niego czerpie jeszcze; Ale czémże waść będziesz podsycał to życie?

— Widokiem świata bożego, ludzi, żywota...

— Tere fere! roześmiał się znów stary: *circulus vitiosus*. Ale prozą mówiąc, z czego waćpan żyć myślisz i co z sobą zrobisz, mundur zrzuciwszy?

— Zdaje mi się, że powołanie pisarza...

— A to pozwólże sobie powiedzieć starszemu od siebie, żeś z kretesem niedołęga, jeśli ci postało w głowie żyć z pióra i natchnienia! Śliczne sobie życie gotujesz, nie ma co powiedzieć!

Śmiech, który z ust jego dał się słyszeć, zmieszany ze zgrzytaniem zębów, miał w sobie coś okropnego. Professor wypróżnił szklankę, i ożywiony gorączkowo, mówił daléj:

— A wiesz waćpan, co cię czeka? Jeśli masz geniusz, o czém bardzo wątpię, to szpital, kij i torba; jeśli masz tylko talent (na dwoje babka wróżyła), życie kradzione po trosze, nędzne i bez jutra; jeśli masz w dodatku sumienie... prześladowanie twych

współbraci; a jeśliś tylko filut i zręczny matacz... no! to się kłaniam przed tobą! zrobisz fortunę, ale nie piórem. Pióro ci tylko pomagać będzie, wyglądając z kieszeni. Patrz waćpan, co ja mam na starość, ja, com najadł się oklasków do niestrawności i przepił się pochwałami do nudy... Mam dwa surduty, stary frak, łotra sługę, co mnie kradnie pod pozorem, że ja się do jego żony umizgam, więc jemu wolno do mojéj szkatułki... i tyle chleba, ile potrzeba, żeby z głodu nie umrzeć, a tyle przyjaciół, co się mnie bojąc kłaniają, żeby mieć kiedy niekiedy butelkę wina ich kosztem. Jak nogi zadrę, nie będzie mnie, ręczę, za co pochować; a spadkobiercy wezmą sto egzemplarzy wydanych przezemnie wypisów, które nie poszły na oprawianie świec, kilka par niedonoszonych butów... resztę szelma Janek ukradnie, a i ten nie wiele się pożywi.

Mam sześćdziesiąt kilka lat, z których trzydzieści blizko spędzonych w mozołach nauczania smarkaczów i nad papierem. Co było w kraju najznakomitszego, ściskało mi dłoń, kłaniało mi się onego czasu i wróżyło góry złote... Byłem poetą ulubionym i koryfeuszem przez lat kilka; jestem dotąd inwalidem krytykiem... a często dwóch złotych nie mam w kieszeni i obiad jem na kredyt, jeśli go sobie kpinkami nie kupię... No! to ja! ale waćpan powiesz, że to nie racya... Pokażę waćpanu stu lepszych odemnie, nie w istocie (bo ja taki więcéj wart jestem od nich wszystkich), ale na oko! Masz, wybieraj, kogo chcesz, i pokaż mi czy B. C. D. E. F... zapracowali chleba kawałek dla siebie lub dla dzieci okrajec? Przyznam się waści, że gdyby mi Pan Bóg dał drugi raz rozpocząć życie, wolałbym się wyuczyć szyć bóty...

Siedziałem na szkolnych ławach z takimi osłami żem do nich gadać nie chciał, tak od nich głupstwo z daleka śmierdziało. Wszyscy są dziś możnymi i zasłużonymi obywatelami, i ich lokaje lepiéj się mają odemnie...

— Ale professorze, przerwał Stanisław: to są argumenta przeciw życiu literata ciągnione z kieszeni, a tych nie dosyć. Ubóztwo ani kala, ani podobno zabija, a kto odważnie je uściśnie, w przyjaźni z niém żyć może.

— A! ha! ha! chcesz widzę drugiéj strony medalu; będziesz ją miał, zawołał Iglicki. Chodzi ci o duchową część, jak ją dzisiaj nazywacie. Posłuchaj! Ze stu tysięcy ludzi, dla których pisać będziesz, dziewięćdziesiąt dziewięć podobno czytać cię nie zechce; pozostaje tysiąc czytelników, z których najmniéj dziewięćset takich z pozwoleniem kpów, że gdybyś każdego wziął z osobna, a przypatrzył mu się, plunąłbyś i nie dotknął pióra... Tandem wyrachujemy się i ze stu pozostałych. Z tych połowa będzie innéj szkoły i smaku nie waszecinego, na bok z nimi; połowa połowy nie podoba sobie co piszesz; reszta nie zrozumie cię; a jeżeli wypadkiem jeden przytuli do serca...

— Professorze! i to dosyć!

— A! dosyć, nie ma co mówić! nie wiele wymagasz! Słuchaj-no daléj, co ci pozostaje. Jedni przeczytają i nie pojmą; drudzy przeczytają, przez pół zrozumieją i wykrzywią się; inni upatrzą, żeś ich czémś osóbiście ukłół, bo *genus irratabile* [niekoniecznie sami poeci, gorzéj daleko osły, z którymi mieć będziesz do czynienia. Cóż dopiero, gdy przyjdzie rozpierać się z krytyką! ha! ha! tu dopiero złupią waści! Krytyki piszą współzawodnicy twoi, „ludzie pióra,“ żółciowi, śledzien-

nicy lub czyhający na odznaczenie się, jeśli nie myślą to złością... Kto nie może śpiewać, ten krzyczy, byle go słyszano. Najlepsze moje krytyki winienem, przyznaję, chętce ugryzienia i ochocie popisu. Wykręćże się tu, jeśliś mądry, ze szpon krytyki! Ten chce rozum pokazać i myśli, że go dowiedzie, wybierając z białego same plamy czarne; temu asindziéj zalałeś za skórę, boś odwiódł uwagę od jego lukubracyi; inny zagniewać się gotów, żeś młokos; inny, że mu się nie kłaniasz (ja sam się za to gniewam); daléj przyjdą znowu studenci, co na waszecinéj łysinie uczyć się zechcą dawać pstryczki... i tak daléj, i tak daléj... Naostatek, kiedyś przez ciernie i głogi dolazł, dowlókł się do tego, co ci się już zdaje wierzchołkiem— pst! stój! nowy wierzchołek Olimpu nad głową twoją z obłoków wyskoczył! Zaprzeczasz! to nie góra, mgły tylko; ale ba! sterczy jak wół! zaprzeć niepodobna. A waść już bezsilny w dole! z obrzękłemi nogami. Nowi mistrze, których miałeś honor ćwiczyć w infimie, zburzyli świątynię i zbudowali sobie nową na prędce, a ty poganinie, co się starym kłaniasz bogom, dostawszy kolanem... lecisz w dół na łeb i kwita!... Na tém się kończy zawód literacki... Dopiero gdy umrzesz, a dobrze cię obwąchają, że trupem śmierdzisz i wstać już nie możesz, a nie wskrzesi cię już nawet kadzidło—jeden, co całe życie kąsał za łydki, pióro temperuje do szumnego nekrologu, drugi do panegiryku, trzeci do sprawozdania, a czwarty do wydania dzieł kompletnych, na których zarobi więcéj napisawszy dwie stronice prospektu, niż ty przez całe życie pracując nad niemi... *Sic transit gloria mundi!* Pozostaje po jegomości kilka tomów makulatury,

imię, którém się rzucają następcy jak piłką studenci, trochę kości, trochę smrodu i wszystkie głupstwa, jakie się zrobiły za życia, bo te są najnieśmiertelniejsze. Mogą nie wiedzieć ile cię nocy bezsennych kosztował twój wielki poemat, ale pewnie dojdą, jeśliś miał brodawkę pod nosem, lub szósty palec na nodze...

Niepodobna wypowiedzieć, jakim serdecznym, poczciwym śmiechem głupoty naiwnéj, dusząc się, zachodząc i pryskając co chwila, towarzyszył pan Ciemięga téj długiéj deklamacyi professora. Chwytał się za usta, żeby mu nie przerywać mowy, bił się po twarzy, odwracał, a nieszczęsny nałóg chychotania brał nad nim górę. To bynajmniéj nie przerywało przywykłemu od lat wielu do śmiechu gospodarza professorowi, który swoje prawił, wlepiając oczy w młodzieńca i śledząc, jakie na nim czyni wrażenie.

Stanisław słuchał go z pewnym rodzajem litości, jaką wzbudza nędza i moralny upadek, a gdy skończył tryumfalnie wpatrując się w niego, odparł powoli:

— Professorze, wszystko to prawdą być może. Ale powiedz mi, gdy kto ma w duszy słowo, które go dusi, które czuje, że wypowiedzieć powinien, choćby to słowo przeszło niesłyszane, choćby było maluczkie i nieznaczące, choćby na jego głowę kamienie i klątwy sprowadzić miało, na jego grzbiet łachmany, na życie nędzę i zapomnienie... czyż tego słowa, z którém na świat przyszedł, nie wyrzec mu głośno i śmiało! Na cóżby się życie zdało?

— Tfu! tfu! zaśmiał się stary, a toś widzę oszalał; zachorowałeś na proroka! człowiecze!!

— Nie! i najskromniejsze powołanie jest niemniéj

powołaniem, i najmniejsze słówko jest słowem, i jedna iskierka ducha jest duchem, a kto ją zje w chlebie lub zagasi ze strachu... przeklęty!

— Waryat nieuleczony! zakończył Iglicki spuszczając głowę.

Ciemno wszędzie, głupio wszędzie,
Nic nie było, nic nie będzie.

Po chwili milczenia stary podniósł głowę, pokazał w uśmiechu dwa rzędy obnażonych dziąseł, a widząc, że Szarski stoi niewzruszony i nietknięty jeszcze jego filipiką, rozpoczął na nowo:

— Kiedy cię już tak świerzbią palce, że pisać chcesz koniecznie i laury zdobywać, posłuchajże mojéj rady. Poezya nic potém, zostań sobie uczonym. Nie mówię o prawdziwie uczonym, bo tych mało na świecie, ale tuzinkowym może każdy kto chce. Jest na to pewna i niezawodna recepta. Najprzód obierasz sobie specyalny przedmiot jeden i poczynasz się z nim obeznawać. Tu żebyś był najograniczeńszy, po jakim roku trochę więcéj go się nauczysz i zbadasz od innych, co go tylko musnęli. Będziesz już mógł wystąpić. Występ pierwszy zależy zawsze na zjadłéj, nielitościwéj krytyce tych, co cię poprzedzili. Naturalnie, świat rozumując logicznie, dochodzi do wniosku, że ten, co na swych poprzednikach psy wiesza, więcéj coś od nich wiedzieć i umieć musi. Można z restrykcyą pogłaskać takich, co zawadzić nie potrafią, ale reguła ogólna, formuła jedyna:—co poprzedziło, w kąt! Stajesz tedy od razu na wyżynie, nikogo nie uznając nad sobą,

i obejmujesz w nowém państwie władzę. Tém państwem może być zarówno historya miasta, kraju, prowincyi, biografia, a co najlepiéj badanie jakichś starożytności, o których nikt nic nie wie, więc i waćpan nie jesteś obowiązany więcéj wiedzieć od drugich; dość, byś dowiódł niewiadomości poprzedników. Znam ludzi, którzy sobie zdobyli stanowisko bardzo uczciwe tak maluczkim ekspensem pracy i nauki, że aż śmiech spojrzeć na ich robotę. Całe życie robili przedmowy, noty, przypisy, kommentarze *et sic porro....* Ale znów, reguła ogólna: imaginacyę, talent, życie schować potrzeba, kiedy są, do kieszeni; iść suchą nogą po ziemi, powoli, bitą drogą, a zapewniać głośno, że to gościniec całkiem nowy i nieznany... Wpada naprzykład waści w ręce stary szpargał jakiś, ni w pięć ni w dziewięć; przepisujesz go sobie ziewając, na czysto z wielkiemi marginesami, gdzie niegdzie dodasz notę uczoną, jeśli z łaciny to Ducange'a, jeśli polską to z niewyczerpanego Czackiego lub innéj jakiéj encyklopedycznéj książki, a jeśli można zlepioną z dwóch lub trzech, co najwyżéj cię stawi, bo nie tak łatwo pożyczkę wytropić; nareszcie rzniesz od ucha poważną przemowę, sprzedajesz drogo, poprawiasz niedbale, drukujesz, i śmiejesz się z tych, co kupują, żeby nie czytali. Dwa lub trzy dzieła tego rodzaju dają ci naprzód tę zasługę, że w oczach wszystkich uchodzisz za istotnie uczonego, poważnego i zasłużonego człowieka, czynią cię członkiem kilku towarzystw, i od razu stajesz na nogach, na wieki wieków, amen. Daléj już jak po maśle.

— Zmiłuj się pan! zawołał Stanisław: ależ są ludzie istotnie uczeni...

— A są, kochany panie! ale ci pewnie nie pójdą w szranki z lada fanfaronem, który dla profanów wydaje się studnią erudycyi, a jest w istocie pomalowanym osłem. Mamy i my w literaturze naszéj massy takich wydawców, tłómaczów, rozprawiaczów i erudytów, co wczoraj się czegoś trochę poduczywszy, jutro już uczą publikę, i idzie to im bezkarnie. Ja, wybierając z literackich powołań, najprędzejbym sobie taką synekurę obrał, niewymagającą wielkiego szafunku myśli i zdolności. Można w ten sposób zbierać podania, pieśni, akta i dokumenta, chronologicznie je układać, wydawać pamiętniki, nie opatrzywszy się, że były już tam parę razy wprzód drukowane, pisać życiorysy z metryk i rozprawy z rozpraw, tęgo tylko a głośno łając poprzedników, bo w tém główna sztuka!

— Ależ krytyka?

— Krytyka rzadko kiedy sama śledzi i bada. Będzie panu zadawała to i owo, że tego za wiele, że tamtego za mało, ale w sedno kradzieży, powtarzania, bałamuctwa, nieuctwa nie trafi. Lęka się rozpoczynać wojny o naukę, bo zadać brak jéj komu, gorzéj daleko niż zaprzeczyć talentu.

— A sumienie? spytał Stanisław.

— Sumienie razem z talentem powinno iść w tym zawodzie do kieszeni, jako rzecz przeszkodliwa i zbyteczna. Erudycya i nauka gruntowna a prawdziwa nabywa się mozolnie, namiętnością wiedzy, poświęceniem życia, powolną pracą, ale nic znowu łatwiejszego nad pozór jéj, który z lada zbiorków, trzęsianek, encyklopedyjek wyciągnąć sobie można. Dodajmy wiarę w siebie, jeśli nie istotną, to także pozorną, zupełne wyrzeczenie się niepotrzebnéj skromności, a najwięk-

szą surowość względem drugich... masz całe uzbrojenie. Ludzie zawsze skłonni są uwierzyć tym, co o sobie dobrze trzymają. Dixi! skończył professor i wstał chwiejąc się z miejsca.

— Czas do domu!

Tą mową i wielu jéj podobnemi, wejrzeniem na świat niewesołém, ani się zrażał, ani przestraszał Stanisław. Wiedział on, przeczuwał, że nieunikniony los ludzi orzących piórem i jego spotkać musi; ale wierząc w konieczność téj doli, nie próbował się jéj uchylić, zbroił się, by wytrzymać. Są czasem takie przekonania niecofnionych przeznaczeń, których nawet spodziewane męczarnie zachwiać nie mogą.

Szarski obojętnie spoglądał na oczekujące go cierpienia, pracował, i drugi już rękopism swój, zawierający znowu niestety! poemat (tylko) z ludowych podań, przygotował do druku. Dał go czytać najprzód Szczerbie, potém ośmielony zaniósł professorowi Hipolitowi, a że w téj chwili professor był jakoś lepiéj z jednym z wydawców ksiąg, mającym jeszcze nierozwiniętą, ale już wykluwającą się chętkę do nakładu na książki polskie, bez wiedzy nawet Szarskiego zaniósł go temu panu.

Księgarz ten miał zdolność instynktową do swego rzemiosła (grzeczniéj mówiąc handlu płodami ducha ludzkiego), ale sam nie znał się na niczém, i dla niego, jak sam powiadał, jedynym termometrem dobroci dzieła była liczba sprzedanych egzemplarzy... Obejrzał więc rękopism, pokiwał głową na podania ludowe

(lud jeszcze niebardzo wówczas był w modzie), poskrobał się na tytuł poematu, ale że coś już o tém wiedział, jak Dworzec wyszedł na pierwszych poezyach Szarskiego, chętka go brała nabyć rękopism.

— Zobaczymy, rzekł do professora: zobaczymy... zostaw mi pan rękopism, przejrzę go, pomyślę.

Wiedział dobrze co to ma znaczyć protektor, i pobiegł na Łotoczek do Szarskiego, któremu gorąco, po swojemu, ścisnął dłoń, mówiąc z twarzą wesołą:

— No! twoja *Pryszka* (taki był tytuł poematu nowego) jest już w ręku bibliopoli; niewątpliwie da ją czytać Iglickiemu, i jego zdaniem kierować się będzie, Ruszaj zaraz i staraj się arystarcha na stronę swoją przekabacić... zaproś go do licha choć na kotlety z groszkiem i porter, to cię więcéj nad dwadzieścia złotych kosztować nie może, a księgarz kupi poemat.

— O! kochany mój professorze, rzekł śmiejąc się Szarski: jakże ty mnie nie znasz! mógłżebym ja przekupować krytyka?

— Zlituj się, choć mu się pokłoń!

— O! i to nie!

— Ale ci chodzić przecię powinno bardzo o piękne, porządne wydanie twojego dziecięcia, bo choć i tu bez setnych omyłek się nie obejdzie, trzeba, byś wiedział, że książki drukowanéj u Dworca na bibule nie znajdziesz w żadnym porządniejszym domu. Rzadką jest literatura nasza po salonach, gdzie się jéj wstydzą, lub kładą tylko kupiwszy na prędce, gdy się jednego z nas spodziewają... Ale Dworzec ma swoje kółko czytelników: przez niego nie dasz się poznać światu wyższemu, i nie zyskasz obywatelstwa w literaturze, póki cię pan... w żółtą nie oprawi okładkę.

— Bądź co bądź, odpowiedział Szarski: że nie pójdę prosić, że nie potrafię pochlebiać, to pewna...

— A! mój Boże! jakże ci z tém wiekuistém dzieciństwem ciężko będzie na świecie! odparł poczciwy professor. Czemu nie naśladujesz choć trochę Bazylewicza, który już krytyka ostatnim groszem karmi i poi, pochlebia mu, aż włosy przytomnym stają na głowie, a za oczy drwi z niego, aż uszy więdną.

— Bazylewicz ma inne, ja inne pojęcia świata i osobistéj godności; każdy z nas idzie właściwą swojemu charakterowi drogą. Ja ludzi szanuję i chcę ich widzieć dobrymi; on bez zgryzoty ze słabości ich korzysta.

— I wyjdzie lepiéj od ciebie.

Staś westchnął.

— Inaczéj być nie może, odpowiedział cicho. Mnie już nie przerobisz kochany professorze.

— Szanować cię muszę, rzekł śmiejąc się młody pracownik; ale żal mi ciebie serdecznie.

Ścisnęli się po cichu.

Nazajutrz, poseł z drukarni wezwał pana Szarskiego do księgarza. Gdy przyszedł na godzinę wyznaczoną, nie zastał najprzód tego, który miał o losie jego stanowić, musiał czekać, a że cierpliwość go nie kosztowała, siadł w kątku spokojnie.

— Panie dobrodzieju, rzekł śpiesznie wreszcie nadchodząc bibliopola: kommunikowano mi rękopism pański... ale z żalem, z prawdziwym żalem, wyrzec mi się go przychodzi.

— Prosiłbym więc o zwrot jego.

Księgarz począł niby szukać zeszytu.

— Wielki talent, rzekł przewracając papiery: ale dziś wydawać poematów niepodobna; gust publiczno-

ści, do którego się stosować musimy, innych dzieł wymaga. .

— Prosiłbym więc o rękopism, powtórzył Szarski.

— W ten moment! zaraz go znajdziemy! wciąż szukając dodał księgarz. Pan nie ma co prozą?

— W téj chwili nic.

— Wielka szkoda! Wydawać poemat, jest to ryzyko dziś wielkie... ale gdzież mi się podział ten rękopism!... Trudno nawet, żeby się powróciły koszta.

— Czekam tylko na zwrot rękopismu.

— Natychmiast! natychmiast! zaraz go znajdziemy! Leżał na wierzchu. Panie Trenk! panie Trenk! gdzież jest rękopism poezyj w szaréj okładce? poemat?

— Zdaje mi się, że był na kantorku.

— A tak! musiałem go schować w szufladkę... Pan dobrodziéj nie życzyłbyś go wydać u mnie swoim kosztem?

— Nie mogę, rzekł sucho Stanisław.

— Czytałem trochę, rzecz piękna! wiersz szczęśliwy... ale dziś! widzi pan, publiczność... Zresztą, gdyby to przynajmniéj były sonety, ballady...

— Być może, odpowiedział Szarski. Prosiłbym więc o rękopism, zwłaszcza że go widzę na wierzchu.

— A! to on! zawołał bibliopola, chwytając szary zeszyt, tak jest! co za roztargnienie! Niechże pan spocznie, przysiądzie! Bardzo żałuję, że go drukować nie mogę; ale pragnąc poczynającemu talentowi otworzyć drogę, by się dał poznać — odchrząknął—zrobiłbym ofiarę, choć nakład jest znaczny, bo to trzeba wydawać ozdobnie... Gdybyś waćpan dobrodziéj wyrzekł się przynajmniéj honoraryów...

Stanisław uśmiechnął się, nie umiał się wcale targować i nadrabiać chytrością.

— Jakkolwiek one są małe i niewiele znaczące być mogą—rzekł po cichu—ale ja jestem potrzebny; a Dworzec...

— Dworzec! godziż się tego partołę wspominać! Wyda na bibule, ćwieczkami, i któż to w rękę wziąć zechce? Poezya powinna być drukowana z przepychem; zrobiłbym edycyę śliczną... na welinie... Ale... cóż panu daje ten Dworzec?

— Niewiele: sto złotych i dwadzieścia pięć egzemplarzy.

Nieznaczny uśmiech przebiegł po ustach bibliopoli.

— Dziwuję się jego hojności, rzekł ruszając ramionami; ale *oni* mają swoją klientellę i tysiące sposobów pozbycia się wydań, których wielkie księgarnie używać nie mogą. To wcale co innego! Pan drukując u mnie, dajesz się poznać od razu; mój instytut typograficzny ma stosunki rozległe; krytyka nie tknie tego, co ja wydaję... potrafimy książkę przeprowadzić, rozgłosić.

— A! panie, odpowiedział Stanisław: ja dla niéj nie chcę protekcyi, tylko sprawiedliwości.

— Ale to są czasy—przerwał żywo księgarz—że i sprawiedliwość zyskuje się tylko protekcyą!

I począł śmiać się ze swego konceptu.

— Złe czasy! rzekł smutnie Stanisław.

— Prawdziwie—dodał po chwili bibliopola—czuję jakiś pociąg do pana, i radbym, czyniąc nawet ofiarę, zawiązać z nim stosunki, które, jak przeczuwam, korzystne być powinny dla niego... i dla mnie! Cha! cha!... No! żeby nie mówić długo, wezmę poemat, wydrukuję go i dam... i dam...

Tu była pauza długa, oznaczająca silną walkę, a nareszcie z ust się wyrwało:

— Daję panu dwadzieścia pięć egzemplarzy; ale wydam na welinie... korrektę pan sobie sam trzymać będziesz.

— Panie, toby było mniéj niż daje Dworzec.

— Dworzec? Ja panu mówiłem: to wcale co innego; warto coś ważyć, by wydać u mnie. Cóż to za porównanie! Pan inaczéj nie dasz się poznać. Podaję i tak jak mogę najkorzystniejsze warunki.

— Dla pana te sto złotych są rzeczą tak małą...

— Ha! wie pan co! obrzynam sobie poły dla niego! daję sto złotych i dwadzieścia pięć egzemplarzy, ale nie inaczéj, tylko książkami mojego nakładu. Mam tu przedziwne dzieła naukowe, grammatyki... wypisy... chrestomatye, geografie,—to złoto w sztabach... spieniężyć łatwo.

— Na cóż mi się to zdało—rzekł Stanisław—kiedy ja munduru sobie nie mam sprawić za co?

— Zachciałeś pan! wesoło i ściskając go serdecznie począł bibliopola: wszyscy poeci muszą zawsze i wszędzie chodzić z łokciami dziurawemi i w niecałych bótach.

— Nie jest to jednak wygodnie.

Księgarz namyślił się jeszcze trochę, pochodził, może go litość tknęła, czy rachuba jaka.

— Siadaj-no pan—rzekł—i pisz ustępstwo rękopismu; płacę panu... ale... dukatami.

Szarski już się i wstydził odezwać. Pięć oberzniętych, chudych, pogiętych, gdzieś w wista wygranych i stolikom kartowym dobrze znajomych kulfonów leżało przed nim—począł pisać ustępstwo.

Księgarz mu je dyktował formą zwyczajną, do-

dawszy na wszelki wypadek wyrzeczenia się własności, obowiązek utrzymywania korrekty, warunek, że dwadzieścia pięć egzemplarzy oddane będą w pół roku po wydrukowaniu i tysiąc innych drobnych zastrzeżeń na wszelkie wypadki.

Gdy się to skończyło, Staś wstał z krzesła, chowając owo złoto z poszanowaniem, jakie nigdy jeszcze kulfonów tych nie spotkało. Księgarz ścisnął mu ręce, i rzekł, zamykając rękopism do biurka:

— Mam nadzieję, że stosunki nasze pod szczęśliwą gwiazdą poezyi poczęte, długo trwać będą. A teraz— dodał—w interesie pańskim maleńka jeszcze prośbeczka... Ciężko mi inaczéj wydać poezye niż przez prenumeratę, potrzeba prospektu... Napisz pan prospekt na swój poemat, ale nie żałując sobie kadzidła! Postaw się od razu geniuszem!

Szarski się zacofał; sądził, że nie dosłyszał.

— Jak to? co to ma znaczyć? zapytał.

— Ale to stary zwyczaj! każdy przecię autor pisze prospekt, jeśli mu go potrzeba... bo naturalnie serce ojcowskie, rodzicielskie oko najlepiéj widzi przymioty swojego dziecięcia... Cha, cha! pan się naiwnie dziwisz rzeczy tak prostéj!

— Prostéj? powtórzył Stanisław. Ale na miłość Boga! w jakimże to świecie żyjecie państwo, kiedy się to im wydaje prostém, co mnie oburza? Jakżebym ja śmiał pod maską czyjąś wytrąbić swoje pochwały?

Bibliopola śmiać się począł, chodząc po pokoju, ręce pod poły fraka założywszy.

— A! a! co za prawdziwa poetyczna naiwność! No! no! obejdziemy się bez tego, jeśli to przykrość zrobić mu może. Iglicki napisze mi prospekt jaki zechcę,

swojém piórkiem złotém... Ale taką rzeczą po panu i rozbioru poezyi do gazety spodziewać się nie można?

Nowe zadziwienie ze strony Szarskiego, nowy uśmiech politowania bibliopoli.

— Szkoda, rzekł w końcu: bo nie ma pochwał nad te, które ktoś sam sobie pisze! Znam ludzi zręcznych, co udają nawet, że się krytykują, ale krytyka to taka, co podnosi wartość utworu. Wyrzucają sobie naprzykład zbytek zapału, nadto wyobraźni, nadmiar ognia i siły, nieopatrzny szafunek geniuszu i tym podobnie... Tego rodzaju autokrytyki, datowane z Szawel, Taurogów, Półtawy, Tyflisu lub Osieka, często gęsto ukazują się po gazetach...

Szarski smutnie się zamyślił.

— Prędkoż się to drukować zacznie? zapytał, chcąc odwrócić rozmowę.

— A jutro poszlemy do cenzury, za tydzień pieczęć nam przyłożą, a za dziesięć dni będziesz pan miał pierwszą korrektę. Na kontrakta kijowskie książka być musi gotowa, i wyjdzie już z datą następującego roku, aby dłużéj świeżą być mogła.

Z téj atmosfery dziwnego handlu, którego towarem była myśl ludzka, wyskoczył jak z gorącéj łaźni biedny chłopak, a że mu pilno było pochwalić się przed Szczerbą, pobiegł wprost na Trocką ulicę.

Około Dominikanów zeszli się z Bazylewiczem, który udrapowany w płaszcz hiszpański, z głową podniesioną w niebiosa, szedł zapewne powtarzając jeden ze swych nieśmiertelnych sonetów—raczył się wszakże zatrzymać na widok towarzysza.

— Co tam słychać na ziemi? spytał obojętnie.

— A w niebiosach, zkąd powracasz? odparł Szarski.

— W niebiosach! biorąc zapytanie za dobrą mo-

netę, rzekł Bazylewicz: gwiazdy szeleszczą tysiącem promieni, słońca trzaskają, komety piszczą i księżyce mruczą.

— Prościéj jednak mówiąc, co robisz? co marzysz? co piszesz?

— Nic! nic! nic! kocham się tylko! wzdychając piersią potężną, rzekł Bazylewicz.

— Jak to! i mówisz o tém tak chłodno! na ulicy! pierwszemu kogo spotkasz? czerwieniąc się zapytał Szarski.

— Zimny ślimaku co pełzasz po ziemi! wydeklamował Podolak: także to pojmujesz miłość? sądzisz, że się z nią ukryć, że ją w sobie pożreć można? Światu ją głoszę całemu! szukam z niéj chluby przed światem! Mizerna to i zwykła miłość, co się zasklepia w sobie, co milczy... ja ją chcę wyśpiewać poematów seciną...

Noc była! chmury siecią po niebie się wlokły
Z za nich księżyc wyzierał żółty i obmokły...
A ziemia-rodzicielka, w ciemności kapturze,
Odrętwiona czekała na jesienną burzę...

Tak się poczynał sonet, nowe arcydzieło Bazylewicza, które poeta *impavidus* wydeklamował w całości zdumionemu Stasiowi wśród ulicy.

— No? a ty co porabiasz? rzekł z rodzajem litości:—poeta! i nie kochasz się?

— Gdybym się kochał, odparł z rumieńcem Szarski: prócz mojego własnego serca, niktby o tém pewnie nie wiedział.

Rozśmiał się towarzysz.

— Drukujesz co?

— W téj chwili właśnie poemat mój kupił...

Bazylewicz ruszył ramionami.

— Cożeś wziął za niego?

— Zachciałeś! sto złotych!

Rozśmiał się na całe gardło Bazylewicz.

— A! jakież z ciebie dziecko! Byłbyś zarobił tysiąc, rozdając bilety na prenumeratę... Ja na swoje sonety już ich wetknąłem blizko dwieście, a bilet po złotych dziesięć.

— Jabym ich pewnie rozdać nie potrafił.

— To wiadomo, śmiejąc się rzekł towarzysz dumnie; ale ja dam sobie radę: tego wezmę pochlebstwem, drugiego dumą, trzeciego wstydem,—radzi nie radzi, choć może klną w duszy, a bilety biorą. Wszystko mi jedno z jakiém uczuciem pieniądze dają, byle je dawali. Czasem daje się czuć potrzeba perory, rznę im perorę, a mam ich już pięć różnych, ledwie nie na pamięć wyuczonych, do główných sytuacyj zastosowanych, i do kollekty biletowéj ułożonych umyślnie... Trzeba się mnie było poradzić biedaku, byłbym ci dopomógł.

To mówiąc ścisnął końce palców Szarskiemu Bazylewicz, i odszedł tryumfalnym krokiem, powtarzając sonet, który kleił po drodze: *Do pięknéj zamyślonéj.*

Szczerba zdziwił się pięciu dukatom, które mu pokazał na progu Stanisław, i ucieszył z powodzenia przyjaciela, bo i to zdawało mu się wiele na początek, a stosunek zawiązany z księgarzem uważał za pomyślniejszy jeszcze od sprzedaży poezyj. Spędzili wieczór, marząc rozkosznie obaj o przyszłych życia swego planach.

W kilka tygodni potém, gdy już się drukować poczynały poezye, Stanisław z wilgotną korrektą w ręku, wszedł nad wieczór do kamienicy Dawida Białostockiego. Zdziwił się, przeciwko zwyczajowi nie zastawszy Sary, która oczekiwała codzień na niego w salce oparta nad książką, od drzwi witając go wzrokiem.

Na jéj miejsce wyszła zabrukana służąca, która mu krótko i sucho powiedziała, że Sara od wczoraj chora.

— Cóż to jest? spytał niespokojnie Szarski.

Żydówka ruszyła tylko ramionami i wyszepleniła, że doktor Brant właśnie jest u słabéj.

— A nie mógłżebym ja się z nim widzieć? rzekł akademik.

— Albo ja wiem! odpowiedziała wychodząc.

Po chwilce, mimo téj obojętnéj odpowiedzi, poznał Staś chód ciężki i powolny starego doktora, który zażywając tabakę stanął w progu.

— A! waćpan tu co robisz? spytał zdumiony.

— Ja... ja tutaj lekcye daję...

— Lekcye daje! lekcye daje! ha! ha! no! no! no!

— Jakże się ma uczennica moja? co to jest?

Doktor, który długo stać nie mógł, usiadł przy drzwiach, i baczne wejrzenie rzuciwszy z pod brwi na akademika, obejrzawszy się dokoła, rzekł dość obojętnie:

— Dalipan nie wiem co jest!... Osobliwsze dziecko i osobliwsza choroba... boję się, żeby to nie było coś takiego, na co medycyna nie ma ani pigułek, ani mikstury... Znasz waćpan dawno tę dziewczynę?

Stanisław ledwie się śmiał przyznać, jak dawno

już trwało nauczanie jego i stara znajomość, a mówiąc to, dziwnie jakoś zapłonął. Nie uszło to oka doktora, który żywo począł w nos napychać tabaki.

— No! no! to waćpanże mi powiedz co jéj jest? rzekł w końcu. Śliczne dziewczę! aż przykro, że to w tych betach wyrosło i skiśnie do licha! Co za oczy!... Ale ba! ja waści gadam o oczach, takżem się wybrał!... Choroby nie rozumiem, słabła, więdła, schła i nakoniec rodzice przymusili ją, żeby się położyła, choć zdaje się, że pod wieczór gorzéj jeszcze niespokojna... Gwałtem wstawać chciała!

— Cóż to? gorączka?

— Nie wiem! dalipan nie wiem... patrzę, śledzę, ale nie rozumiem... Zdaje mi się, że koniec końców *remedium* najpewniejsze—wydać ją podobno za mąż!

Spojrzał na Szarskiego, który w téj chwili odzyskał studenckie piwoniowe kolory swoje.

— Ale nie ma niebezpieczeństwa? rzekł po cichu akademik głosem nieco zmienionym.

— A któryż to doktor powiedzieć waćpanu potrafi, czy nie będzie go jutro, za godzinę, za kwadrans nawet? Jakkolwiek *facultas* nasza zarozumiała, natura mądrzejsza jeszcze od nas i figle nam płata co chwila.

Nie było sposobu pozostać dłużéj. Szarski choć żywo zaniepokojony, chciał się już oddalić, gdy sam Dawid wszedł do saloniku.

Skłonił się grzecznie akademikowi i śpiesznie go wziął na stronę; ale widać było jakiś frasunek i niepokój w twarzy, gdy mu przemówić przyszło.

— Bardzośmy panu wdzięczni—rzekł—za starania jego około córki naszéj... Chwała Bogu, skorzystała wiele; ale pan doktor utrzymuje, że nauka może na-

dal szkodzić jéj zdrowiu. Chcemy ją wydać za mąż, jak nam radzi.

To mówiąc, dobył Dawid ściśle obrachowaną zapłatę za lekcye, i ścisnął rękę Szarskiego.

Ten zapomniawszy pieniędzy, żywo ruszył ku drzwiom, i nie wiedząc co się z nim dzieje, wybiegł na ulicę.

— Tak! tak! po wyjściu jego dodał doktor, który powrócił do choréj:—nic nie ma tak bardzo złego... ale téj nauce dać pokój, życie porywa do głowy, organizacyę całą wywraca! Wydać ją za mąż... wszystko się uporządkuje na nowo.

Dawid stał, patrzał na zostawione przez Stanisława pieniądze i ruszał ramionami.

— Czekamy narzeczonego — odparł, — przyjedzie z Kowna niezadługo... Wybrałem dla niéj syna bogatego kupca; chłopiec niczego, trochę głupi, ale to umyślnie.

— Jak to umyślnie? zapytał Brant zdziwiony.

— Naturalnie, żeby ona nie on réj wodził w domu; ale przystojny chłopiec, delikatny... Wyobraź sobie doktorze... co to za oryginał z tego akademika! dodał zbierając pieniądze Dawid: zapłaciłem mu, a on pieniędzy zapomniał.

— Zapomniał! powtórzył lekarz: a co? już poszedł? Ha! trafiają się oryginały!—Zażył tabaki.—No! no!... Wydajcie córkę za mąż; życzę, życzę... a im prędzéj, tém lepiéj.

Strapienia, boleści nigdy nie przychodzą same, powiada mądrość narodów, a postrzeżenie to odwieczne codziennie się potwierdza. Niewidzialne duchy losów

ludzkich, złe i dobre, czarne i białe, idą trzymając się za ręce, ciągnąc długim szeregiem. W niewysłowionym niepokoju przyszedł na Łotoczek Stanisław, i zastał tam nadzwyczajne zamieszanie.

Martę spotkał w bramie wylatującą po doktora Branta, panią Dormundową z załamanemi rękami i we łzach, a Karolka siedzącego na łóżku z wypalonemi rumieńcami na twarzy.

— Co to jest? co się to stało? na Boga! zawołał wbiegając i wstrzymując Martę, która za nim wróciła do izdebki.

— Karolek! Karolek chory! Karolek krwią plunął! krzyknęła matka. Zlitujcie się, po Branta! po Branta!

— Śpieszę, bo wiem gdzie jest, odparł Staś. W domu go nie zastanie Marta. Mam pieniądze, wezmę dorożkę i przywiozę go natychmiast.

— Leć, jeśli Boga kochasz!

Ledwie miał czas rzucić okiem na matkę i syna Szarski, wnet pośpieszył nazad na ulicę Niemiecką; w bramie spotkał się z Dawidem.

— Jest jeszcze doktor? zapytał.

— Jest... a co?

— Potrzebuję się z nim widzieć natychmiast, do chorego!

— Idź pan na górę... ale czekaj-no! nie wziąłeś odemnie pieniędzy.

Staś już był na schodach, posłał po doktora służącą i schwytał go w sali.

— Na Boga doktorze! zawołał: zlituj się nad biedną Dormundową!... Karol krwią plunął... Rozpacz w domu... Prosi cię, zaklina!

— Krwią plunął, powiadasz! ba! już tak!

I Brant głowę zwiesił.

— Dormundowa wie co to znaczy!

— Jedź, na miłość bożą, jedź prędzéj!

Wtém Dawid niespokojny między nich się wcisnął.

— Jak to jedź? Doktor dziś od nas pojechać nie może! Sara od godziny jest gorzéj!

— Twojéj Sarze nic nie będzie, rzekł Brant: a tu pilniejszy interes woła.

— Panie doktorze! zawołał Żyd.

— Panie kupiec... daj mi waść pokój! Masz czém zapłacić, doktorów sobie znajdziesz na fury, ubogi u mnie pierwszy.

To mówiąc wziął kapelusz.

— Sarze nic być nie może? spytał niespokojnie Stanisław.

— Lekkie synapizma, krople laurowe co godzina, i dosyć. Jutro będę u was...

Dawid chciał go wstrzymać jeszcze.

— To być nie może! odpychając go z lekka, zawołał doktor: ja jechać muszę... Jeśli chcesz, wezwiéj sobie kogo innego!

Gdyby nie wiara, jaką wszyscy mieli w doktora Branta, Dawid byłby się pogniewał; ale z potrzeby, choć obrażony, spolitykował.

— Niechże pan choć zobaczy jeszcze moją córkę.

Zniecierpliwiony doktor poszedł, i w pół kwadransa od niéj wrócił.

— Osobliwsza rzecz, rzekł kiwając głową: znowu czegoś zjawił się niepokój... z łóżka się zrywa... chce wstawać. Ale to widocznie coś nerwowego, choć i z temi dyabelskiemi nerwami nie żartować...

Zamyślił się.

— Będę za parę godzin—rzekł—a teraz choć tamtych uspokoję... Krople laurowe, krople laurowe...i niech mi nie wstaje!

Wtém odwracając się, zdziwiony postrzegł Sarę w bieli stojącą na progu, z oczyma utkwionemi w Stanisława, który pobladł jak ściana.

— Ale nic mi nie jest! odezwała się Sara do lekarza: mogę wstać! widzi pan! wstałam! jestem zdrowa...

— O! tego ja nie lubię, kiedy mnie kto nie słucha, oburzył się Brant, szybko postępując ku niéj. Do łóżka mościa panno! Co to jest! do łóżka...

Mówił już do istoty, która go słyszeć nie mogła. Oparta o ścianę, z oczyma zwróconemi na Szarskiego, biedna dziecina, śmiejąc się jeszcze usty, wpadła w stan kataleptyczny i skołowaciała w progu z uśmiechem boleści i łzą na powiece.

Przeraźliwe krzyki słyszeć się dały w domu, a Szarski zwyciężony uczuciami, których doznał, pochylił się omdlały i upadł na ziemię.

Gdy po długim gorączkowym śnie jakimś, w którym zmieszały się wszystkie przeszłego życia widziadła, otworzył oczy Szarski, długo nie mógł schwycić ciągu przerwanego pasma boleści i uczuć, nie mógł przypomnieć co się z nim działo. Czuł tylko ciężar wielki na sercu i niepokój w duszy. Oczy jego z otaczających przedmiotów pragnęły przyjść do poznania miejsca, w którém się znajdował; usiłował obrachować, jak długi czas trwało dziwne uśpienie i marze-

nie gorączkowe—ale się nie mógł pokierować w domysłach niczém. Widział się bowiem nie w izdebce na strychu, o któréj śnił, nie w pokoiku na Łotoczku przy chorym Karolku, gdzie był być powinien, nie w Krasnobrodzie u nóg ojca, ale znowu na Trockiéj ulicy u pana Horyłki, na łóżku poczciwego Szczerby, którego twarz wkrótce się ukazała z za parawana.

— Pawle, zawołał porywając się konwulsyjnie: gdzie ja jestem? co to jest? dla czégom tutaj? mów!

— Cicho! cicho, a powoli, odparł Szczerba z widoczną radością w oku: wszystko bardzo proste i naturalne. Byłeś osłabiony, znużony, wycieńczony pracą... a może i czémś więcéj jeszcze; rozchorowałeś się więc niespodzianie; a że na Łotoczek nie chciałem cię odwozić, bo tam i tak ma już Dormundowa jednego chorego, wziąłem cię do siebie... Szczęśliwie przeszło przesilenie choroby, będziesz rychło zdrów i po wszystkiém.

Zaszeleściało coś u drzwi, i poczciwy stary Brant bez powitania stanął, spoglądając na Szarskiego.

— No, widzisz, rzekł do Szczerby: jak mówiłem, tak się stało... Natura w młodym silna, kryzys przyszła i przeszła szczęśliwie, będzie zdrów... A teraz tylko proszę mi się z łóżka nie zrywać przed czasem.

— A Karolek? spytał żywo Szarski.

— No! no! zdrowszy, rzekł doktor ruszając ramionami.

Stanisław może chciał jeszcze spytać o kogoś więcéj, ale mu słowo na ustach zamarło; spojrzał na doktora, który go zrozumiał, bo głową jakoś kiwał... zawstydził się, i oczy spuściwszy, odwrócił się do ściany.

— Wszyscy zdrowi, rzekł z przyciskiem Brant, zażywając głośno tabakę,—i waćpan będziesz mi zdrów

także, bylebyś tylko słuchał. W gawędy żadne proszę mi się nie wdawać, do roboty żadnéj nie śpieszyć; odpoczywać! odpoczywać! Natura poczciwa zrobi resztę z pomocą bożą.

— Ach! mój Szczerbo! zawołał w téj chwili Szarski: co ja ci musiałem narobić kłopotu i zawodu poczciwéj Dormundowéj, któréj teraz mogłem być właśnie najpotrzebniejszy! A koszta!

— Otoż jest! przerwał Brant: łamże sobie temi głupstwami głowę. Albo to myślisz, żeśmy się bardzo zmogli, ratując waści, kiedy cię sama natura ratowała?.. Czy to ci się zdaje, że bez waćpana nikt się już obejść nie potrafi? A koszta! przecięż miałeś na koszta pieniądze w kieszeni; a leżąc w łóżku, niewiele potrzebowałeś!

Szczerba w milczeniu ścisnął rękę przyjaciela.

— Słuchaj Stasiu, rzekł: są obowiązki, które się spełnia z rozkoszą; nie odbierajże mi przyjemności téj małéj posługi, trując się jéj wspomnieniem. Bądź spokojny: położenie twoje nie wymagało żadnéj ofiary.

— Długoż to trwało?

— Ale niedługo! niedługo! mrugając przerwał Brant. Dałbyś pokój pytaniom i zasnął a spoczął sobie. Zasłonić go parawanem, dać mu co lekkiego, ciepłego, i niech odpoczywa, niech odpoczywa.

Na rozkaz doktora, który znikł zaraz, Szczerba odsunął się także, ująwszy raz jeszcze rękę przyjaciela i odchodząc na palcach.

Stanisław tak się uczuł znużony i złamany, że mimo dręczącego niepokoju, zaledwie głowę do poduszek przyłożył, usnął prawie natychmiast.

W kilka dni zdrowie jego znacznie się polepszać

zaczęło, a co chwila, siły jakby czarodziejską przywołane potęgą, wracały. Przechadzał się po pokoju, mógł już zajrzeć do przerwanych robot swoich. Zdziwiło go bardzo, gdy schwytana data dnia wskazała mu blizko miesięczną chorobę jego. Nie mógł pojąć, gdzie się ten czas podział; usiłował badać Pawła, ale ten go zbywał ni tém ni owém, nie wdając się wcale w szerokie opowiadanie. Nareszcie, gdy Szarski całkiem się miał już lepiéj i Brant usta rozwiązał jego towarzyszom, dowiedział się własnéj swojéj historyi.

Gdy zemdlony upadł w domu Dawida Białostockiego, zaraz prawie po silnych i powracających mdłościach wywiązała się niebezpieczna gorączka, do któréj przyczynić się też musiało uderzenie w głowę, gdy bezwładny padał na ziemię. Brant nie wiedział co począć z przybywającym mu chorym, a miarkując, że go do Dormundowéj odwieźć nie można, zabrał go najprzód do siebie, potém z wielkiemi ostrożnościami przewieziono go w powozie zamkniętym, noga za nogą, unosząc na rękach, na ulicę Trocką. Tu kilka tygodni Szarski był w istotném niebezpieczeństwie; ale Brant od razu powiedział, że chybaby coś nadzwyczajnego się w to wmieszało, inaczéj młode siły natury przemogą wszystko i Stanisław zdrów być musi. Ledwie nie dnia i godziny naznaczonéj przez niego, Szarski oczy otworzył i przytomność odzyskał.

Dowiedział się także, iż Karolek był znacznie lepiéj, ale odkrycie w nim symptomatów suchotniczych matkę jego zabiło na duchu... Straciwszy w ten sposób męża i córki, wiedziała nieszczęśliwa, że z téj choroby syn jéj już nie wstanie i uleczonym być nie może. Pragnęła więc tylko przedłużyć to życie, które

było więcéj niż własnym jéj żyw otem; odrzuciła książki, odsunęła wszelką pracę, i we łzach siedziała nieodstępna przy dogorywającém dziecku.

Karol bowiem, choć najpilniéj nad nim czuwano, nieznacznie coraz słabiał, podnosił się nieco i znowu zapadał. A jakby przerwa w dawnym sposobie życia zaszkodziła mu jeszcze, widocznie codzień opadał na siłach.

Brant pocieszał, ratował, robił co mógł, ale jak było skłamać przed matką, któréj każdy symptom choroby przypominał śmierć męża i córek! Obraz to więc był powolnego konania i boleści liczącéj godziny, które pozostawały jéj jeszcze.

Trudniéj Szarskiemu było zapytać o Sarę i wybadać co się z nią stało; ale dnia jednego, gdy sam na sam był z Brantem, uzbroiwszy się w pozorną obojętność, niby przypadkowo go zagadnął:

— No! a pacyentka pańska?

— Jakaż to? jaka? rzekł Brant, niby nie chcąc go zrozumieć—która?

— A kupcówna?

— Córka Dawida Białostockiego? obojętnie odpowiedział stary, dopomagając sobie otwieraniem skrzypliwem tabakierki. No! zdrowa! zdrowa!

— Jednak, zdawało się... panu samemu...

— Tak, zdawało mi się; ale to tylko było coś lekkiego, kobiecego, nerwowego... Rodzice spostrzegli, że nadto wyegzaltowali dziewczynę; ale ją teraz za mąż wydają... ślub nastąpi w tych czasach,—to będzie dobre antidotum.

Szarski nie śmiał pytać więcéj. Skoro mu jednak wyjść pozwolono, wybrawszy się na Łotoczek, bo czuł, że obowiązkiem jego było nie odstępować bied-

néj wdowy — nie mógł wytrzymać, żeby nie przesunąć się przynajmniéj przez Niemiecką ulicę. Przed kamienicą Dawida zwolnił kroku, zatrzymał się, i znajomego dobrze Żydka sklepowego zapytał:

— Jak się tam mają u was?

— Nu! chwalić Boga, zdrowi!

— A Sara?

— Czemu nie ma być zdrowa! Ona tylko tak delikatna jak generalska córka! Tych dni sprawiają jéj wesele.

Staś spojrzał w okna, ale wszystkie były czarne i puste. Serce go odejść nie puszczało, tęsknóta ogarniała i niepokój; przypomniał sobie, że widok jego możeby odżywił już trochę przygasłe wspomnienia, i choć z boleścią, oddalić się musiał. Każdy krok od tych okien kosztował go wiele; szedł, wstrzymywał się, powracał, nareszcie co sił biedz począł, ażeby przemódz siebie.

Na Łotoczku zastał Martę w bramie, ciszę na podwórzu i smutek jak u trumny. I tak nigdy tu nie było wesoło, a teraz już myśl śmierci pokryła całunem ten biedny domek wdowi i sierocy.

W pokoiku Karola leżał chłopak na łóżku blady, ale z ognistemi oczyma, z życiem podnieconém i gorączkowém; u nóg jego, zapatrzona w twarz dziecięcia, siedziała nieszczęśliwa matka. W koło Karolka rozrzucone walały się ostatnie dla niego zabawki, ryciny, książki, skrzypeczka, na któréj grać się uczył, papiery, ołówki, wszystko, co tylko serce matki na osłodę chwil jego ostatnich wynaleźć mogło.

Smutny to był i rozdzierający widok.

Dormundowéj łzy zaschły na zczerwieniałych od płaczu powiekach, z pod których śledziła uciekające życie;

patrzała, słuchała oddechu i marła z synem razem. Stanisław choć oznajmiony i poprzedzony wieścią, wszedł ostrożnie, po cichu. Łzy mu się zakręciły w oczach, gdy Karolek na widok jego żywo się poruszył i obie ku niemu ręce wyciągnął.

Zatamowane łzy puściły się znowu z oczu matki, która z niemi uciekła; musiała się bowiem dla dziecka taić z boleścią i udawać wesele.

— A! jakżem ja szczęśliwy, żeś ty powrócił! zawołał Karol. A! jam ciebie tak bardzo, tak bardzo potrzebował! Ale ta byłeś chory?

— Byłem niezdrów trochę.

— Aleś już zdrów, już zostaniesz z nami, nie prawdaż?—I Karol spojrzał na drzwi niespokojnie.—Zobacz, dodał po cichu: czy nie ma tam mojéj matki? Pilno mi pomówić z tobą, a boję się, żeby nas nie słyszała.

Szarski obejrzał się. Dormundowa poszła była płakać do ostatniego pokoju, zkąd jéj szlochania słychać nie było.

— Wiesz, rzekł Karol żywo, ale głos zniżając: ja mam suchoty! Ojciec mój, dwie siostry poumierały z nich, i ja umrzeć muszę!

— Ale co ci się marzy! przerwał Stanisław bledniejąc.

— Tak jest! O! chce mi się żyć... Bóg jeden wie, jakbym pragnął żyć dla niéj,—ale to próżno, próżno muszę umierać! Kiedym jeszcze był zdrów i nic nie pozwalało się domyślać, że i we mnie jest zaród śmierci, opowiadała mi nieraz Marta o chorobie ojca i siostrzyczek... to słowo w słowo moja! Ale zdaje mi się, że matka spokojna, że ją poczciwy Brant nadzieją kołysze, że się niczego nie domyśla... nie trzeba, by za

wczasu cierpiała. A! nic to umrzeć jeszcze; ale ją tak samą, samą! sierotą na świecie zostawić! O! mój Boże!... Cała moja nadzieja w tobie Stanisławie.

— Mój drogi, nie trapże się takiemi myślami.

— Na co te kłamstwa ze mną? już ja wiem co mnie czeka! O! żebyś ty mógł zajrzeć, jaka walka we mnie! Życie mi się śmieje, czuję niezmierną siłę jego w sobie, nie mogę w śmierć uwierzyć, a wiem, pewien jestem, że prędko, bardzo prędko umrę! Czasem z rana wstając, gdy wypocznę, myśl ta o śmierci niechybnéj wydaje mi się przywidzeniem, a potém spostrzegam, że tylko pragnienie życia mnie oszukało! Siły lecą ze mnie, opuszczają, codzień słabszym się czuję... niknę... A! co ona pocznie sama!

Karolek otarł pot z czoła i westchnął.

— Słuchaj, rzekł do Stasia, który drżał ze wzruszenia: ty musisz mnie przy niéj zastąpić; ty jéj będziesz synem... Ale ty pewnie suchot nie masz? bo to byłoby okropnie!

— Dziecko kochane... uspokój się, nie nękaj temi przywidzeniami; ty żyć będziesz...

— Nie, o nie! zawołał Karol, potrząsając bladą główką. Ty mnie zastąpisz; ty jéj potém powiesz kiedyś, żem ja widział z daleka przychodzącą śmierć, alem nic o niéj nie mówił, ażeby jéj nie straszyć; ty jéj powiesz, żem tobie polecił czuwanie nad nią; ty zostaniesz jéj synem. A! na całym świecie nikogo! cztery groby! cztery tylko mogiły! i cisza! i cisza!... A! jak ona to wytrzyma!

Stanisław ściśnieniem ręki biednemu chłopcu dał znać, że matka nadchodzi,—a Karol począł coś zaraz mówić wesoło. Dormundowa też z twarzą wyjaśnioną

wysiłkiem woli, ukazała się uśmiechnięta prawie. Oboje witali Stanisława, a Karol przez poczciwe oszukaństwo, rozpoczął rozmowę o blizkiém swém wyzdrowieniu, o dogonieniu współuczniów, co go wyprzedzili, o przedmiotach obojętnych. Cały wieczór zszedł na pogadance dziwnéj a ciężkiéj, pod któréj tłem lekkiém tyle było boleści, tyle groźb na jutro!

U łoża Karolka rozpoczął na nowo Szarski życie poświęcenia i pracy.

Kto z was lat kilka ślęczył nad książkami zapierającemi mu wrota życia, i niecierpliwém okiem mierzył tę przestrzeń, która go dzieliła od świata i jego upragnionéj swobody,—ten pojmie, czém jest ostatnia lekcyi godzina dla wyzwalającego się akademika, czém egzamin ostatni, otwierający mu szeroko bramę, i pożegnanie z twardą ławą studencką.

Pragnie się téj godziny, o! pragnie,—a gdy wybije nareszcie... smutek ogarnia serce i nagły żal... rozbójnik chwyta za piersi... Któż wie co tam czeka na progu nowego naszego życia! a ile tu się rzuca nieodzyskanych, cichych, niedorównanych rozkoszy!

Ta garść młodzieży, którą związała przyjaźń, codzienne zbliżenie, jedność myśli i nadziei, ta święta wiązanka ludzi, rozprzęga się na wieki wieków. Każdy z kijem pielgrzyma, jak na rozstajach podróżni, odchodzi w swoją stronę, a choćby chciał spotkać znowu tych, z którymi najlepsze lata przepędził, kto wie czy potrafi?

A gdy po lat dziesiątkach, po skosztowaniu losów

nowych, co włos jasny przerzedziły na skroni lub poprószyły siwizną, dłoń namulały pracą, oczy wypiekły łzami, spotkają się ci, których serca biły uczuciem jednêm tak zgodnie, któż wie, kto wie, czy się serca poznają, czy poznają oczy i ścisną dłonie? Najświętsze nawet i najczystsze węzły świat rozerwać umie, najlepsi się psują, a najtwardsi mienią. O! jutro, jutro! straszliwe słowo! bo któż zakrytą jego twarz odgadnie?

W stanowczych chwilach, nawet przy największéj nieznajomości warunków ludzkiego bytu, jest jakieś ich przeczucie, i ta młodzież, co wyskakuje z ławy równemi nogami w przepaść, choć przyrzeka sobie wierność na jutro, choć pragnie spotkania, jakoś niebardzo w nie wierzy. Drżą dłonie, płaczą oczy, serca biją przyśpieszonemi uderzeniami... kiedyż, kiedyż to my się zobaczymy?

— Prędko! mówią usta.

— Może nigdy! szepcze serce.

W chwili gdy się na zawsze rozstać mieli towarzysze, których los związał przyjaźnią, postanowili pożegnać się uroczyście, ślubując sobie pamięć i podając ręce raz ostatni, z uczuciem młodém jeszcze. Bogatsi chcieli, by ta uczta odbyła się ich kosztem i była prawdziwą orgią akademicką, którąby się wyryła na wieki w pamięci, nietylko jako chwila rozstania, ale jako chwila ozłoconego poezyą lat dwudziestu szału. Zamówiono więc salę u Nowickiego składkowemi pieniędzmi i bankiet na dwadzieścia kilka osób. Bankiet! bo dla tych, co lat kilka często doświadczali głodu, dobry obiad szlachecki już na ucztę zakrawał. Łatwo im było kupić ucztę Sardanapala! Prócz akademików świeżo wyzwolonych i ustop-

niowanych, z różnych oddziałów uniwersytetu, zaproszeni byli niektórzy professorowie, poczciwy Hipolit i znajomy nam doktor Brant.

Około godziny trzeciéj z południa gospodarze stanęli u drzwi salonu, wśród którego lśniący od porcelany i kryształów stół wyciągnął się umajony kwiatami i zielonemi liśćmi ubrany, poczynając witać przychodzących gości.

Oprócz Korczaka, który istotnie wdział suknię duchowną, i jako seminarzysta na pożegnalnym obiedzie znajdować się nie mógł, zeszli się tu znowu ci wszyscy, których los zebrał był już raz w karczemce pod Wilnem; ale ileż to zmian zaszło od czasu jak ściśnięci w lichéj budce jechali do grodu Gedymina! Bazylewicz, który szedł do Wilna dziurawo i wytarto, miał minę wesołą, głos wodza, ubranie wytworne od najpierwszego krawca i kieszeń dobrze nabitą, dzięki prenumeracie. Bolesław Mszyński utył ogromnie, a że na niego spadła jakaś sukcessya i mógł sobie pozwolić najadać się do sytu, zaczynał już nabierać brzucha, a do twarzy przyrastał mu drugi okrągluchny i rumiany podbródek. Szczerba przeciwnie wychudł, wymizerniał, zżółkł egzaminami zmęczony, i oczy mu straszliwie zapadły. Michał Żryłło, ulubieniec, *arbiter*, ale nie *elegantiarum*, bo wszystkich sporów młodzieży, i wyrocznia ich w potrzebach praktycznego życia, miał minę wesołą, raźną, rozrósł się tylko, opalił, zczerniał, zresztą nie zmienił serca ani twarzy. Szarski nareszcie, owa Piwonia szkolna, z blademi dziś policzki, z okiem zamgloném łzą ciągłą, wysoki, chudy, smukły, widocznie dorósł do cierniowego wieńca, który już nosić poczynał. Na nim widać było dobrze lata pracy: zdawało się, że mu czoło urosło, że rysy

twarzy przeszły w typ idealniejszy. Uśmiech wywołany siłą zjawiał się na jego ustach na chwilę, ale gasł jak te iskry, które tleją w popiele bez węgla, i rozdmuchane błyskają tylko, by zamrzeć. Nigdy wesołość jego nie przybierała już téj cechy niepamiętnego na jutro dziecinnego rozweselenia, które raz wygnane z serca nigdy już nie powraca. Widział życie jak było, pasmem bojów, utrapień, bez nagrody tutaj, śmieszną jakąś maluczką parodyą czegoś większego, przez bardzo miernych odegrywaną aktorów. On i Bazylewicz, obaj poeci w mniemaniu ogółu, byli jak dwa bieguny przeciwne, różnemi istotami. Tamten utył, wyświeżał, rozrósł się na chlebie literackim, ten zsechł i zwiędniał; jednego podtrzymywała duma herkulesowa, drugiego palił wewnętrzny ogień poezyi.

Byli tam obok i inni, nieznajomi nam, najróżniejszych charakterów młodzi ludzie, stanowiący tkaninę różnobarwną a świeżą, mającą służyć za wątek przyszłemu społeczeństwu.

Był świeżo wyzwolony prawnik z wytartemi łokciami, w wyszarzanym mundurku, wybierający się na służbę do stolicy, z któréj miał wrócić późniéj elegantem i znakomitą figurą; młody artysta pełny nadziei Włoch i Rzymu, za kilka miesięcy mający się ożenić, by zgnić na miejscu i talent na fraszki zmarnować; medyk jadący służyć na Kaukazie; inny wesoło wiążący tłomoczek do Astrachania; trzeci co się wybierał pod komendę Dupuytren'a dokazywać cudów na nieszczęśliwych kalekach... a! i wielu, wielu jeszcze... Na pierwszych miejscach *honoratiores*, siedzieli professorowie; przy nich Hipolit, zawsze wesoły, jakby nie przeczuwał w przyszłości nic gorzkiego; daléj uczniowie ubożsi, zaproszeni jako goście; a na szarym końcu ci, co gos-

podarowali i płacili. Bazylewicz naturalnie zasiadł tuż przy professorach, rozparł się, i traktując swoich mistrzów wczorajszych na stopie równości, zabierał głos z właściwém sobie zuchwalstwem i deklamacyą.

Szarski milczał... jemu ciężko było na sercu, bo kończące się nauki, wyzwalając go, zmusiły myśleć o sobie, o obiorze stanu, o chlebie, a codzień widoczniéj przekonywał się, że to, co z serca płynie, chleba nie rodzi.

Pierwsze chwile téj uczty smutne były jak stypa, choć je wszyscy pragnęli rozweselić, dorzucając każdy po szczypcie konceptu do leniwéj rozmowy.

— A cóż u licha! ozwał się nareszcie podnosząc się z kielichem w ręku Hipolit: czyśmy to już tak starzy, że zamiast chwytać godzinę wesela, wcześnie się dławimy jéj ogonem? Do kielichów! po staropolsku! *bonum vinum laetificat cor hominum!* łacina nie tęga, ale zdanie przedziwne... Czołem mistrzom i wodzom! professorów zdrowie!

Na to hasło runęły stołki, brzękły kielichy, pobiegli wszyscy do kilku osiwiałych nauczycieli, krzycząc, wołając: *Hura!* i *Vivant!*

— Nie! głośniéj od innych wlazłszy na krzesło zaprotestował Mszyński: *Veto! veto!* Któż tak zdrowie pije? Wszystkich razem? co to znaczy? Chyba to tylko summaryusz rozdziałów i przedmowa dzieła? Inaczéj nie przyjmuję zdrowia professorów, tylko pojedynczo każdego!

— A zatém, jako przedmowa tylko, zdrowie wszystkich razem!

— Zdrowie... przedmowa! zawołano zewsząd; a najstarszy z nauczycieli podniósł się z podzięką.

— *Silentium*! stuknął o stół Bazylewicz.

— Cicho! powtórzyli drudzy.

— Panowie, odezwał się professor ze łzami w oczach: żal nam was żegnać, choć wesoło wam odlecieć! Pijecie zdrowie nasze, przyjmujemy je. Ale nie dosyć szanować w nas przewodników: cześć istotną wyrządzicie nam, wyprzedzając tych, którzy zostać muszą na drodze, wlokąc się po niéj o kiju! Z jednéj strony szacunek i cześć tradycyi, pracy poprzedników; z drugiéj niech was zapala żądza więcéj coś zrobić niż oni, wyszukać drogi nowe, odkryć z kolei choć cząsteczkę prawdy, wdrapać się wyżéj na stromą skałę wiedzy ludzkiéj! A zatém, za zdrowie odpowiadamy życzeniem, byście nas przeszli, byśmy się wam kiedyś dziwić i poklasnąć wam musieli. Kto stanie na téj drodze, ten się cofnął, kto spoczął, ten jak ów na Mont-Blanc'u podróżny, zechce usnąć i zamrze na wieki! Do góry! do góry, żywo! nie żałując nóg, mości panowie!

— I jeszcze jedno! przerwał nauczyciel drugi: ja mówię w imię serca, gdy kolega mówił w imie nauki. Starzejcie się rozumem, dojrzewajcie wyobraźnią, wyrabiajcie wolę silną, ale bądźcie sercem młodzi na wieki wieków, amen!

— Amen! krzyknęli wszyscy wielkiém echem.

— Młodzi bądźcie, dodał nauczyciel: szlachetnością uczucia, niepamięcią na siebie, gotowością do ofiary i miłością ludzi!

— Amen! amen! powtórzyli uczniowie z zapałem.

— Zdrowie! zdrowie! I poszły toasty szeregiem, a w miarę jak wino rozpowijało myśli i wzmagało serc bicie, zapalały się oczy, rozwiązywały usta, szmer, gwar, krzyk, śmiechy i tłumna rozmowa zawrzała.

Każdy mówił co myślał, ale niestety! najwięcéj z nich już tylko o sobie, o swéj przyszłości, o swoich rozprawiali nadziejach! Bazylewicz tworzył epopeję z przyszłości, Szczerba się nią niepokoił jak zadaniem nie wiem tam którego stopnia, Mszyński układał życie wiejskie nakształt filantropijnéj sielanki, Żryłło gotował się do roli pośrednika i sługi w obywatelstwie; jeden Szarski nie stęknął ani wzdychał do jutra, ale też milczał uparcie. Wstawał z pełnym kielichem i z pełnym prawie usiadał; łączył swój głos serdecznie z innymi, ale sam go ani razu nie podniósł.

Aż Hipolit chwycił go wreszcie rubasznie za szyję, i po swojemu wstrząsnął nim, krzycząc:

— Zdrajca! panowie! zdrajca! Szpieg bestya! ani się śmieje, ani je, ani pije, ani gada, siedzi mrukiem, a może jeszcze kpi w duszy z poczciwych ludzi... powiesić go na...

— A! do dyabła! nie ma na czém, przerwał Szczerba: choć stryczek zrobilibyśmy z serwety.

— Utopić go w kieliszku! zawołał Mszyński.

— Większość za utopieniem, powtórzyło kilku: niech ginie w porterze lub szampańskiém winie; zostawimy mu wybór rodzaju śmierci.

— Tak! tak! ale bez przebaczenia śmiercią go ukarać, począł Hipolit. Trujesz nam sobą ucztę weselną; hulaj z nami, lub wyspowiadaj się bratku!

Szarski już miał w głowie kieliszek wina.

— A! towarzysze kochani! zawołał: chcecie nalać z próżnego, gdyście z moich ust zażądali wesołości! Zkądże ja jéj wam wezmę? Jest to jakbyście zapragnęli upoić się atramentem; otruć się nim można, upoić niepodobna!

— Idź do licha z atramentem! krzyknął Bazyle-

wicz: jeszcze nam ten napój studencki przypominać będziesz! upoić go! upoić!

— Zgoda! zakrzyknęli wszyscy: niech się upije!

— *Vox populi, vox Dei!* dodał ktoś z boku.

— Mocą nam daną przez wino i wódkę wypitą, skazujemy cię—odezwał się wstając uroczyście i rękę wyciągając wyprostowaną ku winowajny Hipolit—skazujemy cię na sześć kieliszków szampańskiego.

— Na Boga! zawołał Szarski: to się spiję!

— Właśnie nam tego potrzeba, odparł sędzia. Potém zmusimy cię improwizować.

— To najprędzéj zaimprowizuje mi ból głowy, panowie!

— Wyrok stanął... lub za kołnierz!

— Kołnierz, to u mnie rzecz droga, nie mam drugiego... westchnął cicho Szarski.

— Niech pije! zawrzeli wszyscy już dobrze podochoceni: jeśli nas kocha niech pije! Każdy z nas wypił już najmniéj po sześć kieliszków; niech się zrówna z nami... cóż to, my mu służyć mamy za Ilotów?

— Niech pije! powtórzył chór, i zewsząd zbiegły się kieliszki, a poczęto tak naglić, tak naglić, tak naciskać, zaklinać i prosić, że biedny Stanisław podniecony, odurzony, nie chciał się dłużéj opierać, i wstał zarumieniony z pierwszym kielichem w dłoni.

— To za zdrowie wasze—rzekł—mistrzowie nasi! Czołem wam! czołem wam, coście zasieli w nas nasiona, za których wzrost odpowiadamy! Wielkich siewaczów przyszłości!

I wypił.

— To drugi toast... czci nauki poświęcony! Niech na wieki przypomina, żeśmy jéj winni rozwicie nie tylko głowy, lecz i serca. Z poczciwéj głowy płynie stru-

mień nieprzerwany w pierś, by z serca nazad ku niéj odpłynął.

— To trzeci toast: uczuciom młodzieńczym! młodości serca i myśli! Nie starzejmy się bracia! a gdy sucho zatrzaśnie się za nami wieko trumny, niech nas z wiankiem dziewictwa na skroni pokryje.

— To czwarty: szkolnéj przyjaźni! Idźmy wierni jéj, wierni pamięci lat młodych, w świat nowy! A każdy na piersi niech powiesi imiona towarzyszów swoich jak talizman... Imiona te niech mu przypominają cnoty towarzyszów, bo każdy z was miał jakąś.

— Ale ba! zaprotestował Mszyński: ja swojéj nie widzę; jem dobrze, to prawda.

— I ostatnim kęsem dzielisz się z drugimi, odparł Szarski.

Wszyscy poklasnęli.

— To piąty!

— Piątego zdaje mi się nie stanie, szepnął Bazylewicz.

— Przepraszam!

— Nie przerywać!

— Piąty naszemu staremu grodowi, ulicom i murom poczciwego Wilna i jego zacnym mieszkańcom! Gdzież znajdziemy serca, coby żywszą przyjęły nas wędrowców sympatyą?

Podniesiono z hałasem kielichy do góry.

— A szósty toast rozstania, zawołał rozogniony poeta: toast żałobny, toast zakrytemu jutru! które stoi na progu téj sali obwieszone ciemnościami. *Deo ignoto* doli naszéj!

Te słowa wymówił z takiém uczuciem głębokiego smutku, z taką jakąś przerażającą siłą, że wszyscy

zdrętwieli, a niejedno oko zwróciło się ku drzwiom, jakby istotnie na progu okazać się miało widmo czarne.

Doktor Brant, który dotąd siedział cicho, podniósł się dopiero z kielichem, nasypawszy weń przez roztargnienie niemało tabaki.

— A co ci do jutra? wieszczu-poeto! a co ci do tego jutra? Jutro idzie, ale w różach i kwiatach, z rogiem obfitości w dłoni.

— Z rogiem! a nuż się pożenimy! przerwał Hipolit.

— Róg Amaltei, począł Brant.

— Chociażby, zawsze to znak niedobry.

— Dość, że szósty wypiwszy kieliszek, niech siada ten, co wypił już toast jutra, a nam dozwoli kończyć w nieoględności naszéj. Jako medyk, proponuję *zdrowie zdrowia*, *katexochen*! niech wam przyszłość ze swéj skarbnicy niewyczerpanéj da jak najlepsze żołądki, jak najsilniejsze płuca, jak najdzielniejszy mózg, *et caetera*, *et caetera*!

— *Vivant et caetera* doktora Branta! przerwał Mszyński, i z hukiem niezmiernym, olbrzymim, aż się sala zatrzęsła, a słudzy wlecieli przerażeni, wychylono toast nowy.

— Panowie dobrodzieje, rzekł zbliżając się jeden ze sług z miną zakłopotaną: tu obok obiaduje książę Jan... hrabia P... prezes X...

— I kto więcéj kochanku? zainterpellował Bazylewicz, podnosząc się z dumą.

— Nikt więcéj... nie wiem... ale ten hałas, przepraszam panów... Książę Jan się uskarża...

— Powiedzże od nas księciu Janowi, żeby sobie mitrę na uszy nasunął, to mu hałas wadzić nie bę-

dzie... lub jeśli chce, poszlemy mu funt bawełny, bo mitra podobno dziurawa... I ruszaj pókiś cały!

Sługa zniknął jak zmyty.

— A! książę Jan! rzekł Bolesław: obchodzi tu widać jeden z dni i jedną z uczt swojego wesela...

— Alboż się ożenił? spytał ktoś drugi.

— Najniezawodniéj, tydzień temu.

— Z kim? z kim?

— Ale ba! z panną Szarską, podobno kuzynką pana Stanisława.

Stanisław począł szukać serwety pod stołem, i może tego nie słyszał, a rozmowa się urwała, by za chwilę żywszą się jeszcze obudzić.

— A słuchajcie-no panowie, zaproponował Żryłło: gdybyśmy napisali na karcie zdanie wielce nam pamiętne, z czasów nianiek naszych: „Mądry głupiemu ustąpi!“ i pojechali dokończyć rozpoczętego dzieła w Tivoli.

— Zgoda na Tivoli! zawołano: ale kto uciecze, korzystając z téj zawieruchy... wyklęty!

— Wyklęty! powtórzyły mnogie głosy, i poczęto co żywo chwytać za czapki, a nikt od dobrego i rozochoconego towarzystwa nie chciał odstąpić, nawet Szarski, który na wpół upojony dawał z sobą robić co chcieli.

Wyszli więc wszyscy w ulicę, siedli na dorożki, i sznurem długim pociągnęli, korzystając z prześlicznego i już gwiazdami okrytego wieczoru, na Antokolskie przedmieście. Ten szereg dorożek, z których wesoła i donośna rozchodziła się rozmowa, zwracał uwagę przechodniów, gdy nagle przed Ś. Janem na zawrocie w Zamkową, zatrzymać się musieli wszyscy.

— Co tam? co tam? krzyczeli jadący z tyłu.

— Czemu nie jedziecie?

— Nie można!

— Dla czego nie można! Wiecie, że tego wyrazu nie ma w dykcyonarzu pijanych.

— Ulica zapchana... powozy jakieś.

— Cóż? pogrzeb czy wesele?

— Trudno zgadnąć... coś nadzwyczajnego.

— Co to jest? spytał siedzący ze Stanisławem Szczerba przechodzącego Żydka, w którym rozpoznał Hersza, dawnego faktora z Trockiéj ulicy. Co to u licha?

— A co ma być kiedy nie wesele? Kupiec Dawid Białostocki wydaje córkę swoją Sarę za bogatego syna kupieckiego... jadą paradą do krewnych... pan widzi... ten kocz... niech pan patrzy... to panna młoda! Co za śliczności i jakie bogactwa! ona ma na sobie za tysiąc dukatów pereł i dyamentów!

Stanisław stanął wyprężony, oczy jego zwróciły się w stronę wskazaną, i ujrzał w bieli, bladą, wpół martwą piękną Sarę, któréj wzrok nieruchomy wlepiony był w inne dalekie światy... bo nie widziała ziemi... przemknęła się jak zjawisko... tylko w chwili gdy się mijali, zadrżała, poczuwszy zbliżenie niewidzialnego kochanka, odwróciła się, znalazła go magnetycznemi oczyma, krzyknęła głosem zagłuszonym gwarem boleści, a konie uniosły ją daléj w świat, w tłum, w ciemności.

— Stój, rzekł Szarski silnym głosem do Szczerby ja z wami jechać nie mogę, jeśli nie chcecie, bym oszalał. Pozwólcie, zaklinam, pozwólcie mi wrócić do domu!... Miejcie litość nademną.

— Więc i ja chyba powrócę z tobą, rzekł Szczer-

ba: bo samego cię nie puszczę... Zdam ci się, chora duszo poety.

Skinął na woźnicę, cofnęła się nieznacznie z szeregu dorożka, i cicho posunęli się na Łotoczek. Szarski nie przemówił słowa, ścisnął tylko rękę przyjaciela, i oddalając się od towarzyszów, szepnął ledwie dosłyszanym głosem:

— O! przeczułem czarne widmo przyszłości!

Dziwnie w ich uszach tętniących jeszcze wrzawą, którą opuścili nagle, wydała się odludniejsza, milcząca część miasta, w którą się zapuszczali. Tu życie szło cichym, powszednim trybem swoim... wlokło się raczéj leniwo i tęskno. Latarnie płonęły ciemno, postacie przechodzące suwały się powoli, wiatr nawet jakiś smętny znalazł się na samotnym Łotoczku.

U bramy zatrzymali się i weszli pieszo. Fórtka była otwarta; tknęło to Szarskiego jakoś. Nikogo w ganku, drzwi wszystkie na roścież... w izdebkach cisza grobowa. Na palcach wsunęli się do pokoiku Stanisława, sądząc, że Karolek usnął... ale tu widok straszliwy uderzył ich oczy.

Na łóżku jeszcze obrzuconém książkami, nótami zabawkami chłopięcia, leżał Karol niby uśpiony, ale z twarzą żółtą, woskową pokrytą bladością.

Sen ten był już snem śmierci. Snadź nagle, niespodzianie jak spoczynek przyszedł zgon, zamykając mu oczy łagodnie. Jedną ręką wsparty był jeszcze na dłoni, druga wyciągniona leżała na pościeli. W pokoiku nic nie tknięto, nie poruszono.

Tylko na podłodze, u łóżka, martwa na poły, skostniała, bez łzy w oku, z zaciętemi ustami, z załamanemi rękoma... leżała matka nieszczęśliwa... W téj drgała jeszcze resztka życia, ale go i tam niewiele

pozostało... siły nie miała ani na krzyk, ani na łzy i narzekania.

Ujrzawszy dopiero Stanisława, który otrzeźwiony widokiem osłupiał... podniósła się jak posąg dźwignięty sprężyną, i wyprężoną ręką wskazawszy trup dziecka, z ogromnym, straszliwym krzykiem, upadła...

Taki widok spotkał poetę na progu nowego życia.

(Dokończenie w tomie siódmym).





